

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Serafin i Sekielski – dwoje w depresji • Putin boi się turbopatriotów • Zabużko: morele rosną po naszej stronie
- Zapłacisz podatek bitcoinem?
- Rodziewicz, guer narodowy

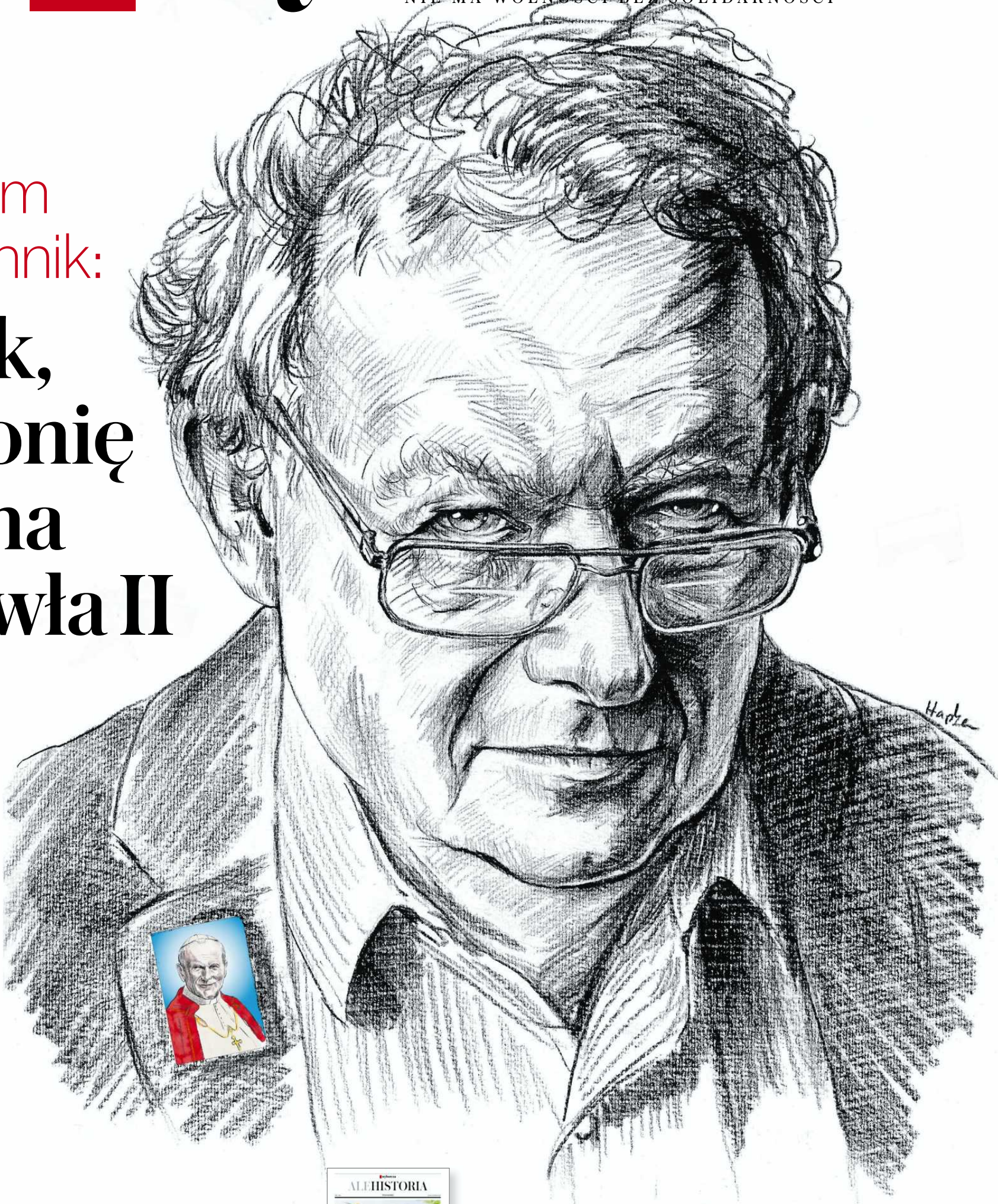


WYSOKIE OBCASY
Do sedesu, na sitko
Jak ronią Polki
Relacje
Kto płaci za randkę?



GAZETA
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Adam
Michnik:
**Tak,
bronię
Jana
Pawła II**



RYS. ARKADIUSZ HAPKA

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Kto zabił
Rzeczpospolitą**
To nie szlachta,
zniszczyli ją jej sąsiedzi



Ukraiński Edison
Iwan Puluj testował
promienie X jeszcze
przed Röntgenem

Kronika niszczonego miasta
Aurelia Wyleżyńska zapisywała
każdą niemiecką nieprawość
w Warszawie

Bartosz T.
Wielński

Najważniejszy partner Ameryki? To nie my

W chwili, gdy nasz kraj z ekscytacją czeka na przylot do Warszawy Air Force One, gdy deklinujemy wszystkie zasługi Polski poniesione podczas wojny w Ukrainie, gdy zacieramy ręce, że prezydent USA w ciągu roku odwiedził Polskę dwukrotnie, a w Niemczech w tym czasie nie był ani razu, pragnąłbym delikatnie pociągnąć za hamulec.

Rozpoczynająca się w poniedziałek trzydniowa wizyta Joeego Bidena ma olbrzymie symboliczne znaczenie, głównie dla walczącej z rosyjską agresją Ukrainy. Biden pójdzie śladem przemawiających w Berlinie Zachodnim prezydentów Johna Kennedy'ego i Ronalda Reagana, którzy w krytycznych momentach zimnej wojny mówili o wolności, której nie stłamszą czołgi ani żelazna kurtyna.

Słyszałem opinie, że sam fakt, że takie słowa padną w Warszawie, uczyni z Polski najważniejszego sojusznika USA. Tak się niestety nie stanie.

Złudzenia, że Polska może być najważniejszym partnerem Ameryki w Europie, mamy od ćwierćwiecza. I zapłaciliśmy za tę naiwność sporą cenę, przyłączając się – w dobrej wierze – do koalicji pod wodzą USA, która dokonała inwazji na

Irak, czy bezprawnie pozwalając CIA prowadzić tajne więzienie w Starych Kiejkutach, gdzie torturowano podejrzanych o terroryzm. Obecna władza ślepo parła w objęcia Donalda Trumpa, choć ten otwarcie podważał filar naszego bezpieczeństwa, jakim jest NATO. I z klęską Trumpa nie potrafiła się pogodzić i za nim wręcz tęskniła. W 2021 r. z Nowogrodzkiej nadchodziły sygnały, że PiS zamierza administrację Bidena przeczekać, aż wszystko wróci do normy i Trump odzyska władzę. Strach pomyśleć, co by było, gdyby teraz to Trump urzędował w Białym Domu...

Znaczenie Polski dla obecnej amerykańskiej administracji wynika głównie z położenia geograficznego. Przez lotnisko w Rzeszowie przechodzi większość zachodniej pomocy dla ukraińskich obrońców, to polskie społeczeństwo wzięło na siebie główny ciężar opieki nad ukraińskimi uchodźcami. Polska może stać się rzecznikiem krajów wschodniej flanki NATO, może pełnić funkcję jednego z adwokatów starającej się o członkostwo w UE i Sojuszu Północnoatlantyckim Ukrainy.

Ale najważniejsi sojusznicy USA to państwa, które są w stanie rozwiązywać globalne problemy. Potrafimy to robić? Nie. Polska ze zdewastowaną dyplomacją, której szefowie koncentrują się głównie na poszukiwaniu dla premiera „politycznego złota”, z takimi wyzwaniem nawet nie próbuje się mierzyć. Z powodu łamania praworządności i demontażu instytucji demokratycznych nie jest w stanie kształtować polityki UE na tyle, na ile wynikałoby to z wielkości i potencjału naszego kraju. Nawet w Grupie Wyszehradzkiej znaczenie Polski zmalało.

Bardzo chciałbym, by prezydent Biden zwrócił na to swoim polskim rozmówcom uwagę. Może jego posłuchają? ●

Andrzej rysuje



Pluszowy kawalek świata Koala szuka imienia



FOT. MARTIN MEISSNER/AP

Mały koala siedzi na pluszowym misiu, czeka na ważenie w zoo w Duisburgu. Urodził się w lipcu ubiegłego roku, ale był niewidoczny dla odwiedzających – ukrywał się w torbie matki. Jeszcze bezimienny zwierzątko dołączył do największej grupy koali w Europie

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl



PIT-u, PIT-u 2023.



Startują rozliczenia podatkowe. Pierwsze po Polskim Ładzie. Będą wielkie niespodzianki, bo takiego PIT-u jeszcze państwo nie wypełniali.

Czytaj ► Wyborcza.biz

Skandal w Hanowerze Gówniana polemika z jamnikiem w tle

Ten skandal wstrząsnął niemieckim światem sztuki. Marco Goecke, szef baletu Państwowej Opery w Hanowerze, został właśnie zawieszony w pełnieniu funkcji, policja prowadzi też w jego sprawie dochodzenie.

50-letni Goecke dyrektorem baletu Państwowej Opery jest od 2019 r. Ale tak nerwowo zareagował na negatywną recenzję jednego z wystawianych przez niego spektakli po raz pierwszy. Krytyczka teatralna Wiebke Hüster nazwała przedstawienie w opublikowanym na łamach gazety „Frankfurter Allgemeine Zeitung” artykule „chaotycznym i nudnym”.

W niedzielę Goecke natarł jej twarz odchodami swojego jamnika Gustava.

Świadkowie opisują, że Goecke skonfrontował się z autorką w czasie premiery spektaklu „Wiara-Miłość-Nadzieja”. Podszedł do niej w foyer opery podczas pierwszej przerwy. Najpierw napadł na nią słownie, a potem wyjął z kieszeni torebkę na psie odchody i wysmarował jej zawartością twarz dziennikarki. Niemieckie media dodają, że jamnik Gustav stałe mu towarzyszy i cieszy się pewną lokalną sławą, uczestni-



FOT. CHRISTOPHE GATEAU/PICTURE-ALLIANCE/DPA/AP

czył nawet w obiedzie z księżniczką Karoliną z Monako.

Krytyczka obmyła twarz i pojechała na posterunek policji.

Cytowana przez „Guardiana” dyrektorka artystyczna Opery Laura Berman przeprosiła dziennikarkę w imieniu instytucji i zapowiedziała wewnętrzne śledztwo. Dodała, że Państwowa Opera w Hanowerze to „otwarte, nastawione na pełną szacunku współpracę miejsce”. ●

Marta Górna

„Wyborcza” poleca

Duży Format

Lwów płacze, pije, dyskutuje

Polacy widzą na naszych ulicach czarno-czerwone flagi i robią wielkie oczy, a przecież kult Bandery nie jest przeciwko nim! – przekonują nas młodzi mieszkańcy Lwowa.

Zuzanna Bukłaha i Bartosz Józefiak sprawdzili, czym żyje Lwów w rok od wybuchu wojny



Top 4 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Poniedziałek

Joe Biden w Polsce

1 Prezydent USA zamierza spędzić w Polsce prawie trzy doby. Biden wygłosi w Warszawie przemówienie – drugie w ciągu roku – w którym znajdzie się podziękowanie polskiemu społeczeństwu za pomoc Ukraincom, a Polsce – za stabilizującą rolę na wschodniej flance NATO. Biden prawdopodobnie odwiedzi amerykańskich żołnierzy stacjonujących w Rzeszowie, niewykluczone, że dojdzie też do spotkania z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim.



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI, FRANCISZEK MAZUR / AGENCJA WYBORCZA.PL, HANS PENNINK / AP, MATERIAŁY PRASOWE

Poniedziałek

Dębski dla Pendereckiego

2 Symfoniczny projekt stworzony przez Radzimira Dębskiego w hołdzie Krzysztofowi Pendereckiemu. Wspólnie z orkiestrą NFM Filharmonii Wrocławskiej pod batutą Macieja Tworka Dębski wykona wybrane utwory Pendereckiego oraz własne kompozycje. Repertuar powstał w porozumieniu z Europejskim Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego w Łusławicach. 20 lutego. Godz. 17.30 oraz 20, Teatr Wielki – Opera Narodowa w Warszawie.



Środa

Skoki po medale

3 W słoweńskiej Planicy zaczynają się mistrzostwa świata w narciarstwie klasycznym: czyli skokach, biegach i kombinacji norweskiej. To najważniejsza impreza sezonu dla polskich skoczków, a Dawid Kubacki, Piotr Żyła i Kamil Stoch liczą na medale. Mają trzy szanse: w konkursach indywidualnych na normalnej i dużej skoczni oraz w konkursie drużynowym.



Piątek

Dyryguje Cate Blanchett

4 Film „Tár” Todda Fielda – uznana kompozytorka Lydia Tár (Cate Blanchett) zostaje pierwszą w historii kobietą dyrygentką największej niemieckiej orkiestry – ma duże szanse na Oscara, w kilku kategoriach. Mówi się o nim też dlatego, że amerykańska dyrygentka Marin Alsop uznała, że film ma paralelę z jej życiem. I że atakuje kobiety. W piątek polska premiera.



Liczba tygodnia

41

TYSIĘCY
przekroczyła liczba ofiar śmiertelnych trzęsienia ziemi w Turcji i Syrii. Każdego dnia powiększa się liczba osób, które straciły swoje domy. Prawdopodobnie 23-24 mln osób zostało w jakiś sposób dotkniętych skutkami katastrof – szacuje Polska Akcja Humanitarna i gromadzi pomoc

Rozmowa z Grzegorzem Lizurkiem z Zakładu Sejsmologii Instytutu Geofizyki PAN w Warszawie

Dlaczego nie umiemy przewidzieć trzęsienia ziemi?

Człowiek lekceważy zagrożenia długoterminowe, szczególnie te, których prawdopodobieństwo szacuje się na kilka-kilkanaście procent

Lizurek

TOMASZ ULANOWSKI: Dlaczego sejsmolodzy nie przewidzieli tragicznego trzęsienia ziemi w Turcji?

GRZEGORZ LIZUREK: Nauka nie ma odpowiednich narzędzi, żeby postawić deterministyczną prognozę trzęsienia ziemi – ostrzec, w jakim dokładnie miejscu i o jakiej godzinie pojawią się wstrząsy sejsmiczne o konkretnej energii. Procesy tektoniczne prowadzące do trzęsień są złożone i długotrwałe. Za mało o nich wiemy.

Ktoś w Holandii chwali się jednak, że parę dni wcześniej przewidział tureckie trzęsienie ziemi.

– To astronom amator, który miał po prostu szczęście. Jego metoda nie przeszła naukowej weryfikacji – nie została poddana recenzji, opisana w literaturze i potwierdzona przez innych badaczy.

Nie miałbym oczywiście nic przeciwko temu, żeby okazała się skuteczna. Ale pojedynczy traf nie może przesądzać o prawdziwości hipotezy naukowej. Co ważne, ta rzekoma prognoza nie była szczególnie precyzyjna. Mówiła o tragicznym trzęsieniu ziemi w Turcji w najbliższym czasie, bez miejsca, czasu i wielkości wstrząsu.

Mówiąc mniej elegancko, Holender wywróżył to trzęsienie z fusów?

– I podzielił się swoją przepowiednią na Twitterze.

Skoro nie możemy liczyć na determinizm, to może na rachunek prawdopodobieństwa? W sposób probabilistyczny dość dobrze prognozują się dziś pogody – obecnie nawet na

sześć dni do przodu, choć przecież atmosfera to układ chaotyczny.

– Ależ potrafimy postawić probabilistyczną prognozę sejsmologiczną dla konkretnych rejonów Ziemi. Tyle że nie na najbliższe sześć dni, ale na 50 lat. Rozdzielczość czasowa (i przestrzenna) prognozy sejsmologicznej jest o wiele mniejsza niż w przypadku prognoz pogody. Jest tak dlatego, że tempo procesów tektonicznych jest bardzo powolne. Liczymy je w dziesięciatkach czy nawet setkach tysięcy lat. A sejsmologia istnieje od ledwie 100 lat.

To oczywiście wystarczyło, żeby zrozumieć, które rejonny świata są zagrożone i dlaczego, a także, żeby stworzyć dla nich mapy zagrożenia – określające ryzyko wystąpienia wstrząsów powyżej pewnych progowych wartości w najbliższych 50-150 latach.

Te mapy powinni brać pod uwagę mieszkający tam ludzie. Szczególnie ci, którzy projektują i stawiają budynki.

Prognoza na 150 lat wprzód? A kogo to obejdzie?

– Człowiek lekceważy zagrożenia długoterminowe, szczególnie te, których prawdopodobieństwo szacuje się na kilka procent. Pewnie inaczej całe życie umieralibyśmy ze strachu.

A skąd ta słabość nauki w krótkoterminowym przewidywaniu trzęsień ziemi? Wystarczyłoby ostrzeżenie z kilkudniowym wyprzedzeniem.

– Szacunkowy błąd takiej prognozy byłby większy niż samo prawdopodobieństwo wystąpienia wstrząsów. Czyli dochodziłoby do dużej liczby fałszywych alarmów.

Ale dlaczego, z czego to wynika?

– Mówimy o naprężeniach skorupy ziemskiej narastających w trzech wymiarach na głębokości od 10 do 200 km i przez setki lat (to czwarty wymiar). Nawet jeśli wywiercimy dziurę w Ziemi (najgłębsze odwierty sięgają 10 km) i opuszczymy do niej instrument badawczy, to pokaże nam on warunki panujące w jednym punkcie w danej chwili. A uskok tektoniczny nie jest punktem. Ten, który wywołał trzęsienie ziemi w Turcji, ma ponad 100 km długości i 70 km szerokości. Przechodzi przez skały o różnej gęstości. To wszystko w zasadzie uniemożliwia zrozumienie, co tam dokładnie się dzieje.

No i trzęsienia ziemi w poszczególnych miejscach zdarzają się względnie rzadko – jak w Turcji, co 20-30 lat. Więc mamy mało próbek pomiarowych. Pomiedzy tymi wielkimi wydarzeniami potrafimy tylko mierzyć prędkość przemieszczania się płyt tektonicznych – rzędu 2-10 cm na rok.

W Turcji w niektórych miejscach grunt przesunął się o kilka metrów.

– Przesunięcie w płaszczyźnie uskoku miało ok. 3 m. Było to największe od 100 lat trzęsienie ziemi w tym rejonie świata. Magnituda największego wstrząsu – w nocy 6 lutego – sięgnęła 7,8 (w tej skali każdy stopień wyżej oznacza 10 razy większą energię).

Na uskokach, w których płyty tektoniczne ocierają się o siebie – tu płyta anatolijska i arabska – bardzo rzadko zdarzają się wstrząsy o magnitudzie bliskiej 8 i więcej. Takie zachodzą najczęściej w strefach subdukcji, gdzie jedna płyta wciska się pod drugą.

Sejsmolodzy lubią mówić, że to nie trzęsienia ziemi zabijają, ale zła architektura.

– Ja bym powiedział, że zabija cywilizacja. Ludziom pierwotnym mogły się zawalić na głowę najwyższe szalasy. Kilkadziesiąt sekund drgań dało się wytrzymać – drzewa bardzo rzadko się od nich łamią. Dlatego budownictwo na terenach zagrożonych trzęsieniami powinno być poddane ostrym normom. W Turcji, jak widać, nawet jeśli te normy były, to nie były przestrzegane. Nawiasem mówiąc, gdyby w centrum Polski tak mocno zatrzęsła się ziemia, to ofiar byłoby więcej. Nasze domy w ogóle nie są budowane tak, by wytrzymać trzęsienia ziemi.

Ale przecież Polska leży w rejonie sejsmicznie bezpiecznym.

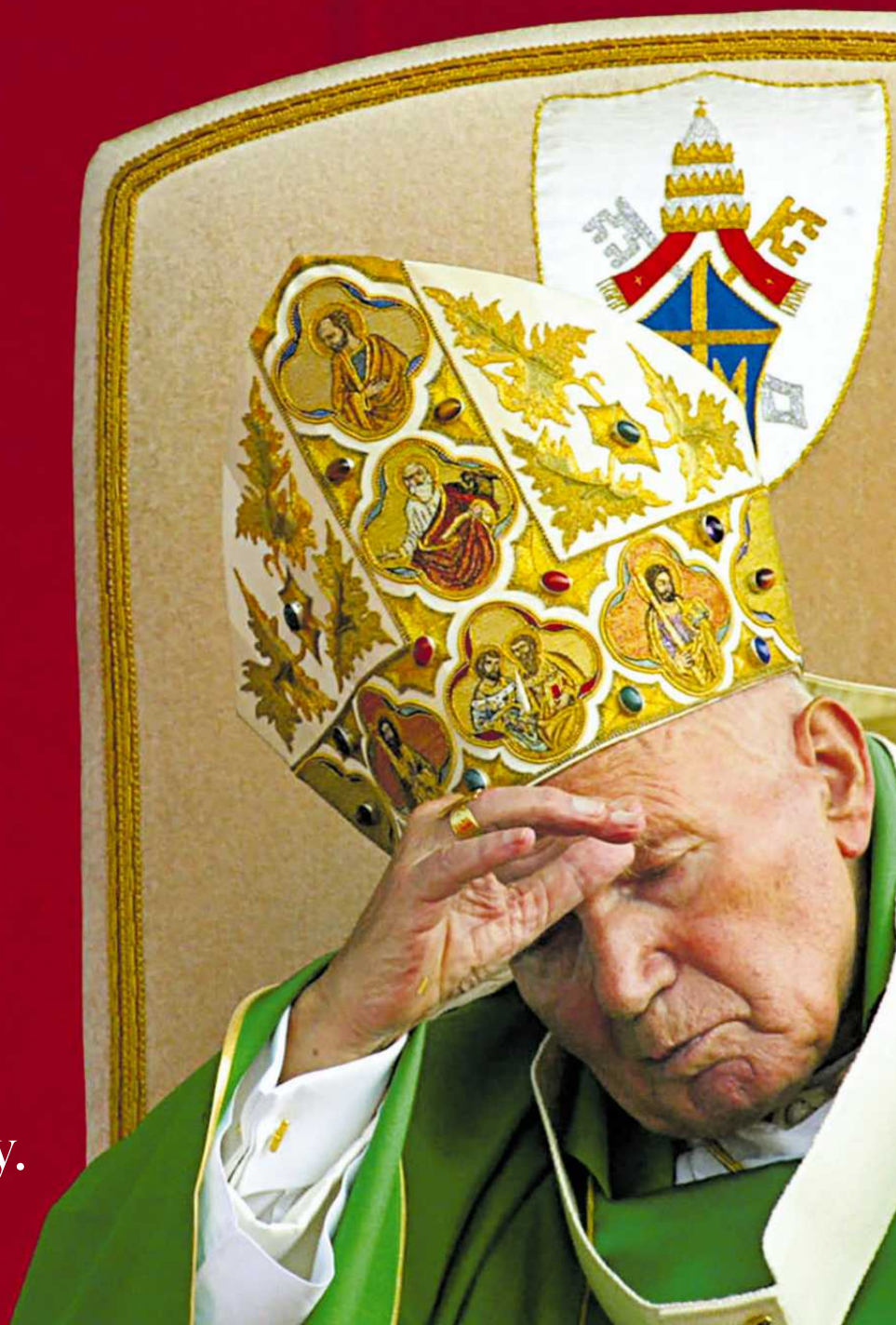
– Względnie tak, leżymy na stabilnej części płyty eurazjatyckiej. Mamy tylko wypiętrzające się wciąż Karpaty, w których czasem dochodzi do trzęsień ziemi. Wciąż wypiętrza się również Półwysep Skandynawski, stąd czasem wstrząsy w północnej części naszego kraju. Te odczuwalne pojawiają się średnio raz na dekadę. 30 listopada 2004 r. zarejestrowano najsilniejszy z nich – na Podhalu o magnitudzie 4,7. Spowodowało niewielkie szkody.

A 5 czerwca 1443 r. w wyniku trzęsienia ziemi z epicentrum w Bańskiej Szczawnicy na terenie dzisiejszej Słowacji – jego magnitudę ocenia się na 6,5 – w Krakowie zawaliło się sklepienie kościoła św. Katarzyny. Zginęło wtedy 30 osób. ●

Rozmawiał Tomasz Ulanowski

JEST WIELKI NAWET JEŚLI POBŁĄDZIŁ

Ja nie wierzę w to,
choćbyś ze mnie pasy darła,
że papież świadomie krył zbrodniarzy.
A on nie żyje i nie może się bronić.



Z **ADAMEM MICHNIKIEM**
ROZMAWIA **DOMINIKA WIELOWIEYSKA**

Po latach kultu papieża dowiadujemy się strasznych rzeczy o kryciu pedofilii w Watykanie. Nie wszystko da się wytłumaczyć podeszłym wiekiem i złym stanem zdrowia Jana Pawła II. Nie da się zważyć całej winy na współpracowników papieża takich jak kard. Stanisław Dziwisz i kard. Angelo Sodano. Kościół powtarza: „Polacy, nic się nie stało”. A to z kolei powoduje, że szczególnie młodzież jest bardzo radykalna w potępieniu papieża.

– Rozumiem, że nadszedł czas rozliczeń. Jednak dla mnie nie do przyjęcia jest redukcja polskiego papieża tylko i wyłącznie do skandali pedofilskich. A tak, niestety, czynią niektórzy komentatorzy i politycy. Tymczasem Jan Paweł II to jedna z najwybitniejszych postaci życia publicznego w polskiej historii XX w. Nie ma ludzi, którzy nie popełniają błędów, wykuci z jednej skały i święci w każdym wymiarze. Ja staram się myśleć o całym dorobku i życiu Jana Pawła II. I jeżeli przyjąć, że w tej sprawie on pobłądził, to nie może to unieważniać wszystkich jego dokonań. Zbyt wiele mu zawdzięczam i jestem zdania, że zbyt wiele zawdzięcza mu Polska, żeby sprowadzać jego pontyfikat do tego jednego wątku. Choć jednocześnie uznaję, że spoczy-

wa na nim – jako zwierzchniku Kościoła – część odpowiedzialności za te straszne błędy i ohydne zdarzenia.

Nie chcesz redukcji tego pontyfikatu do krycia pedofilii, jednak nie można uciekać od rozliczenia papieża w tej mierze. Użyj języka kościelnego: najpierw trzeba stanąć w prawdzie, a potem można kreślić wielowymiarowy obraz tego pontyfikatu. Tymczasem Kościół ucieka od tej prawdy.

– Ja za mało wiem na ten temat. Mam też przekonanie, że niewiele osób wie, jak się rzeczy miały naprawdę. Ty też nie wiesz wszystkiego, w wielu sprawach błądzimy po omacku, dlatego jestem ostrożny w ocenie poszczególnych narracji.

Mamy wielką falę odrzucenia Kościoła rzymskokatolickiego. Kościół płaci bardzo wysoką cenę za te wszystkie lata samochwalstwa, oportunisty, demagogii, tchórzostwa przed prawdą. I na tej fali odrzucany jest również Jan Paweł II. Jesteśmy świadkami czegoś niesłychanego, tu w Polsce. Pod tym samym balkonem papieskim w Krakowie, gdzie krzyczano „zostań z nami”, ludzie teraz krzyczą „wy...j”. I to jest symboliczne. Kościół przeżywa największy kryzys w swojej historii od czasów reformacji, i to jeszcze będzie trwało. Młodzież odwraca się od Kościoła, przestaje chodzić na lekcje religii. Ludzie nie chcą płacić na

Kościół. Bardzo wiele osób w Kościele to wie. Czekają na jakieś nowe otwarcie takie jak Sobór Watykański II.

Wizerunek Jana Pawła II na świecie jest zrujnowany.

– On nigdzie nie był tak wielbiony jak w Polsce. Nurt krytyczny wobec jego pontyfikatu zawsze był obecny w innych krajach. Zarzucano mu, że odwraca się od osiągnięć Soboru Watykańskiego II. Ta krytyka była mocna zwłaszcza w Niemczech. Oskarżano go o to, że nie dostrzega przemian obyczajowych, nie dostrzega roli kobiet w społeczeństwie. Tylko u nas ten kult był bezdyskusyjny i bezwarunkowy.

Na jaw wychodzą nowe fakty. Gdy Karol Wojtyła był zwierzchnikiem diecezji krakowskiej, jeden z księży został oskarżony, a potem skazany za pedofilię. I Wojtyła, owszem, wyrzuca go z diecezji, ale w zasadzie nic potem nie robi. Ten ksiądz wędruje do innych diecezji i krzywdzi następne dzieci, chociaż wszyscy wiedzą, kim jest.

– Z dzisiejszej perspektywy oceniamy to bardzo surowo, i słusznie, ale wtedy na te kwestie spoglądano inaczej. Wojtyła mógł myśleć, że ukarał tego księdza wszystkimi dostępnymi sobie środkami, a w innych diecezjach nie miał władzy. Dominowało przekonanie, że tacy ludzie mogą przejść

terapię, nie przywiązywano wagi do skutków pedofilii, nie dostrzegano, jak wielka krzywda dzieje się ofiarom. Inna była świadomość społeczna, i od tego historycznego kontekstu nie można uciekać.

Twój dobry znajomy Daniel Cohn-Bendit opowiadał okropne rzeczy o seksualności dzieci.

– Znam tę wypowiedź, rozmawiałem z nim o tym. To było okropne i głupie, ale to był duch czasu, okres rewolucji seksualnej, w którym pękają tradycyjne bariery obyczajowe, a niektórzy jej przywódcy lubili szokować opinię publiczną swoimi wypowiedziami. To jeden z przykładów tego, że różne opinie, wypowiedziane w przeszłości, dziś są absolutnie nieakceptowalne.

Wojtyła był dzieckiem swojego czasu. I to, co dzisiaj jest dla nas oczywiste, czterdzieści lat temu oczywiście nie było. Panowała swego rodzaju zmowa milczenia i nie mieliśmy wiedzy o skali pedofilii czy molestowania, bo wiele przypadków wyszło na jaw dopiero po wielu latach.

Nasze postrzeganie wielu problemów przeszło niesamowitą ewolucję. Weźmy stosunek do środowiska LGBT. Przed laty osoby o orientacji homoseksualnej nie walczyły o prawa LGBT. O tym się nie mówiło. Powiem więcej, byłoby nietaktowne wspominać o czyjejś orientacji seksualnej. Dzisiaj jest zupełnie inaczej. I z tej per-

FOT. VINCENZO PINTO/AP



spektywy można mieć do mnie pretensje, dlaczego ja nie walczyłem o prawa LGBT. No nie walczyłem, byłem niewolnikiem ducha tego czasu, takiej, a nie innej świadomości społecznej i przekonania, że są to sprawy stricte intymne. Nie chodzi mi o proste porównania, lecz jedynie o wskazanie pewnej tendencji: różne grzechy z przeszłości są analizowane z pominięciem kontekstu historycznego i społecznego. Zresztą ja też jestem dziewiętnastowieczny. Mnie te manifestacje, które mają elementy obsceniczne, po prostu rażą, wydają się prymitywne. I nie chodzi mi o to, czy te demonstracje organizują osoby homoseksualne, czy heteroseksualne. Po prostu nie lubię obsceniczności, odzierania seksu z wszelkiej intymności, publicznego obnażania się.

Obawiam się, że ulegasz pisowskiej propagandzie, która puszcza w telewizji rządowej zdjęcia z Parady Równości w Berlinie, gdzie rzeczywiście demonstranci bywają ubrani wyzywająco. W Polsce Marsze Równości mają inny charakter, są demonstracją na rzecz praw środowiska LGBT. – I tu jestem absolutnie po ich stronie. Bez dwóch zdań.

Problem z zamiataniem pedofilii pod dywan jest bardzo bulwersujący, bo tu

mamy do czynienia z rujnowaniem życia ofiar tego procederu.

– Zgadzam się, ale nie mogę pomijać tego, że duch czasów w Kościele, do którego przystępował Karol Wojtyła, był inny, niż jest dziś. Wielu wspaniałych kapłanów nie godziło się na zło, usiłowało go nieudolnie eliminować. Wojtyła mógł myśleć tak: my nie mamy większej wartości niż Kościół, matkę naszą. O matce źle się nie mówi. Nie ujawnia się brudów, bo to zaszkodzi jej wizerunkowi. Pamiętaj, że dla niego Kościół to nie jest instytucja, to nie jest korporacja. To jest mistyczne ciało Chrystusa.

Ja nie chcę go usprawiedliwiać, bo nie mam do tego żadnych uprawnień. Po prostu przyjmuję do wiadomości, że taki to był czas. Zastanów się, jak np. patrzymy dziś na Adama Mickiewicza. Przez pryzmat jego wątpliwych wyborów etycznych czy przez pryzmat jego wielkiego dzieła?

Mickiewicz nie był odpowiedzialny za zarządzanie wielką instytucją. Kto pełni wysoką funkcję, posiada wielką władzę, ten ponosi odpowiedzialność za swoje decyzje, które przyniosły wiele nieszczęść innym ludziom.

W wielu publikacjach, np. książce „Bielmo” Marcina Gutowskiego, w artykułach takich ludzi jak Tomasz Terlikowski czy Zbigniew Nosowski, mamy fatalny obraz hierarchii kościelnej. Były w Kościele osoby, które chciały przeciwstawić się złu – chodzi nie tylko o pedofilię, ale także molestowanie seksualne, wymuszanie seksu w zamian za karierę w Kościele. I te osoby nie tylko były ignorowane, ale wręcz sekowane przez władze kościelne, przez tych biskupów, których powoływał JP II. Papież petryfikował tę patologię. Weźmiemy sprawę Juliusza Paetza. Lista osób, które protestowały w tej sprawie, jest bardzo długa. Funkcjonuje przekonanie, że Wanda Półtawska osobiście zaalarmowała papieża i wtedy Watykan zareagował. To może być mit. Reakcja nastąpiła, bo sprawa została w końcu upubliczniona przez „Rzeczpospolitą”. – Inaczej to zapamiętałem.

Sekwencja zdarzeń była taka:

***sierpień 2000 – ks. Tomasz Węclawski zawozi do Watykanu interwencyjny list grupy księży i osób świeckich oraz rozmawia z kard. Josephem Ratzingerem;**

***maj 2001 – nuncjusz apostolski abp Józef Kowalczyk otrzymuje świadectwa kleryków na temat abp. Paetza;**

***listopad 2001 – Wanda Półtawska powiadamia Jana Pawła II o sprawie abp. Paetza, papież wysłał do Poznania swoich przedstawicieli, którzy spotykają się z klerykami i zbierają relacje na temat arcybiskupa;**

***23 lutego 2002 – artykuł „Rzeczpospolitej” „Grzech w pałacu arcybiskupim”, do czasu tego artykułu konsekwencje wobec Paetza nie są wyciągane;**

***28 marca 2002 – abp Paetz ustępuje z funkcji metropolity poznańskiego.** – Nie wiesz, co działo się od momentu, w którym Wanda Półtawska zawiadomiła papieża.

Jeżeli papież dostaje taką wiadomość, to on musi sprawdzić, czy to nie są plotki i pomówienia. Dziś wszystko wiemy, ale wtedy nie było pewności, czy oskarżenia są słuszne. Zawsze trzeba brać pod uwagę to, że zarzuty mogą być wysrane z palca, mogą być efektem jakiejś intrygi. Nie można wykluczyć, że nuncjusz Józef Kowalczyk i ksiądz Stanisław Dziwisz blokowali dopływ informacji na ten temat. Albo przekonywali papieża, że to kłamstwa, a on im ufał.

Jednak nie sądzę, by blokował takie informacje kard. Joseph Ratzinger, z którym Wojtyła często rozmawiał, a nawet się przyjaźnił. A od spotkania z Ratzingerem w sprawie Paetza muszą minąć prawie dwa lata. – Jeśli papież wysłał swoich ludzi do Poznania, to znaczy, że chciał to wyjaśnić.

Prof. Tomasz Polak (niegdyś Tomasz Węclawski), który był wtedy w oku cyklonu, mówił w „Więzi”: „Dwuosobowa »komisja« papieża pracowała bardzo wnikliwie. Jednak miesiąc po wyjeździe tej komisji – czyli w styczniu 2002 r. – dotarła do nas informacja, że próbowano załatwić sprawę Juliusza Paetza z pomocą tak zwanego kopa w górę, czyli wysłania go z Poznania do Rzymu jako przedstawiciela Stolicy Apostolskiej przy ONZ do spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO), tyle że on sam się na to nie zgodził. Wniosek z tego, że w istocie dalej nic się nie działo. I myślę, że nie działoby się nadal, gdyby nie artykuł »Rzeczpospolitej«. Nawet dotarcie pani Półtawskiej do papieża w gruncie rzeczy nie spowodowało jakiejś zasadniczej zmiany sytuacji”. – Tego nie wiemy na pewno. To jest domniemanie prof. Polaka. Prawdą jest, że decyzja w sprawie Paetza została podjęta. Być może papież nie chciał go potępić ani poniżyć, tylko przesunąć na takie stanowisko, na którym nie miałby władzy i nie mógł molestować kleryków. Chciał w ten sposób zapobiec krzywdzie.

Paetz powinien zostać ukarany, a nie przeniesiony, rujnował życie młodym klerykom. Nie żałujesz, że czekałeś, aż „Rzeczpospolita” opublikuje tekst o Paetz? Nasi dziennikarze też mieli informacje na ten temat.



Pod tym samym balkonem papieskim w Krakowie, gdzie krzyczano „zostań z nami”, ludzie teraz krzyczą „wy...j”.
Kościół przeżywa największy kryzys w swojej historii od czasów reformacji

– Nie, nie żałuję. Uważałem wtedy i uważam także dzisiaj, że jeżeli się chce postawić komukolwiek tak obciążające zarzuty, to trzeba mieć na to twarde papiery, a myśmy ich wtedy nie mieli. Wszystko, co mieliśmy, to było takie „szu, szu, szu”. Ja wiem, co może zrobić słowo w mediach: może człowieka zabić. Nie chciałem być tym zabójcą. Ja wiem, co o mnie pisano na podstawie plotek wyspanych z palca. Dlatego nie chciałem puszczać tekstu na podstawie informacji, do których ja nie miałem stuprocentowego zaufania. Obawiałem się, że tu ktoś może kręcić swoje lody czy chce coś rozegrać. Uważałem, że lepiej, aby to zweryfikował i wziął na siebie dobry katolik Janek Skórzyński, który wówczas był jednym z szefów „Rzeczpospolitej”.

To była twoja kalkulacja: jeśli Kościół zareaguje, to raczej na artykuł w „Rzeczpospolitej”, a nie w „Gazecie Wyborczej”, którą uważał za wroga sobie. A konserwatywnej „Rzeczy” hierarchowie nie mogli zlekceważyć. – To nie była kalkulacja, to była troska o rzetelność. Natomiast rzeczywiście artykuł „Rzeczpospolitej” przyniósł konkretny skutek albo przyspieszył pewien proces. Może nie miałem racji, ale, mój Boże, ja tyle razy w życiu nie miałem racji, że i to dopiszmy do tej listy, choć nie uważam tego za swój poważny błąd.

Marciał Maciel Degollado, założyciel Legionu Chrystusa, przestępca seksualny, który wykorzystywał nawet własne dzieci, gwałcił seminarzystów. Papież Franciszek opowiedział dziennikarzom, że gdy kard. Ratzinger przyszedł z pewną sprawą do Jana Pawła II, to usłyszał: „Daj to do archiwum, wygrała druga strona”. Ks. Andrzej Kobylński po analizie okoliczności stwierdził, że chodziło o Degollado. Potem Franciszek się wycofywał ze swoich słów. Moim zdaniem zorientował się, że powiedział za wiele, że obciążył Jana Pawła II, więc zmienił wersję: na tym spotkaniu papieża nie było. A decyzję podjął Sodano. Ale to niemożliwe, aby Jan Paweł II o niczym nie wiedział. Mówisz, że nie można opierać oskarżeń na plotkach. Grupa osób pokrzywdzonych przez Degollado przyjechała w 1998 r. do Watykanu gotowa pod nazwiskami złożyć swoje świadectwa, papież był jeszcze w pełni sił. Akt oskarżenia przeciwko Degollado został przygotowany w Kongregacji Nauki Wiary w 1999 r. Po upływie kilku miesięcy ofiary otrzymały oficjalne pismo o zawieszeniu postępowania. Do spotkania, o którym wspomina Franciszek, musiało dojść kilka tygodni lub kilka miesięcy przed wysłaniem tego pisma.

– Ja o tej sprawie wiem tylko tyle, ile przeczytałem w gazetach i usłyszałem w tej chwili od ciebie. I chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia Angelo Sodano czy Stanisław Dziwisz, jakie oni mają argumenty.

W ostatnich latach życia Jana Pawła II watykańscy dostojnicy otrzymywali duże sumy pieniędzy od Legionu Chrystusa, np. za wprowadzanie bogatych darczyńców Legionu na papieskie msze w prywatnej kaplicy. Legion miał także finansować imprezy na cześć Stanisława Dziwisza, m.in. przyjęcie na kilkaset osób w hotelu w Rzymie z okazji mianowania go biskupem.

– To dotyczy Dziwisza, a nie papieża. Ja uważam, że twarde dowody na to, że papież dokładnie wiedział, jakim przestępcą jest Degollado, brakuje. I stosuję domniemanie niewinności. Odwołam się do tego, co mówi o. Adam Żak, koordynator KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży. Degollado oszukał nie tylko Jana Pawła II, ale też wiele innych osób. Pochodził z Meksyku, gdzie jeszcze w latach 20. XX w. rozstrzeliwano księży za prowadzenie działalności duszpasterskiej. Degollado najpierw w Meksyku rozwinął swoją działalność i przedstawił się papieżowi jako uczestnik walki przeciwko prześladowaniom Kościoła i zyskał w ten sposób kredyt zaufania.

Jego działalność była bardzo prężna, bo założona przez niego wspólnota Legionu Chrystusa miała liczne powołania i rozwijała swoją działalność coraz szerzej. Degollado miał świetny PR. Wrażenie rozmachu stworzonego przez Degollado dzieła, talent organizacyjny plus swego rodzaju „heroiczna przeszłość” obrońcy wiary i Kościoła – która była jego wynysłem – sprawiły, że nie tylko Jan Paweł II mógł uwierzyć, że pojawiające się pogłoski o jego przestępstwach to spreparowane przez niechętnych Macielowi i Legionowi Chrystusa pomówienia.

Jedno wiem na sto procent, ja nie wierzę w to, choćbyś ze mnie pasy darła, że papież świadomie krył zbrodniarzy. A on nie żyje i nie może się bronić.

Domniemanie niewinności można stosować wobec zwykłego obywatela, a nie wobec człowieka posiadającego wielką władzę. Papież się zachował jak prezes korporacji, a nie człowiek, który mówi, co jest dobre, a co złe. – Tak, niestety, i ja mam z tym wielki problem. To najslabszy punkt mojej linii obrotu. Ale przekonany jestem, że domniemanie niewinności dotyczy każdego człowieka, a już na pewno powinno dotyczyć człowieka, który skądinąd zasługuje na wielki szacunek.

Benedykt abdykował, ponieważ wiedział, że w którymś momencie nie będzie w stanie panować na kurii, będzie marionetką w rękach intrygantów tak jak Jan Paweł II pod koniec życia. Pamiętasz tę scenę? Papież jest ledwo przytomny, przeprowadzają mu Degollado, a on go obejmuje.
– Tak, straszny widok.

Przeczytam ci fragment listu papieża do biskupów amerykańskich z 1993 r., który bracia Karnowscy ostatnio przypomnieli z intencją obrony Jana Pawła II. Ja to interpretuję inaczej: już wtedy papież doskonale sobie zdawał sprawę ze skali patologii w amerykańskim Kościele. W tym liście pisze: „Uświadomiłem sobie, jak bardzo wy, Pasterze Kościoła w Stanach Zjednoczonych, wraz ze wszystkimi wiernymi cierpicie z powodu pewnych przypadków zgorszenia, których przyczyną stali się duchowni”. Apeluje do biskupów w Stanach Zjednoczonych, że muszą stawić czoła temu zjawisku, ale dodaje: „Uznając prawo do należytej wolności przepływu informacji, nie można zgodzić się na traktowanie moralnego zła jako okazji do propagowania sensacji i zgorszenia. Opinia publiczna często żywi się sensacją, a środki masowego przekazu odgrywają w tym szczególną rolę”. W taki sposób papież daje przyzwolenie biskupom na zamiatanie spraw pod dywan: najważniejsze, aby nikt się nie dowiedział.
– O nie, to już jest twoja nadinterpretacja. Gdy słucham twoich pytań i argumentów, to mam wrażenie, że jest w tobie gorliwość neofitki, która rozczarowała się Kościołem instytucjonalnym i teraz przypuszcza jednostronną szarżę. A przecież twoje środowisko i twoja formacja ideowa to Klub Inteligencji Katolickiej. Dziś jesteś pełna gorczy i dlatego formułujesz tak ostre oceny. Żeby była jasność: ja nie uważam, że opinia publiczna nie ma prawa domagać się wyjaśnień od Kościoła w tych wszystkich sprawach, ale jednocześnie podkreślam, że krytyka Kościoła i formułowanie pytań w sprawach drażliwych musi się odbywać z poszanowaniem uczuć osób wierzących, dla których wartości chrześcijańskie i ewangeliczne są bardzo ważne i nadal widzą w Kościele – mimo jego grzechów – orędownika tych wartości. Nie można wobec tych ludzi, przywiązanych do tradycji i wiary katolickiej, okazywać pogardy. To w tej debacie jest niezwykle ważne.

JP II był konserwatywny na tle powszechnego Kościoła, francuskiego, niemieckiego.

W polskim Kościele był jak trockista w stalinowskim biurze politycznym

Muszę być rzecznikiem najbardziej radykalnych krytyków Kościoła i przedstawić ich argumenty, abyś mógł się do nich odnieść. Ale też faktycznie jestem rozczarowana Kościołem instytucjonalnym, który zasłania się pustymi, świątobliwymi frazesami o sacrum, aby ukryć niewiarygodną hipokryzję i bierność wobec zła. Przypomnę ci, że jeszcze całkiem niedawno Kościół wymuszał na ofiarach obietnicę milczenia.

To jest efekt tego nastawienia papieża. Skala pedofilii została ujawniona przede wszystkim – wbrew radom Jana Pawła II – przez media. I dopiero wtedy ofiary zyskały głos. Zło jest piętnowane, a przestępcy często karani dopiero wtedy, gdy media zajmą się sprawą.
– Wojtyła miał w kościołach komunistyczny reżim. Komuniści łapali duszpasterzy, księży i zakonnice na skandalach obyczajowych. I biskupi wiedzieli, że każde rozdmuchiwanie tego jest działaniem na szkodę Kościoła i w interesie SB. A dla księży Kościół jest świętością największą, ikoną. Ja nie chcę powiedzieć, że to było dobre. Tak po prostu było, próbuję to zrozumieć.

Znów zacytuję o. Adama Żaka, który uważa, że papież uczył się tej problematyki i jego świadomość rosła z biegiem czasu. Oprócz listu do amerykańskich biskupów zdecydował o udzieleniu Kościołowi w USA indultu (wyjątek od obowiązującego prawa kanonicznego), w którym podniósł wiek ochrony osób małoletnich do osiemnastego roku życia i wydużył czas, po jakim te przestępstwa przedawniają się. Ojciec Żak zauważa, że nam się to dzisiaj wydaje dość oczywiste, jednak w tamtym czasie takie nie było. Indult stanowił, że procesy kanoniczne miały być wszczynane natychmiast po zgłoszeniu przestępstwa, i faktycznie akceptował zasadę „zero tolerancji”. Miałoby to oznaczać, że każdy ksiądz pedofil – po procesie kanonicznym – miał być wydalony ze stanu duchownego. Ponadto czas przedawnienia został wydłużony do dziesięciu lat.

W momencie, kiedy Jan Paweł II przekonał się, że problem może mieć globalny charakter, w 2001 r. zarezerwował do jurysdykcji Stolicy Apostolskiej wszystkie przypadki wykorzystywania seksualnego małoletnich i zobowiązał do ich zgłaszania wszystkich biskupów ordynariuszy i wyższych przełożonych zakonnych. Jan Paweł II w 2002 r. jednoznacznie określił swoje stanowisko wobec tzw. kościelnej pedofilii, mówiąc do biskupów amerykańskich, że dla księży krzywdzących seksualnie małoletnich nie ma miejsca w stanie kapłańskim i życiu zakonnym.

Cytuję ojca Żaka, aby pokazać, że potrzebny jest pełny obraz działań papieża.

Tylko że te działania nie przyniosły efektu. Jan Paweł II nie wydał lokalnym episkopatom zalecenia, aby o przestępstwach księży zawiadamiać organy ścigania. To sankcjonowało bezkarność.

– Wiem, że papież miał fatalną rękę do wyboru hierarchów, popełniał błędy, był zbyt łatwowierny. Ale przepis o tym, że każdy, także księża, ma powiadamiać prokuraturę o czynie pedofilskim, w Polsce został uchwalony w 2017 r., a więc 12 lat po śmierci JP II. I znów: musiały się zmienić duch czasu i percepcja społeczna tych czynów, by pojawiły się takie zmiany w prawie.

Mówisz jak nieżyjący ojciec Maciej Zięba, który też tak oceniał błędy papieża: miał złą rękę do nominacji.
– Nie wiem, czy ojciec Zięba byłby zadowolony z tego porównania. Wielokrotnie spieraliśmy się w wielu sprawach.

Jeżeli jesteśmy już przy nominacjach papieskich: Jan Paweł II wyniósł do godności kardynalskiej Hansa Hermana Groëra, arcybiskupa Wiednia, który – jak się później okazało – molestował co najmniej kilkudziesięciu chłopców.
– Jego pontyfikat był tak bogaty, tak aktywny, że pewnych spraw nie potrafił kontrolować.

Trudno przyjąć to tłumaczenie. Portal Deon.pl rekonstruuje działania papieża wobec tego austriackiego hierarchy. Biskupi austriaccy tłumaczą, że to przestępca seksualny, dowody są niepodważalne, a papież nadal go promuje i broni.
– Tej sprawy nie znam. I nauczyło mnie życie pewnej wstrzemięźliwości w wypowiedaniu się o rzeczach, których nie znam i nie rozumiem. Nie wiem, czy papież zaufania nie miał do tych ludzi Kościoła austriackiego, czy był zdania, że oni go wprowadzają w błąd, snują jakieś intrygi.

Nie wierzę, że papież dawał kiedykolwiek przyzwolenie dla tego typu rzeczy. Może to jest głupota moja, może to jest moja naiwność, ja raczej bym wierzył w to, że on zbyt często za bardzo ufał ludziom, którzy często dzięki niemu mieli wysoką rangę. Ja twierdzę, że tu było jakieś inne dno, którego do końca nie rozumiem. W rozumowaniu papieża mogło chodzić o rozważania, co jest większym złem, a co jest mniejszym złem. Watykan jak każdy dwór jest otoczony intrygami, plotkami, bardzo trudno było w tym gąszczu odnaleźć prawdę.

Bardzo chciałbym usłyszeć, co on ma do powiedzenia na te tematy, ale my tego już nie usłyszymy. Wiele rzeczy mógłby wyjaśnić kard. Dziwisz, ale, niestety, tego nie robi.

Kardynał Dziwisz w wielu sprawach po prostu kłamał, m.in. w sprawie oskarżanego o molestowanie kleryków kard. Theodora’a McCarricka, kiedy twierdził w rozmowie z Piotrem Kraśko, że nigdy nie wspólnego nie miał z tą sprawą, po czym raport, który został wykonany przez Watykan, pokazywał, że McCarrick do niego pisał, prosił go o wsparcie itd. Poza tym bardzo ponura jest jego rola w promowaniu Degollado.
– Niestety, to prawda, że kardynał kłamał. I to jest dla mnie bardzo bolesne, bo moje osobiste doświadczenia ze Stanisławem Dziwiszem były tylko dobre, zawsze go lubilem i szanowałem. Ale Dziwisz to nie Wojtyła.

Żeglujesz w taką stronę: dobry car, ale zli bojarzy.
– Nie, taki głupi to nie jestem. Jego odpowiedzialność jako zwierzchnika Kościoła jest bezdyskusyjna. On podejmował decyzje i ma je na swoim sumieniu. Ale powtarzam, to tylko część prawdy o Karolu Wojtyłe. Jego błędy, których ja nie neguję, nie mogą unieważniać wielkich zasług. To ten papież poszedł do synagogi i meczetu. Eklebizm był integralną częścią tego pontyfikatu, co ma fundamentalne znaczenie dla światowej debaty publicznej. Nie możemy zapomnieć o słynnym spotkaniu w Asyżu w 1986 r., gdzie zaproszenie Jana Pawła II przyjęły delegacje reprezentujące 13 religii – chrześcijaństwo, judaizm, islam, bud-

dyzm, hinduizm i wiele innych. Ze strony chrześcijańskiej przybyli prawosławni, anglikanie, starokatolicy i protestanci oraz brat Roger i mnisi ze wspólnoty z Taizé. Papież to zrobił, choć wiedział, że narazi się na niechęć kościelnych konserwatystów. Z dzisiejszej perspektywy trudno jest docenić w pełni tę odważną inicjatywę papieża.

A słowa papieża, że każdy ma w życiu swoje Westerplatte? Wspaniałe zdanie, genialne wręcz. Każdy ma taką granicę, której nie wolno mu przekroczyć nigdy. Czy to oznacza, że to zdanie jest nic niewarte, ponieważ w 1992 r. wypowiedział jedną homofobiczną kwestię o osobach homoseksualnych? Przyznaję, że aż mi ścierpła skóra, gdy to usłyszałem. Nie chcę tego cytować, ale to było okropne. Niestety, w tamtym czasie był to pogląd dość powszechny, dziś takie słowa są uważane za niedopuszczalne.

Kościół kreuje się na strażnika sacrum i swoją świątobliwością zasłania się, gdy ludzie domagają się porządnego rachunku sumienia. Jest jak Tartuffe ze „Świętoszka” Moliera, tylko że w tym przypadku chodzi o korporację bezwzględnie strzegącą swoich interesów, a nie o jednego przestępczego hipokrytę. A ty jak raz w miesiącu nie pobronisz Kościoła, to się źle czujesz.

– Jarek Kurski tak mówi. W polskim Kościele katolickim jest wszystko to, co w Polsce najlepsze, i to, co najgorsze. Kościół jest taki, jaki jest nasz naród. Można powiedzieć: to zmienimy sobie naród. Ja nie mam ochoty. Trudno, naród jest taki, jaki jest, i staram się przez całe życie, żeby był trochę lepszy.

Oczywiście na moje postrzeganie papieża ma wpływ to, że miałem okazję rozmawiać z nim kilka razy. I po tych spotkaniach wychodziłem z przekonaniem, że papież to bardzo dobry i uczciwy człowiek. Nie mogę uwierzyć w to, że ma na sumieniu świadome, intencjonalne krycie przestępstw. Chcę niezbitych twardych dowodów, a nie domysłów. Ale i uczciwie mówię, że ja tak do końca nie umiem sobie dać z tym rady.

Kiedy po raz pierwszy rozmawiałeś z Janem Pawłem II?
– W 1989 r. Poprosilem ks. Adama Bonieckiego, aby mi umożliwił spotkanie, bo kiedy papież przyjeżdżał do Polski, to ja siedziałem w więzieniu. Pojechałem do Rzymu. Nie miałem garnituru, więc ks. Boniecki mi pożyczył. To było spotkanie, w którym brała udział tylko nasza trojka. Kolejne spotkania były już w szerszym gronie.
W czasie tej pierwszej rozmowy byłem pod tak ogromnym wrażeniem Jana Pawła II, tak byłem wstrząśnięty i przejęty, że nawet nie pamiętałem, o czym była mowa. Wiedziałem tylko, że mam do czynienia z fantastycznym, niezwykłym człowiekiem o wielkim formacie intelektualnym. Na szczęście Adam wszystko zapamiętał i mi powtórzył.
Potem rozmawiałem jeszcze z papieżem kilka razy, ale już podczas ostatniego spotkania Jan Paweł II był bardzo chory i kontakt z nim był utrudniony.

O czym rozmawialiście w czasie tego pierwszego spotkania? Co ks. Adam Boniecki ci powtórzył?
– Ważny fragment tej rozmowy dotyczył mojego lęku, żeby nie powoływać partii politycznych z przymiotnikami katolicki, ponieważ uważałem, że jest to niebezpieczne dzielenie i konfliktowanie społeczeństwa. Jeżeli dobrze zapamiętałem, to papież zauważył, że w historii Polski nie było takiej mocnej tradycji. Ale generalnie mówił niewiele, słuchał. Był ciekaw opinii ludzi spoza własnej bajki. Nie zamykał się w wieży z kości słoniowej. To był człowiek o zdecydowanych poglądach, a jednocześnie człowiek dialogu. Z wszystkich tych spotkań – i z tego pierwszego, i późniejszych w Castel Gandolfo – zapamiętałem jedno: wie-

działem, że rozmawiam z wybitnym człowiekiem, w którego słowach odnajduję refleksy polskiego romantyzmu: Mickiewicza i Krasińskiego, Słowackiego i Norwida, a także Wyspiańskiego. W jakiejś mierze dowodem na to była depesza od papieża po śmierci Czesława Miłosza, odczytana podczas pogrzebu poety. Przypomnę, że katolicy talibowie atakowali wówczas ideę pochowania Miłosza na krakowskiej Skałce. Był to gorszący spektakl. Telegram papieża wyraźnie pokazywał inną perspektywę od tej, którą chcieli narzucić katolicy fundamentaliści. Odnosiłem wrażenie – tu zgodny jestem z Tadeuszem Bartosiem – że Karol Wojtyła był zapewne ostatnim wielkim polskim romantykiem. Był to romantyzm ducha, który jednoznacznie odrzucał nacjonalizm. Ten wątek nauki Jana Pawła II wydawał mi się zawsze bezcenny. I nie mogą unieważnić tego wizerunku papieża porażki Kościoła instytucjonalnego w dalekim od konsekwencji dążeniu do unicestwienia zarazy pedofilskiej wśród duchowieństwa.

Po latach kultu papieża wahadło odbiło w drugą stronę.
– Zgadzam się. To był kult. Aczkolwiek muszę powiedzieć na swoją obronę, że ja w tym kulcie nie uczestniczyłem. W moich tekstach możesz znaleźć polemikę z papieżem. Napisałem artykuł w „Gazecie Wyborczej”, że Kościół ma problem z wolnością. Otrzymałem ostrą replikę od Ojca Świętego, który w homilii we Wrocławiu wyszedł poza przygotowany tekst i powiedział, że Kościół nie ma żadnego problemu z wolnością, że tylko człowiek wolny może prawdziwie przyjąć Chrystusa. Tymczasem nie to miałem na myśli. Przypomnę jeszcze raz ten wątek, bo to jest ważne w kontekście mojej dzisiejszej obrony Jana Pawła II. Papież przestregał przed interpretowaniem wolności jako swobody absolutnej – świata pozbawionego prawdziwych wartości, w którym człowiek staje się niewolnikiem swoich instynktów i pragnień. I jeśli chodzi o jego przestroge, by nie mylić wolności z dowolnością, to przecież nikt rozumny nie będzie z tym polemizował. Ale za tym musi iść dialog o tym, gdzie kończy się wolność, a gdzie zaczyna się dowolność. Ja uważałem, że Kościół instytucjonalny ma problem ze zrozumieniem demokracji i pluralistycznego społeczeństwa. I chce narzucać swoje poglądy siłą prawa.

Papież był przedstawiany jako postać, która doprowadziła do transformacji demokratycznej w Polsce. Czy jego rola nie była przeceniana? Może nadmier nie umniejsza się rolę ludzi, którzy byli zaangażowani w działalność opozycyjną, mieli jednak odwagę postawić się komunistom.
– Jego wpływ na bieg wydarzeń w Polsce był wyolbrzymiany, ale nie przez niego. On sam nie mówił o sobie: ja tego dokonałem. To był przekaz tłumy wazelinarzy, liżusów, którzy mówili, że tylko Kościół walczył o demokrację. Tak samo jak papież nie był pewnie zachwycony wysypem pomników o wątpliwej wartości estetycznej, ale nie on nakazywał je stawiać.
Owszem, bolało mnie, że w Radomiu nie wspomnial o Komitecie Obrony Robotników. My jako KOR-owcy mogliśmy się doczekać słów uznania od Aleksandra Kwaśniewskiego, a od Ojca Świętego nie.
Jednak nie zmienia to faktu, że papież uczynił wiele dobrego. Nigdy nie zapomnę – i to zostanie na zawsze wykute w polskiej zbiorowej pamięci – jak wypowiedział to słynne zdanie o Warszawie opuszczonej przez sprzymierzeńców. Pierwszy raz setki tysięcy ludzi usłyszało to, co przez lata było spychane w podświadomość. Powiedział to bardzo dyplomatycznie, a mianowicie, że nie może być sprawiedliwej Europy bez niepodległej Polski na jej mapie. I to było niezwykle. Byłem wtedy na tym placu, siedzieliśmy razem z dominikaninem o. Ludwikiem Wiśniewskim i nagle zobaczyłem, że na moich oczach ten tłum, zazwy-

czaj stłamszony, spsiały, smutny, ożył, jakby dostał tlenu. Przez tych ludzi przeszedł błysk wolności i tożsamości. Nie można nie doceniać tych słów, które wypowiedział w Polsce: „Niech zstąpi duch twój i odmieni oblicze ziemi, tej ziemi”. To nie jest przypadek, że w Stoczni, w sierpniu 80 r., wywieszano portrety papieża.
I teraz, jeżeli jesteś świadkiem debaty, gdzie o tym ani słowa nie ma, a mówi się tylko o pedofilii, to jest to – moim zdaniem – niesprawiedliwe. Mówię to jako osoba spoza Kościoła katolickiego, nie jestem katolikiem, nie jestem ochrzczony, choć uważam się za przyjaciela Kościoła katolickiego. I jest to przyjaźń bez wzajemności, mam tego świadomość.

Wojtyła był dzieckiem swojego czasu. I to, co dzisiaj jest dla nas oczywiste, czterdzieści lat temu oczywiste nie było

Czy uważasz, że bez wyraźnego głosu papieża przegralibyśmy referendum w sprawie wejścia Polski do Unii Europejskiej?
– Było takie ryzyko.

Papież nie podzielał obaw polskiego Kościoła, że się zlaicyzujemy, kościoły będą puste.
– Deklaracja papieża „Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej”, wygłoszona w Rzymie w 2003 r., a więc niedługo przed kłuczowym referendum, jest nie do przecenienia, bo wielu hierarchów patrzyło na tę sprawę zupełnie inaczej. Abp Józef Michalik, wówczas przewodniczący Episkopatu, powiedział publicznie, że nie głosował w referendum, ponieważ część jego owczarni była za Unią, część była przeciw Unii. W Sejmie papież mówił otwartym tekstem: „Polska ma pełne prawo, aby uczestniczyć w ogólnym procesie postępu i rozwoju świata, zwłaszcza Europy. Integracja Polski z Unią Europejską jest od samego początku wspierana przez Stolicę Apostolską”.
Gdyby nie ta jasna deklaracja, większość księży i biskupów nawoływałaby – jak przypuszczam – do głosowania przeciwko integracji europejskiej.

Dla młodych to, że papież popierał UE, stawiał na ekumenizm czy zwalczał antysemityzm, nie jest niczym nadzwyczajnym. Dla nich to naturalne.
– Dziś łatwo tak mówić, wtedy wynik i frekwencja w referendum były wielką niewiadomą. Nie wiem, czy w moim kraju to jest takie oczywiste, że nacjonalizm i antysemityzm to zło. Szczególnie gdy patrzę na marsze narodowców w Warszawie, miejsce zburzonym przez nazistów. Na świecie wciąż obserwujemy wielką falę populizmu, nacjonalizmu, oportunistu, demagogii, chamstwa, które wypełnia coraz większą przestrzeń. W żadnym liście pasterskim papieża, w żadnej encyklice, w żadnej homilii nie znajdziesz śladu nacjonalizmu. A dziś nacjonalizm odżywa w Europie.

Ale doceniał Radio Maryja i Rydzyka.
– Nie, to nieprawda, Rydzyk tak manipulował, by stworzyć taki obraz.

Jednak wypowiadał ciepłe słowa pod adresem tego radia.
– Może raz wypowiedział, pozdrowił słuchaczy radia. Nie wiedział jeszcze zbyt wiele o tym środowisku. Radio Maryja ciągle pokazywało jedyną fotografię Rydzyka z papieżem. Potem Rydzyk był ignorowany.

Wiem to dobrze, bo tę kwestię mam przegadaną z bp. Tadeuszem Pieronkiem.

Papież w Rzymie kilka razy pozdrowiał słuchaczy Radia Maryja, chwalał ewangelizacyjną misję radia. Witał ojca dyrektora, choć nie wymieniał jego nazwiska. Działo się to w latach 1995-2000. Oczywiście papież na takich spotkaniach pozdrowiał wiele środowisk, więc to nie było nic nadzwyczajnego, ale miało miejsce. Prawdą jest, że na jednym z tych spotkań z pielgrzymką z Torunia papież wbił szpilę Rydzykowi, że powinien się bardziej słuchać Episkopatu.
– Jan Paweł II nie mógł odrzucać słuchaczy Radia, którzy pielgrzymowali do Rzy-

mu, ale miał duży dystans do Rydzyka. I ja w tej sprawie daję bardziej wiarę temu, co mi mówił bp Pieronek. W moim przekonaniu Jan Paweł II był człowiekiem uformowanym przez Polskę różnorodną. Nigdy nie odwoływał się do języka „katolickiego państwa narodu polskiego”. Przeciwnie, bliski był mu duch jagielloński, o czym wyraźnie mówił w swojej książce „Pamięć i tożsamość”. Jednocześnie był ogromnie przywiązany do polskiego ducha solidarności. Niedawno słowa z jego orędzia na Światowy Dzień Pokoju w 1987 r. przypominał szef Europejskiego Centrum Solidarności Basil Kerski.
„Liczne są, niestety, przeszkody na drodze do solidarności, postawy polityczne i ideologiczne, które utrudniają lub ograniczają urzeczywistnienie solidarności pomiędzy ludźmi i narodami. Chodzi tu o te postawy czy rodzaje polityki, które pomijają lub kwestionują podstawową równość i godność osoby ludzkiej. Mam tu w szczególności na myśli:
● ksenofobię, która zamyka narody w sobie lub skłania rządy do wydawania dyskryminujących praw, godzących w ludzi w granicach ich własnych krajów;
● zamykanie granic w sposób samowolny i niesprawiedliwy, w wyniku czego ludzie są całkowicie pozbawieni możliwości poruszania się i poprawienia swego bytu, łączenia się z najbliższymi czy po prostu odowiedzenia rodziny lub okazania innym troski i zrozumienia;
● ideologie głoszące nienawiść i nieufność, systemy, które wznoszą sztuczne bariery. Nienawiść rasowa, nietolerancja religijna, podziały klasowe – wszystko to nasila się w wielu społeczeństwach, zarówno w sposób jawny, jak i utajniony.
„Wprowadzenie tego typu podziałów przez przywódców politycznych do systemu panującego w danym kraju lub do polityki dotyczącej stosunków z innymi narodami sprawia, że owe uprzedzenia go-

dzą w samą istotę ludzkiej godności” – mówił papież.

Papież był postępowy w pewnych sprawach, np. wymienionego przez ciebie ekumenizmu, ale jednak był bardzo ortodoksyjny, konserwatywny w sprawach obyczajowych.
– To prawda. On był pod tym względem bardzo ciekawą konstrukcją, bo na tle polskiego Kościoła on konserwatywny nie był. On był konserwatywny na tle powszechnego Kościoła, francuskiego, niemieckiego. W polskim Kościele był jak trockista w stalinowskim biurze politycznym. Adam Boniecki wydrukował niegdyś list młodego Wojtyły z 1939 r., gdzie on ocenia II RP surowo. To jest tekst, który mógł spokojnie napisać sympatyk PPS czy PSL Wyzwolenie, lewicowy społecznie, otwarty.
Ale nie chodzi tylko o to, co mówił, ale jak on to mówił. Styl jego wypowiedzi był zachętą do rozmowy. Spróbuj dzisiaj spytać kogoś z „Tygodnika Powszechnego”, czy może porozmawiać ze swoim abp. Marciem Jędraszewskim tak, jak rozmawiał kiedyś z kardynałem Wojtyłą. Oczywiście nie, bo kuria krakowska to obłożona twierdza.

Tvoja obrona Jana Pawła II ma swój konkretny cel: nie chcesz, aby ta postać była zawłaszczona przez nacjonalistów, ultrakonserwatystów oraz wrogów demokracji, a może się tak stać w przypadku wojny religijnej.
– W warunkach przekształcenia konfliktu politycznego w wojnę religijną istnieje takie zagrożenie. Żadna partia nie może uczynić z papieża ikony ONR i chuliganów politycznego nacjonalizmu i wrzaskliwej mowy nienawiści. Oni nie czytają tego, co napisał papież, wykorzystują go tylko jako symbol w wojnie religijnej, symbol, którego bronią przed lewakami. A tymczasem za czasów Wojtyły trwał dialog. I to był pierwszy papież, który tak bardzo eksponował prawa człowieka. Przedtem tego nie było w Kościele. Gdy mówił o antysemityzmie, to było to jednoznaczne, ostre. Na tle historii Kościoła, jak mi powiedział bp Tadeusz Pieronek, on zrobił w tej sprawie więcej niż wszyscy inni papieże przed nim. Wojtyła jakby miał wycucie pulsu tego narodu. To był człowiek, który ten kraj bardzo kochał, a jednocześnie miał świadomość jego słabości. A przy tym Wojtyła był mistykiem i bez tego świadectwa, bez tej strony jego pontyfikatu my Wojtyły nie zrozumiemy. Dlatego zawsze będę żądał, aby przedstawiać pełny bilans tego pontyfikatu, bo pokazywanie tylko wąskiego wy-cinka jest fałszowaniem historii. Nie znam nikogo, kto chciałby bagatelizować czy re-latywizować pedofilię, ale Jan Paweł II był ważny i wielki mimo niejednej oczywistej pomyłki. Był to najwybitniejszy Polak XX wieku. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirski
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA



Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Kreml jest bezsilny wobec nawołującego do przewrotu Igora Girkina-Strielkowa, bo on wyraża to, co myślą coraz bardziej rozdrażnieni nieudolnym prowadzeniem wojny, domagający się głów patrioci, orędownicy wojny na poważnie.

Z tego, co ostatnio słyszę od frontmenów propagandy kremłowskiej, największe wrażenie zrobiły na mnie wywody politologa Siergieja Markowa, tłumaczącego, jak władza powinna reagować na zuchwałe wypadki emerytowanego pułkownika FSB, który nazywa Putina to „ prostytutką”, to „dziadem w bunkrze” i oskarża o strach przed działaniem.

– Strielkow ogłosił, że w głowach elit władzy ta w... (Markow trzyma się zakazu używania słowa „wojna”, bo za to idzie się do łagru) jest przegrana. A Strielkowowi wierzą bardzo liczni. Jeśli go teraz zmusić do milczenia, ci wierzący odczytają to jako potwierdzenie jego racji. Upewnia się tylko, że elity to kapitulanci, grają na klęskę specjalnej operacji wojskowej – przestrzega ekspert.

Jego zdaniem postąpić należy na odwrót. – Nie wolno zamykać gęby Strielkowowi, lecz pokazać, że elity Rosji wierzą w zwycięstwo Rosji. I wszyscy zobaczą naocznie, że on nie ma racji.

Markow jest wystarczająco doświadczony i bliski centrum władzy, by wiedzieć, co należy i wolno powiedzieć. I wie dobrze, że w jego kraju argumentem, jakim zwykle władza posługuje się, przekonując oponentów, że nie mają racji, są kule w plecy, jak w przypadku dziennikarki Anny Politkowskiej i polityka Borysa Niemcowa, lub gaz bojowy nowiczok, którym próbowano otruć Nawalnego.

W czasie wojny choćby za użycie w sieci zakazanego słowa na „w” trafia się do łagru. Za dyskredytację poczyniła armii na froncie ukraińskim – choćby krytykę nieporadnych generałów – automatycznie wszczynane jest dochodzenie z paragrafów kodeksu karnego przewidujących kilkanaście lat pobytu tam, gdzie można podziwiać zorze polarne.

A Girkina-Strielkova na każdym spotkaniu z coraz liczniejszymi zwolennikami czy w każdym exposé w internecie (do telewizji dostępu nie ma) potrafi nagać na tyle, że powinien siedzieć do końca holocenu, czyli obecnej epoki geologicznej.

To mu jednak nie grozi. Zamiast zastrzelić, otruć czy posadzić, Kreml całym swym postępowaniem, jak uważa Markow, ma przedstawić mu świadectwo swego patriotyzmu.

Coś niebywalego, a wytłumaczyć takie podeszcie można tylko strachem.

52-letni dziś oficer służb, weteran kilku wojen, publicysta, monarchista, zbrodniarz wojenny skazany (zaocznie) przez sąd holenderski na dożywocie za udział w zestrzeleniu malezyjskiego boeinga 777 (17 lipca 2014 r. nad Donbasem – 298 ofiar) nazywa się Igor Wsiwołodowicz Girkina.



LEPIEJ WIEM, JAK WYGRAĆ WOJNĘ

Putin boi się turbopatriotów. A najbardziej jednego

Wacław Radziwinowicz

Igorem Iwanowiczem Strielkowem nazywali go oficerowie operacyjni FSB, którym w latach 90. powierzono rozpracowanie młodego historyka o poglądach skrajnie monarchistycznych i nacjonalistycznych, który z wielką pasją zajmował się rekonstrukcjami bitew I wojny światowej. Wzorując się na legendarnych carskich oficerach, dowodził bardzo sprawnym plutonem cekaemistów, zarażonych tak jak on legendą imperium i jego wielkiej armii.

A i do prawdziwej bitki był skory. Jako 22-latek powtórzył wyczyn Che Guevary z bitwy o Santa Clarę, kiedy walcząc z Moldawianami w Naddniestrzu, użył buldożera do ataku na wóz pancerny, który przewrócił i zdobył dla rosyjskich separatystów. Jako ochotnik był też na wojnie bośniackich Serbów z Chorwatami i w szeregach armii Rosji na pierwszej czeczeńskiej.

Dla czujnych służb poglądy młodego człowieka, ćwiczenia z bronią, udział w awanturach wojennych wyglądały wielce podejrzanie. Girkina został poddany rozpracowaniu.

W Rosji i jelcynowskiej, i putinowskiej FSB ostro, początkowo znacznie ostrzej niż demokratyczną, zwalczała opozycję nacjonalistyczną. Na Kremlu zdawali sobie sprawę, że krytyka władzy ze strony patriotów łatwiej trafia do mas niż hasła prozachodnich liberałów.

Przy tym to w tych środowiskach tworzyły się podziemne grupy zbrojne, jak chociażby BORN (Bojowa Organizacja Rosyjskich Nacjonalistów), której przypisuje się co najmniej dziesięć głośnych zabójstw.

Kreml prowadził z tymi ugrupowaniami specyficzną grę. Z jednej strony eksponował i wyolbrzymiał ich rolę – na użytek zewnętrzny, by pokazać światu, jak straszna byłaby alternatywa dla reżimu Putina. Z drugiej, co się udało po rozgromieniu niezależnej skrajnej prawicy, władza starała się znacjonalizować nacjonalizm, przejąć go jako własną ideologię, oddać w ręce zaufanych ludzi, takich jak Władimir Żyrinowski.

A i młody Girkina, po „obróbce” w służbach specjalnych nie poszedł siedzieć.

Jak twierdzi wysoki oficer FSB występujący kilka lat temu przed dziennikarzami jako generał major Giennadij Kazancew, dwaj jego podwładni w randze pułkowników, którym powierzono rozpracowanie młodego monarchisty, byli pod wrażeniem „obiekty”, jego wiedzy, oficerskiego stylu bycia, wyobraźni. – To dobry kandydat dla nas. Weźmy go. Tym bardziej że na próbę wysyłamy do Czeczenii młodych oficerów. A on ma doświadczenie bojowe – rekomendowali Girkina.

28-letni weteran przyjęty do FSB został już na dobre Strielkowem, przyjmując pseudonim operacyjny od nazwiska swojej babki. Na służbie dorobił się wysoko orderów.

Znaną postacią pułkownika odeslanego za zbytnią samodzielną w emeryturę w wieku 43 lat uczyniła wojna 2014 r. o Donbas.

Jeszcze odchodząc z FSB, zapowiadał, że „jest interesujący projekt dotyczący Ukrainy”, w którym chodzi „jak zwykle o kradzież pieniędzy z budżetu”. Ale jego zdaniem można by z te-

• **Lipiec 2014, komendant Igor Strielkow zmierza na ślub podwładnego w okupowanym przez „separatystów” Doniecku**
FOT. DMITRY LOVETSKY/AP

go wbrew mocodawcom zrobić coś poważnego.

I rzeczywiście, pod patronatem Konstantina Małofiejewa, prawosławnego, patriotycznego miliardera i magnata medialnego, udało mu się wiosną 2014 r. zanieść wojnę na wschód Ukrainy.

„To ja nacisnąłem na cyngiel wojny”, wyznawał potem z dumą. Tłumaczył, że region po zwycięstwie Majdanu Godności, przejęciu władzy w Kijowie przez nowych ludzi, dalej żyłby spokojnym życiem, gdyby nie grupa po zęby uzbrojonych ludzi, którą przyprowadził z zajętego przez Rosjan Krymu i z nią opanował 100-tysięczny Słowiańsk.

Jako komendant miasta zaprowadził wojenne porządki. Rozstrzeliwał dezertersów, maruderów, urzędników lojalnych wobec Kijowa, jeńców. Ukraińcy uznali go za zbrodniarza wojennego.

Słowiańsk zostawił pod naciskiem przeciwnika czy też, jak zapewnia, by rozpałić jeszcze większą wojnę.

Został na krótko dowódcą sił zbrojnych separatystycznej Donieckiej Republiki Ludowej. W tym wcieleniu robił wszystko, by wciągnąć Rosję w agresję na pełną skalę i zajęcie całego kraju.

Moskwa wtedy kalkulowała jednak inaczej. Planowała zachowanie w granicach Ukrainy opanowanych przez separatystów obwodów ługańskiego i donieckiego, które uzyskałyby autonomię, a w rzeczywistości byłyby podporządkowane Rosji. Taki polityczny złośliwy nowotwór pozwoliłby Kremłowi kontrolować sytuację w Kijowie, czyli bez wojny podporządkować sobie całego sąsiada.

Strielkow w takim rozdaniu się nie mieścił. Moskwa w sierpniu 2014 r. odwołała go do siebie, co on uważa za zdradę.

Dziś głos wypowiadającego się o wojnie Strielkova jest donośny. Bo on zna się na wojnie, dobrze wie, co się dzieje na frontach czy na zapleczu. Choć odmówiono mu przyjęcia do służby na pierwszej linii, wszędzie ma kolegów i zwolenników, którzy na bieżąco informują go, co się dzieje.

A jego tezy są radykalne. Uparcie i głośno dowodzi, że Rosja nie była i nie jest przygotowana do wojny.

I już na samym początku była skazana na porażkę. Bo Kreml i osobiście Putina omamili jego człowiek w Kijowie, Wiktor Medwedczuk – były szef administracji prezydenta, przywódca opozycji antymajdanowej, prywatnie kum Rosjanina – i generałowie służb. Oni wspólnie, według nie tylko Strielkova, ukradli pieniądze przysłane im z Moskwy na tworzenie piątej prorosyjskiej kolumny w kraju, który – jak wmówili Putinowi – jest gotów przyjąć żołnierzy z Rosji kwiatami.

Putin nikogo z nich nie ukarał i jeszcze wykupił Medwedczuka z ukraińskiego więzienia, wymieniając go na wziętych do niewoli żołnierzy z pułku Azow, których, zdaniem Strielkova, należało rozstrzelać za zbrodnie wojenne.

Putin, według Strielkowa, jako głównodowodzący się nie sprawdza. Uchyła się od wzięcia odpowiedzialności. Kryje się przed światem i współpracownikami w bunkrze.

Sprawy powierzył „nie-dołęgom, durniom i zło-dziejom, takim jak Siergiej Szojgu, minister obrony, Walerij Gierasimow, szef sztabu generalnego i do-wódca frontu ukraińskiego, czy Siergiej Ławrow, rzad-ko kiedy trzeźwy szef dy-plomacji.

Ministra Szojgu, który ani jednego dnia nie służył w siłach zbrojnych, a od ra-zu został generałem armii,

Lekarstwem jest, zda-niem Strielkowa, rozpoczęcie wojny na serio, okrutnej i bezlitosnej.

A więc dokładna wymia-na ekipy rządzącej krajem. Samego Putina na czas woj-ny należy zostawić. Bo, jak argumentuje, w bunkrze, czyli na tronie, ktoś siedzieć musi – choćby sobowtór, choćby lala z porcelany.

Moskwa musi przepro-wadzić powszechną mobi-lizację, i to nie tylko do ar-mii, ale również w przemy-sle, transporcie. Całe życie kraju musi być podporząd-kowane potrzebom frontu. Bo tylko zebrawszy wszyst-kie swoje, nie tak wielkie,

nazywają rozniewany-mi patriotami.

Miano rozniewanych obywateli nadawano tym, którzy pod koniec 2011 r. wy-chodzili na masowe prote-sty przeciw powrotowi Puti-na na fotel prezydenta i do-magali się demokracji i libe-ralizacji.

Dzisiejsi nowi rozniewa-ni są przeciwieństwem tam-tych – żądają jak najszybsze-go obiecanego zwycięstwa, protestują przeciw wykrwa-wianiu armii przez nieudol-nych generałów, nie mo-gą się pogodzić z oddaniem przez Rosję Chersonia... Li-sta pretensji jest długa i ro-snie.

List do Rosjan

Pod maską brutalnego, dowcipnego, swojskiego człowieka tyran skrywa poturbowanego nastolatka.

Waleria Nowodworska*

Paranoidalny psychopata z uroje-niami o wielkości i zabobonnymi ideami. Patologiczny kłamca. Sadysta. Jego samoocena jest nieadekwatna do sytuacji, jego intelekt – niski.

Jego osobowość gwałtownie się de-graduје. Żyje w równoległym świecie, oderwany od rzeczywistości, pozbawio-ny z nią kontaktu. On jej nie rozumie. Jak ludzie żyją, jak się czują, o czym ma-rzą, dlaczego cierpią – moralny idiota nie może sobie tego nawet wyobrazić. I zresztą tego nie chce.

Stworzywszy wokół siebie sztuczny, szczelnie zamknięty świat, w którym powoli, przez lata, gotował się w ko-tle własnych kłamstw i jaskiniowych uprzedzeń, w końcu całkowicie stra-cił rozum.

Jest niezdolny do miłości. Jest draż-liwy i mściwy, zapewne jego poczucie niższości i chęć wyrównania rachun-ków, zadania jak największego cierpie-nia tym wszystkim, których może do-paść, wyrosły z dzieciństwa, kiedy był zastraszonym, pozbawionym kręgosłu-pa i talentu słabeuszem.

Tchórzliwy i rozmemłany. Wieczne tchórzostwo wyhodowało w nim nad-mierne, często bezsensowne okrucień-stwo w działaniach i potworny cynizm.

Jego pogląd na świat to pogląd złego mikroba z próbówki. Jego myślenie jest współmierne do skali jego osobowości. Myśli wąsko, szablonowo, hasłami.

Jak każdy tyran ma skłonność do mi-styfikacji, odwoływania się do święto-ści i symboli. Jednocześnie jest skrajnie zahamowany, wyobcowany, wycofany i ubogi emocjonalnie. Kompensuje swo-ją niższość we wszystkich sferach życia poprzez tłamszenie i niszczenie ludzi.

Jego system wartości ogranicza się do prymitywnej formuły „swój – ob-cy” i jest zbiorem ideologicznych klisz. Te ostatnie jednak dawno przestały od-grywać jakąkolwiek rolę, a na pierwszy plan wysunęła się maniakałna idea he-gemonicznego imperium na Ziemi, bu-dowanego za wszelką cenę i wszelkimi środkami. Skończona stalinowska kre-atura o psychologii klawisza i pospoli-tego kata.

Szary w każdym calu, bez twarzy, małostkowy. Wchłonął całą szyderczą mizantropię biurowej rasy. Całkowicie bez zasad. Nie używa ustalonych, mniej

lub bardziej moralnych pojęć, poza ty-mi, które należą do gwary więziennej. W środku skrywa poturbowanego na-stolatka, a na zewnątrz próbuje przy-bierać maskę brutalnego, dowcipnego, swojskiego człowieka.

Jego słownictwo jest ubogie, okra-szone wulgarnymi przysłowiami i kry-minalnym, policyjnym żargonem. Bar-dzo zależy mu na opinii innych, dlate-go jest skłonny do pozerstwa i nędzne-go macyzmu, jak wszyscy zakomplek-sieni ludzie.

Widać, że to tylko pozór, a pod nim kolejny, a potem następny i tak aż do sa-mego dna, gdzie w bulgoczącej, czarnej, cuchnącej i obrzydliwej mazi, z rękami na trzęsących się kolanach, siedzi jakiś paskudny karzeł...

Jako polityk jest bezużyteczny i bez-wartościowy, bo patrzy tylko w prze-szłość i boi się każdej zmiany jako za-grożenia dla swojego panowania. A przede wszystkim – nie wie, czym jest zmiana, nie rozumie jej. Politycznie ja-łowy, bo ma obsesję na punkcie swojej nieograniczonej władzy.

Jak stalaktyt zwisa samotnie w swo-jej ciemnej jaskini i rozkoszuje się wil-gocią, ciemnością i echem bólu milio-nów umęczonych ludzi. Ktoś wciąż pró-buje dokopać się do jego duszy, by coś tam zrozumieć. Ale nie ma jej tam. Po prostu jej nie ma. W środku jest tylko jedno wielkie nic.

A kiedy takie ciało dostaje w swoje rę-ce nieograniczoną władzę, w tym dostęp do czerwonego guzika, wtedy otrzymu-jemy to, co widzimy dzisiaj.

Chciał trafić do podręczników histo-rii, stać się częścią wielkiej rosyjskiej epopei jako arbiter ludzkich losów, ale trafia do nich jako pospolity zbrodniarz wojenny, który stracił rozum.

Chce, żeby wszyscy się go bali i drze-li, ale wszyscy patrzą na niego z po-gardą, czekając na jego jak najszybszą śmierć. W piekle już patrzą na zegar: – Wszystko gotowe? ●

przeł. arp

***Waleria Nowodworska** – 1950-2014, dysydentka w czasach ZSRR, działaczka, publicystka. Aresztowana w 1969 r., gdy zorganizowała w Moskwie nielegalną grupę studencką, wcześniej rozrzuca-ła ulotki potępiające inwazję ZSRR na Czechosłowację. Władza zamknęła ją wtedy w klinice psychiatrycznej. W 1988 r. współzałożycielka partii Sojusz Demokra-tyczny, w 1994 – partii Demokratyczny Wybór Rosji. W 1993 r. poparła prezydenta Jelcyna. Była krytyczką rządów Putina. Jej teksty wracają dziś i krążą w rosyjskiej sieci, np. ten przez nas publikowany

Dwaj pułkownicy FSB, którym powierzono rozpracowanie młodego monarchisty, byli pod wrażeniem „obiekta”, jego wiedzy, oficerskiego stylu bycia, wyobraźni

nazywa kartonowym mar-szałkiem przydatnym jedy-nie do organizowania czoł-gowych białonów i rzeź-bienia drewnianego Pino-kia (minister rzeczywisto-scie po nocach produkuje takie figurki i nawet urządził wy-stawę swoich dzieł).

Prowadzących wojnę stać tylko na rzucanie wojsk do krwawych szturmów, któ-re pochłaniają mnóstwo ofiar, a sensu strategicznego nie mają.

Armia, jak dowodzi Strielkow, jest zdemoralizo-wana, źle obuta, źle ubrana, marnie karmiona, fatalnie wyposażona, bo wciąż okra-dana. I poza wyjątkami ta-kimi jak najemnicy z Grupy Wagnera do walki się nie na-daje.

Broń wytwarzana przez rodziny przemysł jest prze-starzała.

A do tego wojna jest pro-wadzona nie na serio. Przez wrogi kraj wciąż płynie na eksport gaz czy amoniak z Rosji. Putin ciągle liczy na to, że uda mu się wymęczyć jakiś „dogoworniak”, czy-li dogadać się z Zachodem o takich warunkach pokoju, które dałoby się przedstawić jako sukces.

jak się wydawało Putino-wi i jego świecie, siły, można osiągnąć cel. To znaczy peł-ne podbicie Ukrainy.

Zresztą i cel tej woj-ny trzeba jeszcze narodo-wi pokazać, bo Kreml do dziś tego nie zrobił, tylko opowiada a to o denazyfi-kacji, a to o demilitaryza-cji, a to o obronie mieszkań-ców Donbasu.

W kraju powinna zapa-nować żelazna dyscypli-na, dzięki której skorumpo-wanych polityków czy de-zerterów spotykałaby suro-wa kara.

A Rosja powinna rzucić przeciw Ukrainie wszyst-ko, co tylko uda się jej zgro-madzić. Poza bronią jądrową, bo jej użycie Strielkow uważa za szczyt głupoty. Ostrzega przy tym jednak, że „nie ma takich szczytów głupoty, na jakie nasi do-wódcy nie byłiby w stanie się wdrapać”.

I nternetowe miażdżące władzę wystąpienia Strielkowa mają ogłą-dalność porównywalną z najpopularniejszymi telewizyjnymi talk-show. A ich publiczność stanowią ci, których także na Kremlu

Rozgniewani są też lic-zni oficerowie sił zbrojnych i funkcjonariusze służb, któ-rzy na podstawie tego, co wi-dzą i czego doświadczają, zgadzają się ze Strielkowem.

Rozgniewane są silne ra-dykalne grupy prawosławne takie jak cariebożcy, za któ-rymi Strielkow się wstawiał, kiedy podlegali cerkiew-nym represjom.

Te nastroje, których wy-razicielem stał się zuchwały Strielkow, niepokoją Kreml.

Oleg Matwiejczew, de-putowany do Dumy z puti-nowskiej Jednej Rosji, prze-strzegał na początku lutego: – Dziś jedyne wewnętrzne niebezpieczeństwo dla na-szego państwa tworzy maj-dan turbopatriotyczny, lek-ko lewicujący, krzyczący też o korupcji. A to akurat jest sposób wyprowadzenia lu-dzi na ulice. A pretekstem może być wszystko. Niech tylko znowu zdarzy się coś takiego jak oddanie Bałaklii czy innego Iziuma [miejsca dotkliwych klęsk armii Ro-sji] i ludzie wychodzą na uli-cę obalać jakiegoś złodzieja Szojgu. I histeria gotowa. ●

Wojciech Czuchnowski napisał tę ważną i odważną opowieść dla wielu z nas i za wielu z nas.

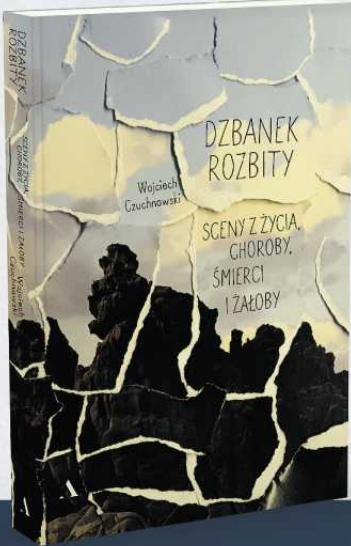
MAREK BIEŃCZYK

„Dzbanek rozbity” – ale zostawia nas z nową wiarą w przyjaźń i dobroć ludzi. Po prostu, ludzi.

EWA WOYDYŁO-OSIATYŃSKA

Nie wiem, czy kiedykolwiek czytałem tak przejmujące, poruszające i osobiste zwierzenie.

BOGDAN DE BARBARO



Znany dziennikarz i publicysta w intymnym pamiętniku o odchodzeniu swojej żony prowadzi nas przez stadia miłości, kryzysów związku, choroby i śmierci z wnikliwą precyzją i bez znieczulenia.

PREMIERA 22 LUTEGO

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA  KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  publio.pl

TEN MOMENT, kiedy puszczają bezpieczniki

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

No i jak to mnie dopada, to wtedy myślę: „No tak, to już czas”. Tylko że wiesz, mam córkę, od razu więc mi się wtedy włącza, jak ona to zniesie?

Z **MAŁGORZATĄ SERAFIN***
I **MARKIEM SEKIELSKIM****, AUTORAMI
KSIĄŻKI „JEST OK, TO DLACZEGO
NIE CHCĘ ŻYĆ”, ROZMAWIA **TOMASZ
KWAŚNIEWSKI**

Jest OK?
MAŁGORZATA: W miarę.

To znaczy?
– Chujowo, ale stabilniej.

A u ciebie?
MAREK: Na pewno jest ciekawie, bo jestem po godzinie terapii z moją psychoterapeutką, którą uwielbiam, bo mi otwiera w głowie trudne dla mnie rzeczy.

Czyli jakbyś miał się określić...
– To od dwóch, trzech tygodni jest całkiem niezłe.

A co ty masz zdiagnozowane?
– Jestem uzależniony od substancji...

Alkohol?
– Psychiatra, która diagnozowała mnie na początku, nazwała to politoksykomanią. Miałem kiedyś też roczny romans z grami komputerowymi. Po prostu jak wyłączyłem alkohol, to włączyłem granie.
Moja relacja z cukrem jest też absolutnie uzależnieniowa. Robię sobie cukrowe haje.
No i od półtora roku mam też zdiagnozowaną depresję.

A ty?
MAŁGORZATA: Depresję i zaburzenia lękowe z atakami paniki.

A jakbyś teraz miała taki atak paniki, to będzie to jakoś widać?
– Nie, ale powiedziałabym wam o tym, bo już umiem o tym mówić, prosić wtedy o pomoc. Już nie myślę, że to śmierć, bo już wiem, co to jest i że to w miarę szybko mija. Ale pierwszy raz to faktycznie myślałam, że umieram. To się stało w hipermarkecie, straszne uczucie...
MAREK: Dlatego Gocha już teraz nie chodzi do galerii handlowych...
– Z zewnątrz to ponoć wygląda, tak mi powiedziała osoba, która wtedy była ze mną, że po oczach widać, jakbym straciła kontakt z rzeczywistością...

A od środka?
– Stan przedzawalowy, serce mocno bije. A psychicznie to niezwykle trudny do wytłumaczenia stan odrealnienia. Tak jakby ktoś za pomocą hologramu postawił mnie w danym miejscu i wszystko, co dookoła, też jest nierzeczywiste. I temu towarzyszy przerażenie, nie mogę się ruszyć, jestem zamrożona.
Jak to już minie, pojawiają się rozkojarzenie, gigantyczne zmęczenie.

O tym, że masz depresję, wiesz od kiedy?
MAŁGORZATA: Zdiagnozowano mi ją w 2013 roku.



****Marek Sekielski:** ma 44 lata, dziennikarz telewizyjny i producent – ostatnie filmy to: „Tylko nie mów nikomu”, za który otrzymał m.in. Orły i Telekamerę, oraz „Zabawa w chowanego”. W 2021 roku wspólnie z Arturem Nowakiem wydał książkę: „Ogarnij się, czyli o tym, jak wychodziliśmy z bagna”. Na kanale YouTube prowadzi cykl rozmów: „Sekielski o nałogach”. Chodzi na siłownię, na której najbardziej lubi robić martwy ciąg

Co się takiego wtedy stało?
– Przestałam spać. Już tak naprawdę bardzo. Zasnęłam tak na dwadzieścia minut i się wybudzałam...

Jakoś sobie to mierzyłaś?
– Za pomocą specjalnej aplikacji.

To ile na dobę mniej więcej spałaś?
– Dwie, trzy godziny. Byłam wtedy wydawczynią poranków w TVP Info, też prowadzącą poranny program. Bardzo się stresowałam, czy wszystko mam na rano. Bałam się, że zaśpię. Na to nałożyły się toksyczne relacje w życiu prywatnym. No i stało się tak, że jechałam metrem do pracy, jak zwykle do stacji Wierzbno, i nagle nie wiem, gdzie mam wysiąść. Patrzę na tę tablicę, a jeździłam tam przecież codziennie przez parę lat, i nagle nic, czarna dziura.
Pamiętam, że później pomyślałam, że tak właśnie wygląda ten moment, kiedy puszczają bezpieczniki.

***Małgorzata Serafin:** ma 37 lat, zaczynała w Superstacji, w TVP prowadziła wywiady z politykami, w TVP Info współtworzyła poranne pasmo. Jedenaście lat temu została fryzjerką. Aktualnie w Sekielski Brothers Studio prowadzi program „Farbowanie życia”, do którego zaprasza osoby po kryzysach psychicznych. Nie ma dzieci. Uwielbia odkurzać, jeść chipsy i układać puzzle

A wtedy już miałaś te napady paniki?
– Nie. Choć dziś, jak o tym myślę, to te uczucia były bardzo podobne.
Poradziłam sobie metodą na kreta. Czyli wysiadłam z metra, to akurat była stacja Wilanowska, zobaczyłam, że nic mi się nie zgadza. Cofnęłam się stację bliżej, wysiadłam i odetchnęłam, bo zobaczyłam ten charakterystyczny budynek TVP.
Jak przyszedłam do pracy, chciałam coś o tym powiedzieć wydawcy, ale nie mogłam złożyć zdania.

Rozumiem, że pracowałaś tego dnia...
– Oczywiście, zaraz miałam wywiad. Z Pawłem Kowalem. Nie byłam sobą, pytania odczytałam z kartki.

I później zadzwoniłaś do lekarza?
– Później miałam dyżur. Z psychiatrą skontaktowałam się jakoś po południu. Z tym że ja z tą depresją chodziłam dużo, dużo wcześniej, miesiące, jeśli nie lata.

Czyli to, co się stało na stacji metra...
– ...ta utrata pamięci, ten – nazwijmy go – atak paniki spowodował, że nie mogłam tego już dłużej ignorować.

A pomyślałaś sobie wtedy, że zwariowałaś, oszalałaś, czy co ci przyszło do głowy?
– To było tak, jakbym traciła rozum... Czworo-wieczniństwo... W sensie tożsamości, kontekstu, no wszystko mi się rozjechało.
Kiedy tracisz orientację, to jest chyba najbardziej połączone z uczuciem bezsilności...

A u ciebie, Marek, co było tym, co kazało ci iść do psychiatry?
– U mnie to też był brak snu. Ja zawsze zasypiałem w miarę OK, a tu zacząłem się wybudzać, nie mogłem zasnąć. I nie potrafiłem zlokalizować, o co mi chodzi...
To było półtora roku temu, czyli półtora roku po tym, jak się wyprowadziłem z domu. Dokładnie to się zaczęło dziać latem 2021 roku. Oczywiście wcześniej też mi się zdarzało, jak każdemu, że jakaś noc była gorsza, ale wtedy to zawsze sobie tłumaczyłem, że nieważne, czy pośpię te trzy, cztery godziny, bo i tak jak wstanę, to się będę czuł lepiej, niż kiedy wstawałem po chłaniu...

Bo wtedy już nie piłeś?
– Tak. No, ale tu to tak trwało i jak już doszło do miesiąca, to zacząłem wymiękać, po prostu fizycznie nie miałem już siły. A jednocześnie, no właśnie, kompletnie nie wiedziałem, co może być tego podłożem. Bo nie widziałem, żebym miał jakieś specjalne problemy. I w końcu, bo już byłem tym wycieńczony, zadzwoniłem do mojej psychoterapeutki, która wcześniej zajmowała się moimi uzależnieniami. I ona wysłała mnie do psychiatry, który zrobił ze mną wywiad, stwierdził zaburzenia depresyjne. I od razu zaproponował mi leki. Antydepresanty i na spanie. Zacząłem je więc brać.

Mam wrażenie, że twoją historię trzeba zacząć opowiadać trochę wcześniej, od momentu, w którym przestałeś pić...
– Tak. Przestałem pić plus minus dwanaście lat temu. Wtedy pierwszy raz poszedłem na terapię: trzy razy w tygodniu po dwie godziny spotkanie grupowe, do tego godzinne spotkanie indywidualne, i tak mniej więcej półtora roku. A poza tym normalne życie, praca itd. Przeszedłem to na piątkę, zdałem. A potem różne rzeczy się działy, w każdym razie po trzech latach znów wróciłem do picia, na kolejne trzy. I potem, to było jakieś pięć, sześć lat temu, poszedłem na kolejną terapię, zresztą w tej samej przychodni uzależnień...

Czyli od pięciu lat...
– Jestem trzeźwy, a półtora roku temu lekarz zdiagnozował mi depresję.

I nie miałaś problemu z tym, żeby zacząć brać leki?
– Oczywiście nie jestem idealnym pacjentem, bo jak mam sobie zrobić jakieś badania, na przykład okresowe, to je odwołuję. Ale to dotyczy problemów, nazwijmy je, natury fizycznej. Bo jeśli chodzi o te związane z głową... Choć nie, tu też nie do końca. Dlatego że do psychiatry poszedłem w miarę szybko, ale już na terapię, mimo że wiedziałem, że jest mi potrzebna równolegle...
MAŁGORZATA: To dopiero teraz poszedłem...
– Tak, w styczniu. Dłużej niż rok się zapierałem rękoma i nogami...

Dlaczego?

– Bo miałem takie poczucie porażki. No bo jedna terapia, jednak półtora roku. Później druga, tyle samo. Pomyślałem: „Kurde, mam czterdzieści parę lat, ile jeszcze tego pieprzenia się ze sobą?”. Ja już bym chciał żyć, funkcjonować, nie musi być zajebiście, ale niech będzie przynajmniej w miarę przyzwoicie...

Ale w jakim sensie porażki?

– Że znowu coś ze mną jest nie tak. W tym była też niechęć, żeby znów się poznawać z jakimś terapeutą, budować to zaufanie. To jest żmudne.

MALGORZATA: Też byłeś na siebie zły, że ty już to wszystko wiesz...

– No tak, bo na rozum to wszystko wiem doskonale. Studiów co prawda nie zrobiłem, ale ten fakultet z uzależnień to jednak chyba mam, bo, kurczę, tyle już rozmawiam z tymi uzależnionymi, po prostu znam te procesy. I łatwo mi zobaczyć u kogoś, że tam jest jakiś problem, no a u siebie... No u siebie też to widzę, ale, kurde, wypieram.

Czyli lekarz zapisał ci leki, od razu zacząłeś je brać...

MALGORZATA: A potem je zmieniłeś...

MAREK: Po półtora miesiąca, bo tam było jedno działanie uboczne, dość uciążliwe.

Jakie?

– Nie wiem, czy chciałbym o tym mówić.

Ale jakiej sfery dotyczyło?

– To był problem seksualny.

Dobrze, że tego dotknęliśmy, bo w waszej książce kwestii seksu właściwie nie ma, w szczególności tego, że leki antydepresyjne często obniżają libido...

– Ale ja tak nie miałem. Po półtora miesiąca zmieniłem leki i wszystko wróciło do normy, a wciąż je biorę.

A u ciebie, Gośka, jak jest z seksem, i już zamykamy ten wątek?

– Nie chcę o tym mówić.

Ale te leki, to one działają na libido czy nie?

MALGORZATA: Moim zdaniem tak.

MAREK: Zastrzegam, że nie jestem psychiatrą, ale tych leków jest jednak sporo różnych i one mają też różne działanie, może więc to jest też kwestia takiego ich dobrania, żeby nie dawały takich działań ubocznych.

A jak już zacząłeś brać leki, to poza tym, w związku z nimi, coś jeszcze specjalnego się z tobą działo?

– No był taki moment, kilkanaście dni, takiego jakby zamulenia, obniżenia nastroju, że wstaję rano i czuję w mózgu jakieś takie ciśnienie, że w ogóle nie chce mi się konfrontować z niczym, więc może znów się położę. Ale też wiedziałem, że ten moment wejścia leków jest trudny.

A motywację, żeby je mimo wszystko brać, miałeś jaką?

– No, żeby się, kurde, czuć lepiej. Żeby się wyspać. Mieć energię, cieszyć się życiem. Bo ja też zatraciłem to, co ludzie chyba generalnie mają, a mianowicie taką naturalną umiejętność cieszenia się z drobnych nawet rzeczy.

Na przykład z czego?

– No ze wszystkiego, kurde.

A teraz coś już tu odzyskałeś?

– No, może czasem mi się uda coś tam wykrzesać. Ale to tak bardziej z poziomu rozumu.

No dobra, widzę, że jak się ruszam, wracam z siłowni, to z jednej strony czuję zmęczenie, ale z drugiej pojawiają się te załazki zadowolenia z siebie, ze świata, czuję, że może być fajnie.

Czyli jest zmiana?

– Zaczyna się tu pojawiać. Ale to jest chyba jedyne na razie takie zajęcie, które mi

coś takiego powoduje. A był w tym czasie też taki okres, że sobie pozwoliłem, jak się zaczął mundial, czyli w połowie listopada, mimo że ja już od lat... No, kiedyś byłem wielkim kibicem, ale później mi to odeszło. W każdym razie wtedy stwierdziłem: dobra, mam akurat taki czas, że jestem w domu, są te mistrzostwa, to sobie pooglądam. I tak od dziesiątej rano, jak zaczynało się pierwsze studio, do nocy nic innego nie robiłem. I przez pierwsze dwa dni miałem takie: „Ale fajnie”. Bo mogę, bo sobie odpoczywam, bo nikomu nie szkodzię. Ale już trzeciego, czwartego zacząłem zapadać się w taką jakby matnię, marazm. No bardzo mocno zaczęło przypominać to ten czas, kiedy piłem. I po pięciu dniach, a przecież naprawdę nikomu to nie szkadzało, wpadłem w taką, kurde, czarną rozpacz, że mimo iż dalej te mecze oglądałem, już zupełnie nic z tego nie miałem, coraz bardziej zatapiając się w takim poczuciu chujowości.

MALGORZATA: To jest niesamowite słuchać, jak opowiadasz o tych swoich stanach, z mojej perspektywy, która cię obserwowała z bardzo bliska przez cały czas pisania tej naszej książki. I to się czasem pokrywa, a czasem zupełnie nie...

A w których miejscach się nie pokrywa?

MALGORZATA: Jak sobie przypomnę ubiegły rok, to takie fajne górki, Marek, miałeś wtedy, sam ze sobą się dobrze czuleś, jak trochę schudłeś, odstawiłeś cukier. A potem znowu wpadasz w te ciągi cukrowe... – Tak, i wtedy się zapadam.

A z czego ty masz ten cukier?

– Ze słodczy. Wpieprzam je... Teraz nie, ale jak tak, to w ilościach hurtowych.

Ale przecież wiesz, że nie powinienes?

– Wiem, i też widzę w tym ten mechanizm uzależnienia, i nic.

Gorzej niż z alkoholem?

– Trudniej mi, bo nie ma takich bezpośrednich skutków ubocznych...

MALGORZATA: ...i społecznych, tak mi przynajmniej to kiedyś tłumaczyłeś.

A co to znaczy, że wpieprzasz słodczye w ilościach hurtowych?

– To jest na przykład na raz korytko lodów...

Korytko?

– No to opakowanie litrowe. Plus coś jeszcze. Albo na przykład dwie paczki herbatników, po 220 gramów każde, więc robi się 440 gramów razy 500 kalorii, to sobie policz.

Ale jak ty to tak wszystko wiesz, liczysz, to musisz strasznie cierpieć, kiedy jesz te lody...

– To prawda. Przez chwilę oczywiście jest fajnie, bo się pojawia uczucie ulgi.

A robisz to, jak rozumiem, dlatego że skoro już nie pijesz, nie ćpasz, masz chore ramiona, do tego depresję, to przynajmniej zjesz sobie te lody, te herbatniki...

– Nie, tu nie ma jakiegos takiego myślenia przyczynowo-skutkowego. Po prostu jak raz zacznę jeść ten cukier...

...no tak, ale żeby zacząć, musisz jakoś na to sobie pozwolić...

– To czasem sobie myślę, a kurde, jeszcze jeden dzień, co za różnica? Od jutra przestanę.

A czasem może być też tak, że jak się pokłóć z partnerką, jestem przygębiony, rozżalenie mi się pojawia: „A, bo to życie jest bez sensu...”.

MALGORZATA: ...i wtedy korytko.

A ty, Gośka, kiedy pierwszy raz zaczęłaś brać leki?

– W 2013 roku, po tym pierwszym moim epizodzie lekarz mi je zapisał.

A poza tym co ci powiedział?

– Że mam głęboką depresję.

I jak to przyjęłaś?

– No dobrze, to jakieś leki poproszę. Wszystko, tylko żeby nie było mi tak źle. Żeby nie mieć tych myśli samobójczych...

Rozumiem, że chodziło też o to, żeby szybko coś zrobić, żebyś jednak nadal mogła pracować, funkcjonować jak do tej pory?

– Oczywiście, bo przecież nie mogłam wziąć wolnego. Dlatego że faktura, że dzieło, że telewizja beze mnie umrze. Głupia, bo przecież wiadomo, jak jest w TVP, w ogóle w mediach.

Dał ci zwolnienie?

– Chciał, na trzy miesiące, ale nie wzięłam. Po prostu załatwmy ten problem i do roboty. A potem wyrzucili mnie z TVP. I to tak na grubo, dyscyplinarnie. Zrobiła się awantura, to nie jest fajne stracić robotę na oczach całej Polski. Albo inaczej: to jest fajnie, fajnie, wszyscy ci biją brawo, są setki wiadomości, telefonów, propozycji, ale to jak z sylwestrem, na drugi dzień fajerwerki gasną, zostajesz sama i z kacem.

Na szczęście dosyć szybko dostałam inną pracę, miałam więc poczucie bezpieczeństwa, a jednocześnie trochę wolnego. Wyjechałam z moim ówczesnym facetem w Bory Tucholskie, jeździć rowerami. I chciałam tam też wtedy zejść z leków. I przez tydzień siedziałam w tych Borach na tarasie, bo ja fatalnie znoszę schodzenie z leków, miałam myśli samobójcze, też fizycznie koszmarnie się czulałam...

Z tym partnerem nadal jesteś?

– Nie.

I co było dalej?

– Jak tylko wróciłam do Warszawy, natychmiast poszłam do psychiatry, powiedziałam, że to wszystko odbyło się za szybko, za wcześnie odstawiłam leki. I do nich wróciłam.

Potem znowu straciłam pracę, ale wtedy też zmieniłam zawód...

Zostałaś fryzjerką.

– Tak, i wtedy też zeszłam z leków. Bo byłam tak pewna, że ta zmiana zawodu to jest taki super ekstra, zajebisty pomysł, który zmieni wszystko, że przekonałam do tego nie tylko siebie, ale również mojego psychiatrę. Przerwalam też terapię, zamiast w niej być w trakcie tej wielkiej w sumie zmiany. Ale myślałam, że to będzie pestka, tymczasem okazało się to dużo trudniejsze.

I potem?

– Było mi ciężko, ale miałam jeszcze oszczędności, to było tuż przed pierwszym lockdownem, pomyślałam, że polecę do Indii. Wiesz, Budda, joga...

MAREK: Jogini...

– Że może to mi pomoże, złapię równowagę, dowiem się, co chcę dalej robić w życiu. Bo też już trochę męczyło mnie to fryzjerstwo. I okazało się oczywiście, że to nie jest tak, że egzotyczna plaża pomaga...

A leków wtedy już nie brałaś?

– Że dwa lata. Ale moim zdaniem byłam już znów w depresji, i to dość głębokiej. Znaczą trudno mi to ocenić, bo wtedy też piłam.

Przez parę lat winko sobie sączyłam. Wieczorami. Jestem przecież kulturalna, więc jadłam przy tym sery i oliwki.

A ile tak wysączałaś?

– Butelkę. Ale z wodą ją rozrabiałam, wiesz.

Z Indii wróciłam nie oświecona, ale za to trochę przerażona, bo się zorientowałam, że mam problem z alkoholem. Tam on jest tylko w knajpach, a ja wstawalam i od razu myślałam, że browarek, no nie dopuszczałam do sytuacji, żeby nic nie wypić.

I wtedy wybuchła pandemia. No to znów piłam, no wszyscy na tym Zoomie chyba piłiśmy, nie?

Jakoś przetrwałam lockdown, wiesz, nie mając pracy, bo salony zamknięte. A rozstałam się też wcześniej ze swoim partnerem...

Z tym, co był z tobą w Borach Tucholskich?

– Tak. On się wyprowadził. Wziął psa...

I jak skończył się pierwszy lockdown, bo póki trwał, to cały czas się jakoś mobilizowałam. Żeby choćby mieć tę rutynę dnia. A potem się rozpadłam...

I poszłaś do psychiatry?

– Tak, bo też znów zaczęłam mieć myśli samobójcze...

I on ci wtedy znów zapisał leki?

– Tak, które biorę do tej pory.

I do kiedy je będziesz brała?

– Nie wiem...

Wiesz, ja dopiero od roku czuję się dobrze. Przez półtora roku miałam dobierane leki, i to był koszmar. Bardzo więc to, co jest teraz, sobie cenię, tak sobie to celebruję.

MAREK: Ale powiedz, tak szczerze, czy teraz rzeczywiście jest dobrze? Ile razy w tygodniu masz takie tąpnięcia, że zamykasz się przed światem, nie odbierasz telefonów, nie odpisujesz na maile? Często to masz.

– Tak, dlatego ja nie mówię, że jest dobrze, tylko że jest dobrze pod tym względem...

– ...że jest lepiej?

– Tak, że w ogóle jestem w stanie na przykład pracować.

A gdzie ty teraz pracujesz?

– U Marcuszka. Prowadzę jeden z podcastów.

A co to w sumie dla ciebie znaczy, że leki działają?

– To, że mam taki stan zero.

Dół wygląda tak, że nie, no dziś nie wstaję, nie chce mi się, nie ma sensu planowanie czegokolwiek. A zero, że jestem sprawcza. Że ode mnie zależy, czy mam ochotę iść na spacer...

MAREK: Stan zero to jest taki stan podstawowy...

– ...zwykły fizjologiczny...

– ...woreczek z podstawowymi siłami witalnymi, które powodują, że...

– ...robisz rzeczy jakby sama z siebie.

– A może pójde do kina...

– Bez jakichś szalonych ambicji i planów, ale wybierasz takie rzeczy codzienne.

I to chciałabyś, żeby było docelowo?

– Tak. I mój psychiatra mówi, że odzyskałam sprawczość oraz funkcje poznawcze. W związku z czym byłam w stanie odejść z jednej pracy, pracować z Markiem nad książką, w ogóle próbować różnego rodzaju współprac...

MAREK: No właśnie, bo ty generalnie masz tak, że się hajpujesz, wchodzisz na wysokie obroty i jeden, dwa dni zasuwasz, tu podcast, tu coś, pięćset rzeczy, po czym jest walięcie w mózg i Gosia znika, ląduje pod kołderką.

A w jakim sensie ty w ogóle jesteś chora?

– Wiesz, mnie się zdaje, że z chorobą psychiczną to nie jest tak, że się myśli, że jest się chorym. Ja jestem chora na hashimoto i insulinooporność. Biorę na to leki, prawdopodobnie do końca życia będę je brała, nie mam z tym żadnego problemu. A jeżeli chodzi o depresję, zaburzenia lękowe, to mam poczucie, że to jest takie moje... No, że to nie jest choroba, wysypka, tylko to jest jakby cały człowiek... No to jest to, co determinuje moje relacje, pracę, czy mi się chce, czy nie chce. Czyli po prostu moje życie.

Jak ty więc o tym myślisz?

– Że ja żyję z depresją. Żyję z takim zaburzeniem, które być może nigdy mi się nie wyzeruje, bo mam depresję nawracającą. I po prostu uczę się obsługiwać siebie z tą depresją tak, żeby nie dopuszczać do dramatycznych sytuacji. Tak jak alkoholik, który już do końca życia nim będzie, musi więc odpowiednio się traktować.

Powiedziałas wiele razy o myślach samobójczych, miałas je już wcześniej, nim przeżyłaś to załamanie w metrze?

– Dokładnie ci nie powiem, bo to jest czas dla mnie zamazany. Ale tak, wydaje mi się, że te myśli już wtedy we mnie były. A na pewno przy nawrocie depresji, bo dopiero

wtedy zadzwoniłam do psychiatry, jak znowu się pojawiły. Pamiętam, że miałam wtedy duży problem, żeby powiedzieć obcemu człowiekowi, że je mam...

Mnie się to wtedy wydawało takie strasznie wstydlive. Ale potem sobie pomyślałam: „Kurde, przecież to jest człowiek, który wszystkich takich jak ty przyjmuje”.

Ja przede wszystkim miałam silne poczucie, że te myśli samobójcze, one nie są moje. Że one mnie tak naszły. I to było chyba w tym najstraszniejsze...

Ale co to się myśli?

– No, że to jedyne wyjście. Bo sytuacja, w której jesteś, jest nie do zniesienia. Ona się nigdy nie skończy. Bo nie masz siły na kolejny dzień, to jest jedyne rozwiązanie.

I co dalej?

– No albo masz myśli, albo masz plany. Ja miałam takie poczucie, że narobię jednak kłopotu. Straszniego...

Komu?

– Rodzinie. Takiego organizacyjnego. Logistycznego. Bo mam ten kredyt na mieszkanie i co wtedy z tymi papierami? Co się w ogóle dzieje wtedy, wiesz, z rzeczami, z kontami?

Dziś myślę, że po prostu bardzo chciałam znaleźć usprawiedliwienie, żeby tego nie zrobić. Tak więc ja nie miałam planów samobójczych, ja miałam fantazje, że to by mi dało ulgę.

A ty, Marek, miałeś myśli samobójcze?

– Chyba bardziej o śmierci.

U mnie są dwa tego rodzaje. Pierwszy, jak jestem w dołku, to jakbym taki film sobie puszczał: „No dobra, to jak już to moje życie osobiste się tak rozpierdoliło. A wszystko inne tak w zasadzie nie ma dla mnie znaczenia. To teraz już tylko potrzebuję, żeby jakiś krach nastąpił z moją pracą”. I wtedy od razu mi się pojawia taka niechęć, żeby wchodzić znowu po latach w tryby jakieś korporacji. I potem: „Że jak tylko jeszcze to mi się wywali, to ja już OK”. I tu mam tylko taką myśl, że: o, tu mam te pie-

niądze, tam tamte, to muszę już tylko pamiętać, żeby połowę albo i więcej przelać tak, żeby moja córka z tego mogła później korzystać. A ja biorę jakąś część tego i robię sobie taką ostatnią podróż, czyli w ogóle wyjeżdżam, żegnam się ze wszystkimi...

Gdzie wyjeżdżasz?

– Gdzieś, gdzie jest ciepło, słońce, nie mam tego sprecyzowanego. I tak jadę, może przez Azję, może uda mi się do Australii, dokąd mi pieniądze starczy. A jak się skończy, to wtedy kończę, też ze sobą.

Jak?

– Tego też nie mam sprecyzowanego, bo to też nigdy nie idzie tak daleko. Ja więc nie wiem, czy to są myśli samobójcze, czy to jest bardziej...

MAŁGORZATA: ...fantazja o uldze. Że jest jakieś wyjście z tej chujozy.

– No i mam jeszcze ten drugi rodzaj: to jest coś, co miałem na przykład w tej końcówce listopada i cały grudzień. Bo grudzień zawsze jest dla mnie takim depresyjnym momentem. Te święta, ten Nowy Rok. I teraz wiesz, świadomie zostałem sam ze sobą. I czym dłużej siedziałem w domu, nie wychodząc, wpierdalając jeszcze ten cukier, tym bardziej się zapadałem w sobie. I wtedy w zasadzie ciągle do mnie powracała myśl, że to moje istnienie jest kompletnie bez sensu. Bo ja się w sumie męczę ze sobą – sam ze sobą męczę się najbardziej. I nic mnie już nie zadowala, z niczego nie czerpię satysfakcji. Oczywiście ja mogę zabić czas Netflixiem albo oglądaniem tego mundialu, ale to już – no właśnie – mi nic nie daje. No i jak to mnie dopada, to wtedy myślę: „No tak, to już czas”. Tylko że wiesz, mam córkę, od razu więc mi się wtedy włącza, jak ona to znieśie?

To jest jedyna myśl, która się wtedy pojawia w kontrze. Bo to, że zostawię matkę, ojca, brata, partnerkę, to jakoś mnie tak mniej rusza, niż że dziecku to zrobię...

Bo co?

– No, że ją to po prostu, mówiąc kolokwialnie, zmiecie z planszy.

Jezu! Gosia nam się popłakała... – Bo jak Marek opowiadał tę swoją wersję...

...pomyślałaś coś o sobie, że masz podobnie, tylko...

– No tak, mam dosyć podobne fantazje, z tą różnicą, że nie mam takiego punktu zaczepienia. Bo nie mam dzieci. Co nie znaczy, że bym chciała. Ale to powoduje, że ja jeszcze bardziej mogę. W sensie bezkarnie. Że nikogo nie skrzywdzę...

A ty, Marek, jesteś chory czy jak o tym myślisz?

– Tak, ja myślę o sobie, że jestem chory. Ale też mam coś takiego, to chyba idzie z tej mojej niskiej samooceny, że mnie się zdaje, że jestem nie dość chory.

Miałem tak już z tym moim uzależnieniem. Bo jednak mnóstwo ludzi poznałem, którzy pili bardziej destrukcyjnie. Jestem więc takim jakby za małym alkoholikiem. Bo nie zebrałem, nie leżałem zasikany pod ławką, nie pobilem, kurde, żony po pijaku...

I tak samo masz z depresją?

– Tak. W związku z tym tak do końca nie wiem, czy ją mam. Tak szczerze, to ja o sobie myślę, że jestem po prostu pojebany. A druga rzecz to, że ja nawet lubię poznać, jak bardzo jestem pojebany. To mnie ciekawi.

W waszej książce pojawia się sugestia, że fajnie by było, gdyby ludzie szli się leczyć wcześniej, nim ta choroba się w nich rozkręci. Ale teraz, gdy rozmawiamy, coraz bardziej myślę, że ten postulat w praktyce jest niemożliwy do spełnienia...

MAREK: No tak, bo to trzeba...

MAŁGORZATA: ...zaryć o głębie. – Tak jak w przypadku uzależnień dotknąć tego swojego dna. I tak to właśnie było za mną. Jak przyszły te święta, to miałem takie ze trzy dni, że po prostu płakałem, uzałnałem się nad sobą. I też te myśli o śmierci, całe dnie krążyły mi po głowie. Aż doszedłem do momentu, że sobie powiedziałem: „Kurde, albo coś z tym zrobisz, albo się w tym pograżysz, i to najgorzej naprawdę się stanie”. Po prostu się rozejdziesz. Bo też fizycznie fatalnie się czułem. Bo cały ten czas tyłem, wpierdalałem ten cukier. I wtedy taka myśl mi przyszła do głowy, że dobra, schowam to swoje poczucie, że znowu klęska, znowu jestem do dupy, że nic tu się nie zmienia. I zadzwoniłem z prośbą o pomoc do tej mojej dawnej psychoterapeutki, z taką obawą, że jak mi powie, że nie ma terminu, to nie wiem, co sobie zrobić. Na szczęście miała. Żyję...

I tak sobie myślę, że to właśnie było to moje pierdolnięcie o głębie...

Jeśli chodzi o depresję?

– Nie, no w ogóle, bo mam taki balagan w sobie, tyle nieposprzątanых rzeczy. Bo ja też wiem, że ta depresja z czegoś się musiała wziąć...

No właśnie, dlaczego dla was jest takie ważne, żeby wiedzieć, dociekać, z czego to się wzięło?

MAREK: W depresji nie jestem ekspertem, ale znam się dobrze na uzależnieniach. Czy to wódka, czy narkotyki, hazard, seks, zakupy, praca, to nie substancja czy kompulsywna czynność jest problemem samym w sobie. Tylko to, co my sobie tym regulujemy, co sobie

Nowy serwis



żyć lepiej
psychologia codziennie

Czytaj na:
wysokieobcasy.pl/zyclepiej



tym przykrywamy. A to zaczyna się gdzieś w dzieciństwie, nie?

Że co?

– Że jestem ciągle dla siebie jakiś niewystarczający. Że mam ciągle problem, żeby siebie zaakceptować. Że biczuje się za rzeczy, które naprawdę mógłbym sobie darować.

Na przykład za co?

– Za wszystko, kurwa! Rozumiesz?! Ja się nawet potrafię wkręcić, że skoro dzisiaj zarabiam pieniądze, mając to studio, nagrywając te rozmowy o uzależnieniach – które zacząłem nagrywać, nie myśląc w ogóle, że to będzie moja działalność zawodowa. Tylko rachując, że mam zasięgi, po tych filmach dokumentalnych itd., mogę więc zrobić coś dobrego...

No i?

– No, ale to się stało pracą, tak?! Zacząłem więc myśleć, że jestem jakimś oszustem. Bo zarabiam na takim czymś...
MAŁGORZATA: Na nieszczęściu. – Ja jestem największym krytykiem samego siebie.

No dobra, ale dlaczego to jest takie ważne, żeby wiedzieć, skąd to się wzięło? Bo ty, Gośka, rozumiem, że też tak masz...

– Tak, i oczywiście za to są odpowiedzialne te wszystkie niezaopiekowane emocje...

Czyli Marek tak kiepsko myśli o sobie, bo czegoś tam nie dostał, jak był mały...

MAREK: No tak, na przykład trochę byłem niezauważany. Też bardzo mocno przez ojca poddawany krytyce, która była kompletnie niekonstruktwna...

MAŁGORZATA: U mnie w domu bardzo były zaopiekowane kwestie bezpieczeństwa, takie wiesz, z samego spodu piramidy Masłowa. A z drugiej strony... Moi rodzice są nauczycielami...

W podstawówce?

– Tak. Znaczy teraz są już od dawna na emeryturze, ale ja chodziłam do szkoły, to była szkoła w małej wiosce, w której mój tata był dyrektorem, a mama uczyła połowy przedmiotów. Dzisiaj myślę, że to powinno być zabronione.

Bo?

– Bo nie było podziału na dom i szkołę. Wciąż była tylko szkoła. I wiesz, ja nie wiem, jakim cudem... No właśnie widzisz, ja nie mówię, nie myślę, że ciężką pracą czy talentem, bo tego nigdy w domu nie usłyszałam. Zawsze więc myślałam, jakim, kurde, cudem doszłam aż tak wysoko, mając tak niskie poczucie własnej wartości.

Tak samo w relacjach z mężczyznami. W ogóle z ludźmi. Cały czas: ja nieistotna, nie pyskuj, nie kłóć się, dziewczynka ma być grzeczna, złość piękności szkodzi.

dzi. Nie nauczono mnie wyrażać siebie. Stawiać granice. I tak poszłam w dorosłe życie. Dopiero od niedawna się uczę, że można powiedzieć komuś, że mam odmienne zdanie, i świat się nie skończy. Że to nie będzie tak, że słyszę: „Nie dyskutuj”, ojciec odwraca się plecami i wychodzi.

Ale czy nie ważniejsze niż tropienie przyczyn jest, żeby na bieżąco sobie radzić z chorobą, nie doprowadzać się do skrajności...

MAREK: Ja widzę po sobie, że w różnych dziedzinach życia uruchamiają mi się takie automatyzmy, schematy, po prostu coś się dzieje i jakby tam ktoś mi, kurde, naciskał enter. Ja nie chcę tak funkcjonować, bo to są zachowania nieprzyjemne dla ludzi, a przede wszystkim dla mnie, ja się z tym męczę.

Rozumiem, że chcesz to zmienić, ale dlaczego ważne jest to, żeby wiedzieć, skąd się wziął ten schemat?

MAREK: Może po to, żeby zaakceptować siebie...
MAŁGORZATA: Żeby przestać się obwiniać, że jestem do dupy... – Bo to nie jest moja wina. To nie ja sobie tu coś wtłoczyłem, tylko ktoś mi to, kurwa, zrobił... – Zrozumieć to, zobaczyć... – I w końcu od siebie się odpiardolić!

Skoro jest tak kiepsko, ciężko, to dlaczego jednak wciąż żyjecie?

MAŁGORZATA: Kurczę, to jest ni-by takie proste pytanie...
MAREK: Ja żyję, bo wciąż mam nadzieję, że to swoje życie można jakoś naprawić. I czerpać z niego radość. Dlatego jednak poszedłem na terapię, zacząłem się ruszać. Choć mam też w głowie, że nie wiem, czy na kolejny zryw będę miał jeszcze siłę. Jak więc teraz się nie uda...

A ty dlaczego wciąż żyjesz?

MAŁGORZATA: Bo lubię czereśnie.

Ładna odpowiedź, a naprawdę? – Nie wiem. Można nie wiedzieć? ●

„Jest OK. To dlaczego nie chcę żyć?”

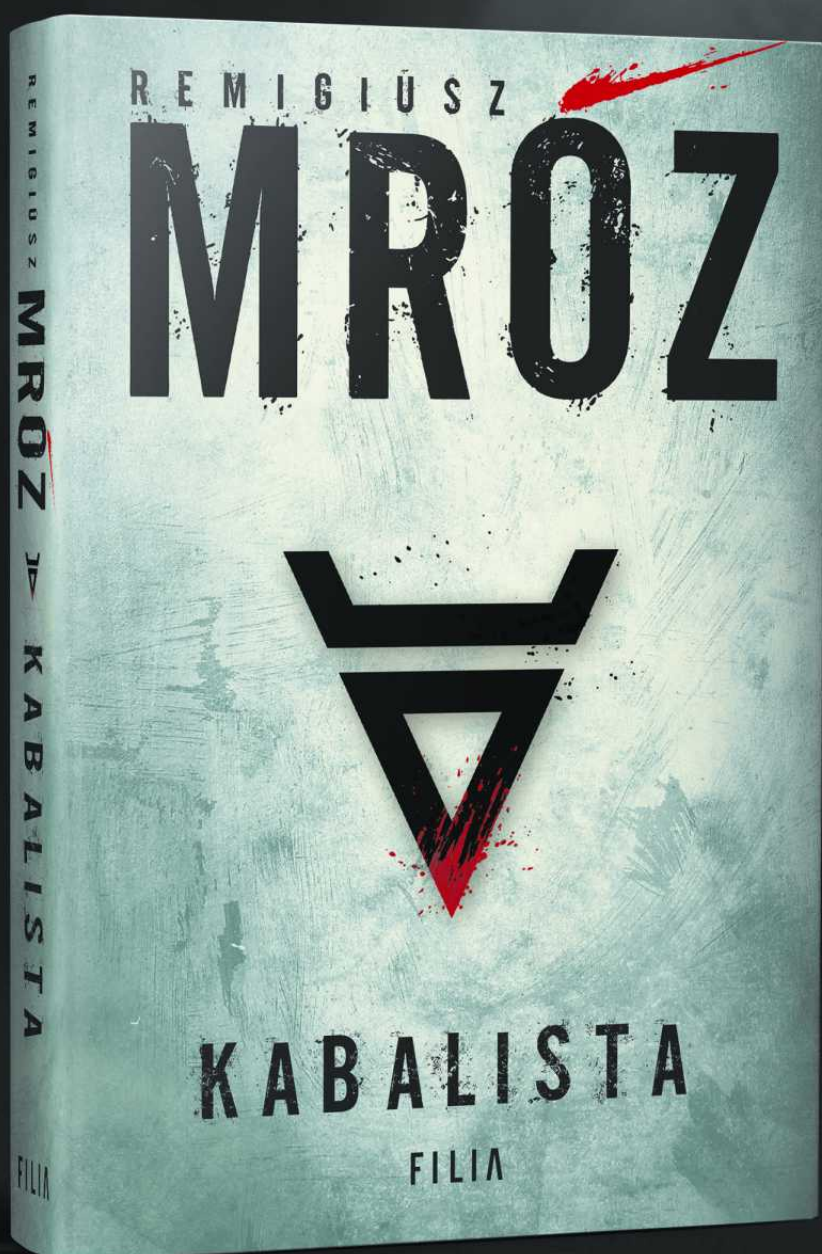
– zbiór wywiadów Małgożatą Serafin i Marka Sekielskiego z osobami chorującymi na depresję już w sprzedaży m.in. na kulturalnysklep.pl a w formie ebooka na publico.pl



FILIA

BEHAWIORYSTA POWRACA

Nowa powieść
Remigiusza Mroza



N A S Z A E U R O P A

Jak boom gospodarczy Erdogana naraził życie Turków

KRAINA AMNESTII
BUDOWLANYCH

Przepisy antysejsmiczne uchwalone w 2018 r. były notorycznie ignorowane. Dziś pojawiają się wątpliwości co do tego, jak rząd wydał pieniądze, które miały iść na bezpieczne budownictwo.

Gabriella Colaruso

la Repubblica

W trzęsieniu ziemi o sile 7,8 stopnia w skali Richtera, które prawie dwa tygodnie temu nawiedziło południową Turcję i północną Syrię, zginęło blisko 40 tys. osób. Rząd w Ankarze szacuje, że około miliona Turków korzysta dziś z tymczasowych schronień.

Budynek w mieście Malatya, który rozpadł się na dwie części jak przekrojone jabłko, grzebiąc w gruzach dziesiątki ludzi, został



Golbasi w prowincji Adiyaman w południowej Turcji, 8 lutego
FOT. AP PHOTO/EMRAH GUREL

zbudowany w 2019 r. Deweloper reklamował go jako prawdziwy klejnot: „Zbudowany zgodnie z najnowszymi przepisami antysejsmicznymi. Jakość pierwszej klasy” – tak głosiła reklama, która teraz jednak nagle zniknęła ze strony spółki. Podobnie usunięto reklamy deweloperów w Antiochii, chwalcące wzniesione w 2019 r. „osiedle ogród” – jak było przedstawiane przez

firmę Güçlü Bahçe. Z pięciu bloków Güçlü Bahçe City zawałyły się dwa.

Ostatni raz turecki rząd zmienił przepisy antysejsmiczne w 2018 r., wprowadzając bardziej rygorystyczne normy.

Nie wiadomo, jakich materiałów użyto do konstrukcji budynków, które się zawałyły w Malatyi i Antiochii, oraz kilkudziesięciu tysięcy innych, które runęły jak

domki z kart. Ale opowieści o nich mnożą się w niezależnych tureckich gazetach (pozostało ich niewiele), w miarę jak rośnie gniew z powodu nieprzestrzegania przepisów, braku kontroli i podejrzeń, że pieniądze na bezpieczne budownictwo rząd prezydenta Recepty Tayyipa Erdogana wydał w rzeczywistości na co innego.

To właśnie liberalizacja w sektorze budownictwa przyczyniła się do boomu w ostatnich 20 latach, z którego tak dumny był Erdogan, zanim nie nastąpił trwający obecnie kryzys gospodarczy. Teraz coraz częściej słychać głosy potępienia licznych amnestii budowlanych, które naznaczyły historię gospodarczą i polityczną Turcji ostatnich dwóch dekad.

Surowe przepisy, ale lekceważone

Po trzęsieniu ziemi w 1999 r., podczas którego zginęło 17 tys. osób, rząd wprowadził tzw. podatek od trzęsienia ziemi. Szacuje się, że przyniósł on budżetowi 88 mld lir, czyli ok. 4,6 mld dolarów, które powinny zostać wydane na zapobieganie katastrofom i naukę lepszego zarządzania sytuacjami kryzysowymi.

– Erdogan mówi, że rząd nie mógł być przygotowany na taki kataklizm. To prawda, to dramat niewyobrażalnych rozmiarów, ale też wiadomo, że to jest strefa sejsmiczna, naukowcy nas nieustannie ostrzegali, powinniśmy być czujni. Gdzie podziały się te wszystkie pieniądze mające ulepszyć i uodpornić konstrukcje budowlane na wstrząsy? – pyta z goryczą lekarz z Adany, który woli pozostać anonimowy.

Zbrojenie Ukrainy

Szwajcaria w pułapce neutralności

Alpejskie państwo nie może się zdecydować na naruszenie własnych zasad.

Virginia Kirst

welt

Na Szwajcarię wywierana jest coraz silniejsza presja, by stanęła po stronie Kijowa i zgodziła się na eksport broni wyprodukowanej w swoich fabrykach. To jest coraz poważniejszy dylemat dla kraju, który przez dziesiątki lat czerpał korzyści ze swojego wyjątkowego statusu. Teraz jednak istnieje groźba konsekwencji ze strony potężnego sojusznika – a sami Szwajcarzy nie są już do końca przekonani, czy warto się upierać.

Zaskoczył ich niedawno tweet z USA: opublikował go republikański senator Roger Wicker, który potępił decyzję Szwajcarów o przekazaniu 14 mld franków trzem Rosjanom o bliskich powiązaniach z Władimirem Putinem. Szwajcarscy prokuratorzy zamrozili te miliardy w 2011 r., ponieważ podejrzewali, że pochodzą z dużego przekrętu polegającego na oszustwach podatkowych w Rosji. Ale w 2021 r. sprawę umorzono z braku dowodów i teraz rząd

zamierza zwrócić zamrożone aktywa Rosjanom, mimo że dwóch z nich znajduje się na amerykańskich listach sankcyjnych.

Wicker zwrócił uwagę na pytanie, które od początku wojny rozpala spory w alpejskiej republice: jakie stanowisko wobec łamiącej międzynarodowe prawo agresji Rosji powinna zająć neutralna Szwajcaria?

Dopiero pod wielką presją międzynarodową kraj ten przyłączył się do niektórych sankcji Zachodu przeciwko Rosji. Ale według prawa szwajcarska broń nie powinna trafić na front z państw trzecich, które ją zakupiły. Więc ostatnio parlamentarna komisja bezpieczeństwa narodowego zarekomendowała rządowi odstąpienie od tego prawa i zezwolenie przynajmniej na reeksport szwajcarskiej broni (pojazdów opancerzonych czy amunicji, której Szwajcaria produkuje i sprzedaje dużo). Rekomendacja komisji niższej izby szwajcarskiego parlamentu przeszła stosunkiem głosów 14:11.

Senator Wicker chce drastycznych konsekwencji, gdyby Helweci oddali aktywa Rosjanom objętym sankcjami. Wezwał już sekretarza stanu Antony'ego Blinkena do pilnych rozmów ze swoim szwajcarskim odpowiednikiem – a być może nawet do obniżenia dyplomatycznej rangi relacji z Bernem. „USA nie powinny nagradzać wyraźnej złośliwości widocznej

w tej sprawie i w wielu innych związanych z praniem brudnych rosyjskich pieniędzy w Szwajcarii” – uważa Wicker.

W zachodnim sojuszu rośnie niepokój związany z niechęcią Szwajcarii do zajęcia jasnego stanowiska w sprawie wojny w Ukrainie. Choć przyjęła unijne sankcje wobec Rosji, nie jest konsekwentna w ich wdrażaniu, wciąż unika też jasnego stanowiska w kwestii eksportu broni.

Neutralność już dawno stała się integralną częścią szwajcarskiej tożsamości. Istnieją dwa powody sięgające XIX w., na których opiera się neutralność Szwajcarii: z jednej strony mocarstwa europejskie chciały, aby kraj ten stał się swoistą alpejską strefą buforową. Z drugiej zaś neutralność była przydatna także w relacjach wewnętrznych, ponieważ pacyfikowała napięcia między niejednorodnymi grupami ludności, które identyfikowały się z ościennymi państwami.

Ale choć neutralność jest zapisana w konstytucji, to brakuje tam jej definicji. Dlatego politycy i społeczeństwo muszą w żmudnych dyskusjach dochodzić na bieżąco do tego, co konkretnie oznacza w zmieniającej się sytuacji geopolitycznej.

Tzw. prawo o neutralności, które Szwajcaria ratyfikowała zgodnie z konwencjami haskimi w 1910 r., stwierdza, że kraj nie

może uczestniczyć w konfliktach zbrojnych. Jednocześnie istnieje polityczna interpretacja neutralności, która daje więcej swobody. Chodzi tu o to, jak zachowuje się państwo neutralne poza przypadkami wojny, np. jaką rolę odgrywa w społeczności międzynarodowej, jakie stanowiska zajmuje wobec kształtowania polityki gospodarczej czy wobec kwestii etycznych.

Oliver Classen z organizacji pozarządowej Public Eye w Zurychu wyjaśnia: „Wojna w Ukrainie wysuwa na pierwszy plan szwajcarski model biznesowy w jego pełnym wymiarze geopolitycznym. Problem istniał już wcześniej, ale nikomu to specjalnie nie przeszkadzało”. Przez „szwajcarski model biznesowy” Classen rozumie rolę tego kraju jako międzynarodowego centrum finansowego i towarowego „z łagodnymi regulacjami i słabą interwencją państwa”.

„Prosperity Szwajcarii jest ściśle związana z neutralnością – tłumaczy Classen. – Ponieważ sektory istotne dla gospodarki, takie jak branża finansowa i handel, korzystają ze stabilnego otoczenia. Szwajcaria dba o to, by pozostawać poza zasięgiem geopolitycznym, czyli nie ulegać niczym wpływom – i dlatego nadaje się jako hub biznesowy dla wszystkich”.

Szwajcaria jest jednak mniej neutralna geopolitycznie, niż lubi udawać: jest ści-

NASZA EUROPA

Także Bank Światowy ostrzegał Ankare całkiem niedawno – w 2021 r. Przy okazji wskazywał tureckim władzom, że surowe normy bezpieczeństwa związane z trzęsieniami ziemi wprowadzono w kraju już w 2000 r. „Budynki zbudowane przed 2000 r., kiedy w teorii wprowadzono nowoczesne antysejsmiczne standardy budowlane, są narażone na większe ryzyko poważnych uszkodzeń w przypadku trzęsienia ziemi” – czytamy w raporcie banku.

„Kilkadziesiąt tysięcy budynków użytkowości publicznej, zbudowanych przed 2000 r., a które zapewniają obywatelom dostęp do podstawowych usług zdrowotnych, edukacyjnych i publicznych, wymagają pilnego wzmocnienia strukturalnego lub przebudowy”. Na ten cel Bank Światowy wyasygnował dla Ankary 265 mln dolarów.

75 tys. budynków „na lewo”

Pelin Giritliolu, szefowa Związku Izb Inżynierów w Stambule, w rozmowie z telewizją Halk podała robiącą wrażenie liczbę: „Nawet 75 tys. budynków w całym obszarze sejsmicznym w południowej Turcji otrzymało amnestie budowlane”.

Chodzi o legalizację budynków wzniesionych bez koniecznych pozwoleń. Niektóre tureckie media informują, że najnowszy projekt ustawy o amnestii dla samowolek budowlanych trafił do parlamentu na kilka dni przed trzęsieniem ziemi.

– Większość budynków, które się zawaliły 6 lutego, została zbudowana, zanim Turcja wprowadziła zasady antysejsmiczne – twierdzi w rozmowie z „La Repubblica” Ahmet Uncu, przewodniczący zrzeszenia inżynierów w półtoramilionowej Adanie.

Jednak dodaje: – Ale jest oczywiste, że amnestie legalizują nielegalnie przedsięwzięcia i jesteśmy im absolutnie przeciwni. Urzędnicy państwowi mówili w przeszłości, że podatki od trzęsienia ziemi posłużą do finansowania... budowy dróg. Zamiast tego należałoby je wydawać na przygotowanie się do sytuacji kryzysowych i wspieranie ofiar trzęsień ziemi. ●
tłum. Bartosz Hlebowicz

śle związana politycznie i gospodarczo z UE i USA. Na ostatnim Światowym Forum Ekonomicznym w Davos spłynęła na gospodarzy krytyka za jej niezdecydowane stanowisko i zakazanie Niemcom, Danii i Hiszpanii przekazywania Ukrainie broni jej produkcji. Prezydent Konfederacji Szwajcarskiej Alain Berset oświadczył jednak, że społeczność międzynarodowa „bardzo dobrze zrozumiała” stanowisko tego kraju.

Ale w samym kraju trwa dyskusja, której wyrazem jest m.in. parlamentarna inicjatywa w sprawie umożliwienia m.in. Niemcom przekazania Ukrainie amunicji przeciwblotniczej dla gepardów.

Najbliższe miesiące pokażą, czy rząd zrealizuje ten postulat. Przemawiają za tym wyniki sondażu opublikowanego przez „Neue Zürcher Zeitung”: wynika z niego, że nawet 70 proc. Szwajcarów opowiada się za tym, by inne kraje mogły przekazywać Ukrainie szwajcarską broń. Tylko wyborcy prawicowej Partii Ludowej (SVP) są jeszcze wyraźnie przeciwni.

Parlament nie zdobył się jednak na kolejny krok: nie zarekomendował sprzedaży czołgów Leopard armii szwajcarskiej do Polski, Finlandii i Niemiec. Ale to jest teraz również dyskutowane – z powodu międzynarodowej presji.

I właśnie ta presja spowodowała już w przeszłości zmianę zasad, które wcześniej wydawały się wyryte w kamieniu – np. gdy Szwajcaria rozluźniła tajemnicę bankową w 2012 r. ze względu na nacisk USA. ●

MADE IN CHINA

Kryzys balonowy

Czy następna wojna mogłaby wybuchnąć o balon? To jak podróż w czasie do XIX wieku.



Robert Stefanicki

Alledlaczego nie – przecież mamy własnie powtórki z historii: w Europie trwa wojna z okopami i artylerią, Rosjanie straszą się wizją niemieckich czołgów pod Stalingradem, a niedawno wojsko syryjskie zrzuciło na rebeliantów trujące gazy.

Chiński balon obserwacyjny przeleciał nad Alaską, Kanadą i całymi Stanami Zjednoczonymi, aż Amerykanie go zestrzelili za Wschodnim Wybrzeżem. Obiekt był bezzalogowy, więc nie było problemu, co zrobić z pilotem. Chociaż historia podaje gotowe rozwiązanie: oskarżyć o szpiegostwo, skazać na trzy lata więzienia i kolejne siedem lat katorgi, a następnie wymienić na amerykańskiego jeńca, którego Chińczycy musieliby sobie w międzyczasie schwytać.

Prawie jak U-2

Taki los spotkał Gary’ego Powersa, pilota samolotu szpiegowskiego U-2, zestrzelonego nad Związkiem Radzieckim w 1960 r. Kryzys balonowy przypomina ten incydent w kilku aspektach.

W latach 50. Amerykanie chcieli oszacować rozmiar radzieckiego arsenału atomowego. Zanim U-2 wszedł do służby, wysyłali balony, jednak z 516 odzyskali zaledwie co dziesięć.

Lockheed U-2 wznosił się na wysokość 22 tys. metrów, poza zasięg migów i obrony przeciwlotniczej. Nikita Chruszczow wiedział o szpiegowskich lotach, ale siedział cicho, ponieważ nie chciał ujawnić, że jego wojsko nie jest zdolne zestrzelić wrogich maszyn. Aż opracowano odpowiednią rakietę i 1 maja 1960 r. U-2 spadł.

Zakładając, że samolot się rozbił, a pilot zginął, administracja prezydenta Dwighta Eisenhowera wydała oświadczenie, że podczas lotu nad Turcją zaginął samolot meteorologiczny. Jednak Gary Powers przeżył i został schwytany, co Sowietci skwapliwie ujawnili.

Kilka dni później był zaplanowany szczyt obu przywódców w Paryżu. Eisenhower miał nadzieję na złagodze-

nie napięć, a może nawet wynegocjowanie traktatu o kontroli zbrojeń. Sprawa U-2 obróciła je w gruzy. Radziecki przywódca w Paryżu potępił Amerykanów i wyszedł, mówiąc, że „miesiąc miodowy dobiegł końca”.

Ciekawa zbieżność. W związku z wykryciem balonu sekretarz stanu USA Anthony Blinken odłożył wizytę w Pekinie, która miała na celu odroczenie ryzyka załamania w relacjach chińsko-amerykańskich. Czas na nią wydawał się idealny. Od końca ubiegłego roku Xi Jinping zaczął gasić fronty: zrezygnował ze strategii „zero COVID” i po trzech latach otworzył Chiny, dając światowemu gospodarkom nadzieję na wyjście suchą nogą z recesji; wyciszył agresywnych dyplomatów; wznowił dialog z Australią i zmniejszył cła na australijski węgiel.

Czy Xi wiedział o balonie

Pojawiły się spekulacje, że to frakcja wojny w Pekinie sprokowała kryzys balonowy, żeby rozgniewać Amerykanów i powstrzymać odwilż. Tak samo w latach 60. zastanawiano się, czy jastrzębie w Pentagonie celowo wysłały U-2 (po terminie wyznaczonym pierwotnie przez prezydenta) w celu zniweczenia szczytu z Chruszczowem.

W obu krajach są silne frakcje nacjonalistyczno-godnościowe, wołające, że nie można puścić płazem takiej zniewagi. W zależności od punktu widzenia znieważona została przestrzeń powietrzna USA albo „chiński cywilny bezzalogowy obiekt meteorologiczny”, który – jak przekonują Chińczycy – zbłądził z powodu wiatru.

Chińskie ministerstwo obrony zaprotestowało przeciwko „przesadnemu” atakowi i zastrzegło sobie prawo do podjęcia „niezbędnych działań w podobnych sytuacjach”. Koncesjonowani komentatorzy uważają, że balon nie stwarzał zagrożenia i Amerykanie celowo je wyolbrzymiają, aby podkreślić antychińskie nastroje.

Na razie nie wygląda to groźnie. Xi ma władzę niemal absolutną i jest mało prawdopodobne, by ktoś w Chinach za jego plecami prowadził własną politykę zagraniczną czy obronną.

Wiatr w żagle Republikanów

Mocarstwa regularnie szpiegują się nawzajem i niechętnie ujawniają to publicznie. Incydent z balonem wyszedł na jaw dlatego, że zauważył go pasażer cywilnego samolotu. Dopiero wtedy nabrał międzynarodowej dynamiki. Ekspertci tłumaczyli, że Chińczycy i tak podglądają nas ze swoich satelitów i że prawdopodobnie był to tylko balon testowy: chodziło o sprawdzenie reakcji amerykańskich władz.

Ale w USA Republikanie nie zamierzają odpuścić. W tej partii jest silny nurt niezadowolonych z tego, że Joe Biden przekierował środki na powstrzymywanie Chin na walkę z Rosją. A przede wszystkim to dobra okazja, by zaatakować przywódcę przeciwnego obozu.

„Jak zwykle, jeśli chodzi o obronę narodową i politykę zagraniczną, administracja Bidena zareagowała najpierw zbyt niezdecydowanie, a potem za późno” – powiedział przywódca Republikanów w Senacie Mitch McConnell. Inni republikańscy politycy odmieniają ten pogląd przez wszystkie przypadki.

Należałoby pójść za ciosem. Oczekuje się, że przewodniczący Izby Reprezentantów Kevin McCarthy, który właśnie powołał komisję do badania zagrożenia ze strony komunistycznych Chin, pojedzie na Tajwan – że-

A może lęk przed chińskimi balonami (amerykańskie myśliwce straciły w ostatnich dniach kolejne trzy obiekty) jest uzasadniony? „Financial Times” przypomniał, że Pekin chwalił się już wcześniej wojskowym użyciem balonów stratosferycznych

by pokazać solidarność z demokratycznym sojusznikiem, a w rzeczywistości, żeby postawić Bidena w trudnej sytuacji. I nikt nie będzie mógł mieć do niego pretensji, bo w zeszłym roku na Tajwanie była jego demokratyczna poprzedniczka Nancy Pelosi. Chiny wtedy zareagowały wściekłością i przeprowadziły masowe ćwiczenia morskie w pobliżu Tajwanu. W takich sytuacjach rośnie ryzyko incydentu zbrojnego między okrętami amerykańskim i chińskim albo „przypadkowej” rakiety, która zbłądzi na wyspę i zmusi Amerykanów do reakcji.

Dotychczas groźne sytuacje udawało się wygasić. Podczas wojny w Kosowie w 1999 r. amerykańskie bomby uderzyły w chińską ambasadę w Belgradzie, co według NATO było wypadkiem, ale wywołało erupcję wściekłości w Chinach.

W 2001 r. chiński myśliwiec zanadto zbliżył się do amerykańskiego samolotu rozpoznawczego EP-3E Aries II zbie-

rającego dane wywiadowcze nad Morzem Południowochińskim. Doszło do kolizji, chiński pilot zginął, a Aries musiał awaryjnie lądować w chińskiej bazie. Potrzebna była intensywna dyplomacja, aby uwolnić zalogę 11 dni później.

Te incydenty miały jednak miejsce w innej epoce, kiedy Amerykanie widzieli w Chinach konkurenta, nie przeciwnika. I starali się wprowadzić Chiny do światowej gospodarki, a nie je z niej wyrugować.

Lęk przed balonami

Strach przed balonem w XXI w. wydaje się irracjonalny. To wehikuł wykorzystywany w wojnach XIX-wiecznych, i raczej marginalnie – chociaż w 1899 r. zakaz ich używania znalazł się w jednej z konwencji haskich.

Ale o ile z rakietami sprawa jest – jakby napisał Marek Hlasko – „prosta jak droga na cmentarz”, to balony mogą budzić w ludziach jakiś podświadomy lęk i nieufność. Są miękkie i powolne, lecz podstępne. Kto widział film „To” wg Stevena Kinga, o bestii przebranej za klauna i kuszącej czerwonym balonikiem, już nigdy nie spojrzy na te obiekty spokojnie.

Amerykanom balony mogą się dodatkowo źle kojarzyć. Począwszy od listopada 1944 r., armia japońska wysyłała bomby balonowe Fu-Go przez Pacyfik, aby wywołały pożary lasów w północnych stanach Ameryki (pomysł skopiował niedawno Hamas w Strefie Gazy). Podczas pięciomiesięcznej kampanii wyekspediowano 9,3 tys. takich przesylek, z których 385 dotarło do USA. Jeden z niewybuchów zabił pięcioosobową rodzinę, inna bomba przypadkiem unieruchomiła na trzy dni linię energetyczną zasilającą zakład będący częścią projektu „Manhattan”, gdzie produkowano pluton użyty później w bombie atomowej zrzuconej na Nagasaki. Więcej strat nie było.

A może lęk przed chińskimi balonami (amerykańskie myśliwce straciły w ostatnich dniach kolejne trzy obiekty) jest uzasadniony? „Financial Times” przypomniał, że Pekin chwalił się już wcześniej wojskowym użyciem balonów stratosferycznych. W 2018 r. kanał państwowego nadawcy CCTV wyemitował raport, w którym stwierdzono, że „balony na dużej wysokości przetestowały pociski hipersoniczne”. Materiał wideo pokazywał balon wizualnie identyczny jak ten nad USA, niosący coś, co wyglądało jak trzy różne rodzaje głowic.

Apokaliptyczny scenariusz wojny sprowokowanej przez balony wyśpiewał 40 lat temu niemiecki zespół Nena:

99 balonów na letnim niebie. Dzwony panicznie wybijają czerwony alert. To coś przybyło stamtąd. Budzi się machina wojenna. ●

Adam Michnik poleca

POLACY I UKRAIŃCY. HISTORIA PRZESTAJE NAM CIĄŻYĆ

Michnik, Kuroń i Maciejewicz: Na równi z Rosją Radziecką uczestniczyliśmy w polityce rozbioru Ukrainy, Białorusi i Litwy.

Andrzej Friszke*

W wrześniu 1939 r. ukraińscy obywatele Polski zachowali się lojalnie. Ziemie zagarnięte przez ZSRR zostały wcielone do republik ukraińskiej i białoruskiej po dokonaniu pod terrorem pseudo-wyborów, na co w przyszłości Stalin będzie się powoływał jako na akt wyrażenia woli ludności. Trwające od końca września 1939 r. aresztowania obejmowały nie tylko polskich polityków czy działaczy, ale też ukraińskich. Bodaj wszyscy posłowie ukraińscy na Sejm RP, którzy nie uciekli pod okupację niemiecką, zostali aresztowani, podobnie jak działacze „burżazyjnych” partii i stowarzyszeń. Sowietyzacji dokonywali funkcjonariusze nadesłani z Ukrainy sowieckiej.

Formujący się na emigracji rząd polski nie próbował szukać porozumienia z Ukraińcami, nie zaoferowano żadnemu z nich miejsca w Radzie Narodowej. I tak pozostało już do 1945 r. Rząd, stojąc na gruncie integralności terytorialnej przedwojennej Polski, bronił zasad, trwałości przedwojennych traktatów.

Kiedy po ataku niemieckim na ZSRR w czerwcu 1941 r. zostanie zawarty układ Sikorski-Majski, a z więzień czy miejsc przymusowego osiedlenia zostaną zwolnieni obywatele polscy, znajdą się wśród nich także garstka polityków ukraińskich. Dotrą nawet do miejsca formowania armii gen. Andersa, niektórzy otrzymają elementarną pomoc, ale zabrakło determinacji, by ich ewakuować z Rosji. Zmarł więc z wycieńczenia w taborach armii Andersa np. Dmytro Łewyckij, długoletni przewodniczący Ukraińskiej Reprezentacji Parlamentarnej w II RP. A już zimą 1941/42 sowieccy rozmówcy polskiego ambasadora stanęli na stanowisku, że ZSRR nie uznaje za polskich obywateli tych, którzy należą do mniejszości narodowych. Polakami mogą być tylko ci etniczni, inni są obywatelami sowieckimi na mocy wyborów z 1939 r.

Wśród ukraińskich przywódców, którzy znaleźli się w Generalnym Gubernatorstwie, dominowała orientacja na Niemcy, związana z nadzieją, że podejmą one kartę ukraińską. Reprezentacją oficjalną, uznawaną przez okupanta, był Ukraiński Komitet Centralny, na którego czele stanął Wołodymyr Kubijowycz, geograf, przed wojną do-



cent UJ. Komitet prowadził ukraińskie szkoły i stowarzyszenia, starał się o uprzywilejowanie ludności ukraińskiej względem Polaków, trwał do końca w orientacji proniemieckiej.

Lojalizm Komitetu krytykowali radykalowie, którzy chcieli narzucić politykę aktywną, także z pomocą Niemiec, ale przez tworzenie faktów dokonanych – Stepan Bandera i jego frakcja OUN. W 1940 r. doprowadzili do rozłamu w OUN, tworząc osobną organizację wroga działaczom skupionym wokół Andrija Melnyka. Odtąd upowszechniły się nazwy „banderowcy” i „melnykowcy”. Ci pierwsi szykowali „rewolucję narodową”.

Kiedy w czerwcu 1941 r. rozpoczęła się wojna niemiecko-sowiecka, u boku Wehrmachtu wystąpił ochotniczy batalion Nachtigall zorganizowany przez banderowców i dowodzony przez Romana Szuchewycza. 30 czerwca we Lwowie banderowcy ogłosili powstanie niepodległej Ukrainy i stworzyli rząd z Jarosławem Stecką jako premierem. Ale Niemcy nie chcieli powstania państwa ukraiń-

skiego. Bandera, Stečko i inni zostali internowani.

Ich zwolennicy przeszli do konspiracji. Wielu, w tym Szuchewycz, zaciągnęło się do niemieckich formacji policyjnych, brało potem udział w pacyfikacjach na Białorusi, walce z partyzantką sowiecką, zapewne też w mordowaniu Żydów.

Pod koniec 1942 r. banderowcy utworzyli Ukraińską Powstańczą Armię i proklamowali hasło powstania narodowego. Głównym terenem działania UPA stał się Wołyń. Działy tu już oddziały partyzantki sowieckiej i różne grupy ukraińskie, które wcielano do UPA. Uderzenie skierowano przeciw ludności polskich wsi, mordując ich mieszkańców i żądając od pozostałych opuszczenia ukraińskiej ziemi.

Celem Szuchewycza, który stanął na czele UPA i zarazem OUN, było uzyskanie poprzez czystkę etniczną pełnej kontroli nad Wołyniem. Zbrodnie, które rozpoczęły się w marcu 1943 r., a latem przybrały masową skalę, pociągnęły za sobą śmierć ok. 50 tys.

• **Rok 1947, członkowie UPA zatrzymani przez żołnierzy Wojska Polskiego w czasie akcji „Wista”** FOT. WIKIPEDIA

Polaków, zwykle zwykłych rolników i ich rodzin.

Jesienią 1943 r. UPA zaczęła dokonywać napadów na polskie wsie i osady w Galicji. Do zbrodni dochodziło też na Chełmszczyźnie, gdzie jednak operowały też znaczne oddziały AK, zatem walka była bardziej wyrównana, ale też pociągała za sobą odwet – zbrodnie za zbrodnie. Nazwy Poryck czy Pawłokoma stały się symbolami zbrodni. Ofiarą UPA padło ok. 100 tys. Polaków, ofiary ukraińskie polskiego odwetu sięgają 10-20 tys.

Ten najtragiczniejszy rozdział relacji między Polakami a Ukraińcami dramatycznie zaciążył na wzajemnym postrzeganiu dwu narodów, był też eksploatowany w PRL-u dla podtrzymywania wrogości wobec Ukraińców. Przed i po 1989 r. powstały

liczne książki wspomnieniowe i próby opisów historycznych. Najwnikliwsze i oparte na rozległych badaniach są monografie Grzegorza Motyki.

Brak uzgodnień dotyczących spraw ukraińskich w rządzie RP w Londynie, a zatem też brak instrukcji dla kierownictwa podziemnia w kraju powodował, że wszelkie próby rozmów z Ukraińcami były jałowe. Podejmowano je na szczeblu lokalnym we Lwowie, próbowano docierać do metropolity grekokatolickiego Andrzeja Szeptyckiego, ale bez ofert politycznych. Gwarancje autonomii terytorialnej dla ziem zamieszkałych przez Ukraińców to dla ich liderów postulat minimum, celem było suwerenne państwo obejmujące Galicję Wschodnią, Wołyń, Polesie i Chełmszczyznę. Na takie ustępstwa żadna z polskich sił politycznych nie była gotowa.



Nad sprawą ukraińską rząd londyński pochylił się dopiero pod koniec marca 1943 r., by dyskutować nad „Tezami w sprawie polityki ukraińskiej”. Sam zamiar uchwalenia takich tez budził wątpliwości.

Reprezentujący MSZ Kajetan Morawski zwracał uwagę na komplikacje, jakie to pociągnę w już fatalnych stosunkach z Moskwą (w kwietniu nastąpi ich zerwanie). Dla reprezentantów endecji uznanie Ukraińców za partnera było barierą prawie niemożliwą do przebycia.

Karol Popiel (SP) mówił, że obecna sytuacja jest wynikiem popełnionych błędów, a sprawa ma zasadnicze znaczenie, „bo o nią może się potknąć całość Polski. W 1919 r., gdy istniało niebezpieczeństwo utraty tych ziem, to godziliśmy się na wszystko, czego opinia międzynarodowa żądała, ale gdy to niebezpieczeństwo minęło, robiło się tylko namiastki polityki. Po uzyskaniu niepodległości na tych ziemiach przyjęliśmy stanowisko narodu panującego. Powierzchnowa polonizacja, którą wprowadziliśmy na tych ziemiach, jątrzyła tylko i kopała przepaść między obu narodami”.

We wnioskach praktycznych Popiel nie wyszedł jednak poza projekt poszanowania praw języka ukraińskiego, pełnych praw Ukraińców w samorządach oraz ich równouprawnienia w korzystaniu z reformy rolnej.

Dramatyczniejsze wnioski ze stanu istniejącego wyciągał Stanisław Kot (SL), minister informacji, a w latach 1941-42 ambasador w Moskwie, bliski współpracownik premiera Sikorskiego. Zwrócił uwagę, że po okresie sowieckiej okupacji 1939-41 z polskości poza Lwowem pozostały tylko wysepki. Ukraińscy chłopci zostali wywiezieni, inteligencję zniszczono. „Stosunek ZSRR do Ukraińców nacechowany jest żądzą wytrzebienia po prostu żywiołu ukraińskiego”; sąsiedzi żądają tych ziem od Polski, „aby dostać element ukraiński w swoje ręce i w krótkiej drodze zniszczyć go”. Tym dążeniom może się przeciwstawić tylko wola ludności tych ziem, by należeć do Polski.

Kot powoływał się na rozmowę z metropolitą Szeptyckim jesienią 1939 r.: „W pełni zdawał sobie sprawę, że naród ukraiński nie ma żadnych szans rozwoju w ZSRR i jedynym wyjściem (...) jest przynależność do Państwa Polskiego, ale ziemie ukraińskie muszą otrzymać statut i zarząd tych ziem musi należeć do Ukraińców”. Pytał wprost, czy Stronnictwo Narodowe „idzie na tę grę”. Kończył: „Jeśli mamy możliwość uzyskania pewnych terenów na zachodzie, na których będzie się mogła wyżyć prężność narodu polskiego, to musimy udzielić szerokich koncesyj Ukraińcom na ziemiach wschodnich”.

Poparł Kota minister Kwapiński, socjalista, opowiadając się za szerokim samorządem w całym kraju, a na ziemiach wschodnich zasadą autonomii.

Przedstawiciel SN Wacław Komarnicki nie dał pozytywnej odpowiedzi. Twierdził, że w Rosji sytuacja Ukraińców będzie groźbą zniszczenia elementu narodowego, muszą więc szukać ochrony przez przynależność do Polski. Należy zapewnić rzeczywisty związek tych ziem z resztą państwa, nie można się zgodzić na to, „by element ukraiński był tam rządzącym”. Gdybyśmy tych celów osiągnąć nie mogli, „uważam raczej za korzystniejsze porozumienie się z Rosją”.

Stanowisko podobne zajął minister skarbu Henryk Strasburger: „Bolszewicy nigdy (...) nie zgodzą się na to, aby pod ich boki Polacy tworzyli Piemont ukraiński”. Brał pod uwagę możliwość wymiany ludności ukraińskiej z Rosją. Sprzeciwił się występowaniu przez rząd z programem w sprawie ukraińskiej.

Przyjęte „Tezy” były tylko potwierdzeniem prawa Ukraińców do korzystania z praw obywatelskich, opieki państwa nad instytucjami kultury, swobody dla Kościołów prawosławnego i grekokatolickiego, równouprawnienia w korzystaniu z reformy rolnej. Rząd „gotów jest z całą życzliwością rozpatrzyć kwestię” statutu dla ludności ukraińskiej w ramach RP.

Nie wiadomo, kiedy i w jakiej postaci te postanowienia dotarły do okupowanego kraju, ale nie mogły stanowić podstawy do rozmów z żadną reprezentatywną grupą ukraińską. Wieści o zbrodniach na Wołyniu, w Galicji Wschodniej i na Chełmszczyźnie tworzyły dodatkowe fakty dokonane, wykluczające szukanie pozytywnych rozwiązań na okres powojenny.

Fakty dokonane tworzył Stalin, jego wojska i postępujące za nimi formacje NKWD. Latem 1944 r. wszystkie ziemie zamieszkałe przez Ukraińców znalazły się pod władzą sowiecką. Narzucona granica miała też być granicą etnograficzną, zatem Polaków wysiedlano ze Lwowa i innych miast na wschodzie do nowej Polski, Ukraińców mieszkających na zachód od Bugu i Sanu przemocą wysiedlano do ZSRR.

Towarzyszyły temu walki UPA z WP, także z polską partyzantką antykomunistyczną, dokonywano zbrodni na mieszkańcach wsi polskich i ukraińskich. Nowa granica stała się nieprzekraczalna, ustaly wszelkie kontakty ludności oddzielonej kordonem.

Ostatnim etapem tworzenia Polski etnograficznej była w 1947 r. akcja „Wisła” – przesiedlenie ostatnich 150 tys. Ukraińców z Bieszczad i wsi położonych nad Sanem na ziemie zachodnie. Opór stawiany przez UPA na sowieckiej Ukrainie był krwawo tłumiony, setki tysięcy ludzi wysiedlano w głąb ZSRR. Ukraińcy mieli przestać istnieć jako odrębny naród, sowiecka Republika Ukrainy była prowincją stalinowskiego państwa i niczym więcej.

Po wojnie na Zachodzie istniała liczna i aktywna emigracja ukraińska, ale kontakty z Polakami prawie nie istniały. Tę izolację przełamywał tylko Jerzy Giedroyc, wydawca paryskiej „Kultury”. Pojawiały się w niej artykuły i wyjaśnienia także ukraińskich autorów dotyczące różnych epizodów, głównie związanych z latami okupacji, ale w „Kulturze” i w tomach Instytutu Literackiego drukowali m.in. Borys Łewyckij czy Bohdan Osadczyk. Od strony literackiej tematykę ukraińską przypominał Józef Łobodowski.

Już w 1953 r. Giedroyc spróbował rzucić wyzwanie normie myślenia całej prawie emigracji, że jej celem jest niepodległość Polski z przedwojenną granicą wschodnią. W listopadzie 1952 r. opublikował w „Kulturze” list ks. Józefa Z. Majewskiego, który pisał: „Tak jak my Polacy mamy prawo do Wrocławia, Szczecina i Gdańska, tak Litwini słusznie się domagają Wilna, a Ukraińcy Lwowa. (...) Niech Litwini, którzy gorszy niż my los przeżywają, cieszą się swym Wilnem, a we Lwowie niech powiewa sino-żółty sztandar. Przy współpracy Ukrainy i Litwy Federacja Europy Środkowowschodniej stanie się faktem dokonanym”.

Reagując na głosy oburzenia wielu czytelników, Giedroyc oświadczał: „Polska może odzyskać i utrzymać byt niepodległy tylko w ramach sfederalizowanej całej Europy. Twierdzimy, że prawo udziału w przyszłym europejskim federacyjnym związku mają nie tylko narody, które tworzyły niepodległe państwa w r. 1939, lecz również Ukraińcy i Białorusini. Z uwagi na niebezpieczeństwo imperializmu rosyjskiego – obecne i przyszłe – powstanie niepodległej Ukrainy i jej uczestnictwo w europejskim związku

Ofiarą UPA padło ok. 100 tysięcy Polaków. Ofiary ukraińskie polskiego odwetu sięgają 10-20 tysięcy

federacyjnym dla Polski jest sprawą pierwszorzędного znaczenia”. I dalej: „Gdy przyjdzie organizowanie nowego systemu europejskiego, wiele granic – w tym i wschodnia granica Polski z r. 1939 – muszą być poddane rewizji” na zasadzie swobodnej decyzji narodów polskiego i ukraińskiego.

Problem przyszłych stosunków Polski z wolną Ukrainą był trwale obecny w myśleniu Giedroycia. Niezwykłym posunięciem było namówienie krytyka Jurija Ławrinenki, by przygotował do druku antologię rozproszonych wierszy poetów ukraińskich z lat 20., kiedy na sowieckiej Ukrainie przez parę lat kwitła kultura. „Rozstrzelane odrodzenie”, wydane po ukraińsku (1959), miało ożywić te tradycje, dostarczyć duchowego pokarmu kolejnym pokoleniom, przypomnieć zapomnianych zamordowanych literatów (Ławrinenko obliczył, że było ich co najmniej 200).

Od lat 60. temat Ukrainy powracał w artykułach Juliusza Mieroszewskiego, główniego publicysty „Kultury”. Przypominał on, że Polacy nie graniczą na wschodzie z Rosjanami, ale z Ukraińcami, Białorusinami i Litwi-

nami, a przyszłość Polski zależy od ułożenia stosunków z tymi narodami (m.in. „Rosyjski »kompleks polski« i obszar ULB”, 1974).

W maju 1977 r. w „Kulturze” opublikowano „Deklarację w sprawie ukraińskiej”, którą podpisali Giedroyc i jego współpracownicy – Józef Czapski, Gustaw Herling-Grudziński, a także Łobodowski i Aleksander Smolar, naczelny redaktor „Aneksu”, pisma nowej, pomarcowej emigracji. Zasadnicze znaczenie miały podpisy znanych radzieckich dysydentów, od kilku lat znajdujących się na emigracji.

W deklaracji czytamy: „Nie będzie wolnych naprawdę Polaków, Czechów czy Węgrów bez wolnych Ukraińców, Białorusinów czy Litwinów. I, w ostatecznym rozrachunku, bez wolnych Rosjan”. I dalej: „Dążymy do stworzenia takiej sytuacji, w której Ukraińcy mogliby wypowiedzieć się swobodnie, czy chcą niezależnego bytu państwowego”.

W kraju po wojnie temat ukraiński był właściwie nieobecny. Jeśli powracał czasami, od lat 60., to głównie po to, by podtrzymywać negatywne stereotypy. W książkach Jana Gerharda o walkach z UPA w Bieszczadach, w filmach Ukraińcy byli pokazywani jako straszni wrogowie, okrutni, dzicy, faszystowscy. Inne wątki historii polsko-ukraińskiej nie istniały w przestrzeni publicznej. Podejmowanie tematu ukraińskiego władza uznawała za prowokację antyradziecką.

Dotyczyło to także kultury i historii XIX wieku, toteż wydarzeniem niezwykłym była np. publikacja (w małym nakładzie) w 1975 r. książki Jana Kozika o początkach ukraińskiego odrodzenia narodowego w okresie Wiosny Ludów. W PRL-u zdarzały się jednak czasem niezwykle „niedopatrzienia” cenzury, np. Jerzy Holzer w książce z 1974 r. o partiach politycznych II RP syntetycznie scharakteryzował ukraińskie partie i ich programy.

Myślenie o Ukrainie i Ukraińcach w kategoriach politycznych pojawiło się po uformowaniu w 1976 r. zorganizowanej opozycji politycznej. W pierwszym numerze miesięcznika „Głos” jesienią 1977 r. ukazała się deklaracja podpisana przez trzech liderów KOR-u – Jacka Kuronia, Adama Michni-

ka i Antoniego Macierewicza – zatytułowana „Sprawa polska – sprawa rosyjska”. Padły tam ważne zdania:

„Państwo polskie aspirujące do panowania nad Ukrainą, Białorusią i Litwą musi być imperialistyczne”; w II RP „na równi z Rosją Radziecką uczestniczyliśmy w polityce rozbioru Ukrainy, Białorusi i Litwy. Nie ma granicy polsko-rosyjskiej, a każdy, kto ją buduje, musi sobie uświadomić, że robi to za cenę uciemnienia Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Bez przezwyćżenia wzajemnej wrogości niemożliwa jest wspólnota celów Ukraińców, Litwinów, Białorusinów, Polaków i Rosjan. Bez tej zaś wspólnoty pozostaniemy uwięzieni w historii na następne stulecia. Wynika stąd program działania: walczyć z ksenofobią i szowinizmem we własnym narodzie, krzewić zrozumienie niepodległościowych aspiracji Ukraińców, Białorusinów, Litwinów. Krzewić zrozumienie, że z demokratami rosyjskimi łączy nas wspólnota celu w dążeniach demokratycznych i wolnościowych. Od realistyczna droga do suwerenności Polski”.

W publicystyce opozycyjnej w pismach poza zasięgiem cenzury o sprawach ukraińskich pisano niezmiernie rzadko, ale cytowane słowa wyznaczały pryncypia, kierunek myślenia i komentowania spraw wschodnich, solidarność z dysydentami i więźniami politycznymi.

Pismem, które starało się przybliżyć tematykę ukraińską, głównie od strony religijnej i męczeństwa Kościoła greckokatolickiego, były lubelskie „Spotkania” redagowane przez Janusza Krupskiego. Na KUL-u formowały się pierwsze grupy młodych badaczy zainteresowanych głębiej tą problematyką, znajdujących oparcie w prof. Jerzym Kłoczowskim.

W Warszawie na początku 1980 r. ukazał się numer pierwszy podziemnego pisma „Obóz”, skupionego na problematyce krajów bloku sowieckiego, w tym wcielonych do ZSRR, jak Ukraina i Litwa. Pojawiały się ważne głosy adresowane do szerokiego kręgu czytelników, np. Kazimierza Podlaskiego (Bohdana Skaradzińskiego) „Białorusini, Litwini, Ukraińcy” (1983).

Wielki ruch „Solidarności”, który zmienił Polskę w latach 1980-81, był skupiony na sprawach wewnętrznych, unikał wypowiedzi traktowanych jako „antyradzieckie”. Cała logika sytuacji, dążenie do ugruntowania istnienia „S”, która była ciałem obcym w ustroju typu postalinowskiego, monopolu jednej partii, nakazywała nie zwiększać pola konfliktu z Moskwą. A jednak zjazd „Solidarności” we wrześniu 1981 r. przyjął „Poznanie do ludzi pracy Europy Wschodniej” – wyraz poparcia dla tych, którzy wchodzą na drogę walki o wolny ruch związkowy. Wymienione w nim zostały wszystkie państwa zależne od ZSRR, a także „wszystkie narody Związku Radzieckiego”.

W 1989 r. wśród swoich kandydatów na posłów „Solidarność” wysunęła Ukraińca, filologa Włodzimierza Mokrego. Został on pierwszym posłem mniejszości ukraińskiej od czasów II RP

Był to akt solidarności o wielkim znaczeniu symbolicznym i moralnym, a w przyszłości politycznym. Doraźnie jednak budził irytację działaczy starających się hamować narastający konflikt z ZSRR. Również kontaktujący się z działaczami „S” politycy i dziennikarze zachodni odradzali antyradzieckie gesty. Realizm wymagał – teraz lub w przyszłości – zawarcia kompromisu polskich demokratów z ZSRR i uzyskania przyzwolenia na polską odrębność.

Trwało osiem lat – stanu wojennego, potem normalizacji bez „Solidarności” – nim wraz ze zmianami wprowadzanymi przez Gorbaczowa w ZSRR okazał się możliwy powrót do demokratyzacji Polski. Droga walki o wolność bez przemocy, przez nacisk, ale i dialog, okazała się skuteczna.

Na początku 1989 r. przy Okrągłym Stole ułożono ramy kompromisu, którego istotą były wybory oparte na kontrakcie, ale poza tym wolne, rywalizacyjne. Wśród swoich kandydatów na posłów „S” wysunęła Ukraińca, filologa Włodzimierza Mokrego; został on pierwszym posłem tej mniejszości od czasów II RP.

W wybranym 4 czerwca Sejmie utworzono komisję ds. mniejszości narodowych, przewodniczącym został Jacek Kuroń. Jeszcze latem 1989 r. przyjęto nowe zasady dotyczące praw mniejszości narodowych, dające im gwarancje rozwijania własnego języka, oświaty, wydawnictw. Wprowadzało je w życie Biuro ds. Mniejszości Narodowych w Ministerstwie Kultury, kierowane do 1994 r. przez Bogumiłę Berdychowską.

Odradzająca się demokratyczna Polska wprowadzała wolność obywateli i równość ich praw niezależnie od podziałów politycznych, narodowych, religijnych. W Kijowie 8-9 września 1989 r. delegacja posłów

„S” wzięła udział w zjeździe ukraińskich demokratów. Przemówienie na tym zjeździe Adam Michnik kończył słowami: „Jesteśmy szczęśliwi, że w chwili Waszego odrodzenia narodowego, które okupiliście procesami, łagrami, cierpieniami i śmiercią najlepszych synów tej ziemi, jest z Wami »Solidarność«, jest z wami Polska. Niech Wam los sprzyja, niech Wam Bóg da siłę. Niech żyje wolna, demokratyczna, sprawiedliwa Ukraina”. Tematy ukraińskie były od tej pory obecne w polskich gazetach, zwłaszcza w „Wyborczej”.

Odradzająca się demokratyczna Polska miała wiele problemów ekonomicznych, społecznych, politycznych. Szła w stronę Zachodu. Nakazywało to unikanie konfliktów z Moskwą. Pryncypium polityki wschodniej III RP było jednak uznanie, że Polska graniczy z Ukraińcami, Litwinami, Białorusinami, popiera ich aspiracje wolnościowe, istniejącą granicę uznaje za trwałą. Linia narzucona przez Stalina w 1944 r. miała być nie barierą, ale mostem między Polską a wschodnimi sąsiadami, granicą przekraczalną przez obywateli szukających zbliżenia, współpracy, zarobku.

W grudniu 1991 r. prezydenci Rosji, Białorusi i Ukrainy podjęli decyzję o rozwiązaniu ZSRR, a wcześniej, w sierpniu 1991, Ukraina ogłosiła niepodległość. Polska była pierwszym państwem, które ją uznało (2 grudnia 1991 r.).

Giedroyc z Paryża krytykował małą aktywność Polski w kontaktach z Ukrainą, ale nie popełniano w Polsce istotnych błędów, a linia pozytywnych relacji przyjęta w pierwszych latach III RP była kontynuowana.

Polityczne kontakty z Kijowem rozwijał zwłaszcza prezydent Aleksander Kwaśniewski, choć prezydent Ukrainy Leonid Kuczma



FOT. WIKIPEDIA

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Teodor Bujnicki*

Do poety

*To nic, że krwawisz się, że tęsknisz,
że ci się łamie słaby głos,
jeżeli posiew twojej kłęski
wyda w przyszłości złoty kłos. –*

*Jeżeli w rym i rytm wszczepione:
ból, radość, triumf, gniew i wstyd
potrafią czasu nurt pokonać
od marmurowych trwalsze płyt.*

*Oto twój odwet i rachunek
hojny za krzywdy i za laur,
za ust wilgotnych pocałunek,
za przepych woni, blasków, barw. –*

*Wielki, z nawiązką wtedy zwrócisz
niewyrównany z bliźnim dług –
i trwać na wieki z tobą skuci
będą: kochanka, druh i wróg.*

***Teodor Bujnicki** - 1907-44, poeta, członek grupy Żagary. Mieszkał i działał w Wilnie. Po włączeniu Litwy w skład ZSRR był członkiem redakcji „Prawdy Wileńskiej”. W 1942 r. skazany na karę śmierci przez tajny sąd specjalny RP pod zarzutem kolaboracji. Po ponownym wkroczeniu Sowietów do Wilna w 1944 r. działał w Związku Patriotów Polskich. Został zastrzelony w niejasnych okolicznościach. Wiersz, który ukazał się w marcu 1939 r. w wileńskim „Słowie”, za: „Żagary. Antologia poezji”, wstęp Tadeusz Bujnicki (syn Teodora), oprac. Jarosław Fazan, Krzysztof Zajas. Ossolineum, Biblioteka Narodowa seria I, nr 335, Wrocław 2019.

spornych, to powodem nieufności i czasem niechęci były kwestie historyczne. W pierwszym dziesięcioleciu po 1989 r. dominowała kwestia odbudowania cmentarza ofiar walk 1918 r. we Lwowie. Stopniowo zajmujący się nią Andrzej Przewoźnik przełamywał opory, a strona ukraińska odchodziła od obawy, że cmentarz ma być manifestacją polskości Lwowa.

Przez następnych prawie 20 lat osi niechęci była sprawa ofiar Wołynia w 1943 r., mocno akcentowana przez środowiska kresowe i polskiej prawicy. Próby pojednania podejmowane przez prezydentów Kwaśniewskiego, Kaczyńskiego i Komorowskiego okazywały się niewystarczające, zbiegały się też z ożywieniem na Ukrainie kultu UPA jako narodowej partyzantki antysowieckiej i Bandery jako symbolu dążeń niepodległościowych, co po polskiej stronie wywoływało oburzenie.

Po 2015 r. wokół tej sprawy nastąpiło zamrożenie kontaktów międzypaństwowych, a tzw. ustawa o IPN z 2018 r. ustanawiała karę za kwestionowanie ukraińskich „zbrodni ludobójstwa”. Powstały kontrowersje wobec statusu pomników na grobach partyzantów UPA, niektóre z nich burzono, doszło też do konfliktów między ukraińską mniejszością a grupami nacjonalistycznymi.

Drastyczne różnice pamięci historycznej całkowicie przesłoniła napaść Rosji 24 lutego 2022 r. Wobec tego dramatu stanowisko opinii publicznej w radykalnie podzielonej Polsce było jednolite, zdecydowanie proukraińskie. Otworzenie granic dla uchodźców, opieka nad nimi zorganizowana przez obywateli z pewną pomocą władz państwa, udział Polski w pomocy militarnej USA i innych państw NATO nie budzą wątpliwości. Przez Ukrainę Polska jest traktowana jako bliski sojusznik.

Poczucie bliskości od lutego 2022 r. jest oparte na wspólnym poczuciu zagrożenia przez rosyjski imperializm. Wynika też jed-

nak z drogi przebytej przez oba państwa od 1989 r., uznania istniejącej granicy, szanowania praw mniejszości ukraińskiej w Polsce, tworzenia warunków dla odwiedzania przez Polaków Ukrainy i przez Ukraińców Polski.

Obecność ok. 2 mln Ukraińców w Polsce, pracujących lub studiujących, pozwalała na stworzenie codziennych przyjaznych kontaktów i odrzucanie negatywnych stereotypów. Trudna historia sprzed 80 lat przestała ciążyć, perspektywę dla obu społeczności tworzyły kontakty i doświadczenia pokoleń żyjących. ●



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*prof. Andrzej Friszke

• ur. w 1956 r., historyk, autor ponad 20 książek o najnowszej historii Polski. Ostatnio ukazała się książka „Zawód: historyk”, rozmowa z nim Jana Olaszką i Tomasza Siewierskiego.

Tekst to druga część wykładu wygłoszonego 20 grudnia 2022 r. na Uniwersytecie Warszawskim w ramach cyklu „8 wykładów na nowe tysiąclecie”. Tytuł i skróty – „Wyborcza”.

Cały tekst: [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

Morele rosną po naszej stronie

Od XVI wieku to Ukraińcy równocześnie z Niemcami i Holendrami malowali tę europejską twarz, którą Rosja mogła odwrócić się ku Zachodowi

OKSANA ZABUŻKO

Już po raz trzeci w ciągu 20 lat jestem świadkiem tego, jak Zachód odkrywa Ukrainę: w 2004 po pomarańczowej rewolucji, w 2014 po euromajdanie i w 2022 – po 24 lutego, kiedy Ukraina po raz trzeci w tym stuleciu burzy Kremlowi scenariusz jej ponownego wzięcia w pańszczyżnianą niewolę. Po raz trzeci za życia jednego pokolenia rozgrywa się ten sam dramat – i za każdym razem zachodni eksperci nie omieszkają ze świeżą siłą się nim zadziwić, i to tymi samymi słowami, jak to bywa przy zaburzeniach pamięci krótkotrwałej: patrzcie, kto by pomyślał, Ukraińcy to dorosły naród!, mają społeczeństwo obywatelskie!, są gotowi walczyć o własną wolność!, patrzcie, oni walczą!, och, to niesamowite, oni zwyciężają! – i zanim ostygnie euforia spowodowana takim odkryciem, wszystkie eksperckie spojrzenia znów zwracają się ku Moskwie i zaczyna się ulewa rzeńskich przepowiedni w duchu: „Skoro Ukraińcy dali radę, to i Rosjanom wkrótce się uda”.

• • •

Że może tu istnieć jakiś błąd logiczny, nikt chyba nawet nie podejrzewał ani w 2004, ani w 2014 roku. Wychodziło na to, że swoją walką o swobodę, zamiast pomóc światu w dostrzeżeniu groźby rozrastania się rosyjskiego nazizmu, pomagaliśmy w czymś przeciwnym – ignorowaniu go jako czegoś nieistotnego i ulotnego – skoro nawet „mała” Ukraina jest zdolna mu się przeciwstawić (trudno powiedzieć, wedle jakich standardów „mała”, ale do dziś tak nas nazywają światowe media – small nation). Nawet przez pierwsze tygodnie po 24 lutego, aż do wypędzenia okupantów z Buczy i Irpinia – ci sami eksperci szczerze wierzyli, że to one man’s war, zachcianka dyktatora, przeciwko której rosyjski naród teraz nareszcie powstanie – i w napięciu wypatrywali w Rosji oznak narastania protestów antywojennych z taką samą energią, z jaką wcześniej widzieli w Nawalnym demokrację, nie wyobrażając sobie, że Putina można krytykować nie tylko „z lewicy”, ale i „z prawicy”.

Kryje się tu swego rodzaju nieświadomy, utajony rasizm (już Edward Said na przykładzie Anglików i Irlandczyków XVIII wieku pokazał, że biała skóra nie jest przeszkodą dla rasizmu). Zakłada się domyślnie, że Rosja jest ważna, a Ukraina nie; bez Rosji – „wielkiej” i „niezwycięzonej”, „drugiej armii świata”, lidera światowych rynków energetycznych (a także giełd, aukcji nieruchomości, atlantyckich kurortów, jachtklubów, kalifornijskich i monakijskich kasyn i tak dalej, i tym podobne) – cywilizowany świat nie może się obejść, a Ukraina to gdzieś głęboko w tyle głowy nawet wykształconego Europejczyka „prawie to samo”, tylko mniejsze i słabsze: spokrewnione plemiona, z większej odległości praktycznie nie do odróżnienia – dlaczego nie miałyby żyć sobie spokojnie razem? Niechby nawet w jednym państwie, co za problem? Razem walczyłyby sobie o demokrację, czemu nie?...

Jest w języku ukraińskim takie nieprzetłumaczalne pojęcie – połuda. Należyc komuś połudę na oczy – to coś, co w naszych bajkach ludowych bardzo lubi robić siła nieczysta. Nawet odkrycie, że „nieważna” Ukraina jest jednym z głównych światowych eksporterów zboża i karmi prawie 400 milionów ludzi poza swoimi granicami (a w ogóle jest jedną z historycznie najdawniejszych cywilizacji agrarnych, nie bez powodu nasi żołnierze w opustoszałych wsiach, kiedy ostrzały na chwilę ucichną, podwiązują porzucone przez gospodarzy pomidory, „żeby się nie zmarnowały”) – nawet to nie zdejmuje połudy. Zachód zdaje się nie widzieć zerzenia dwóch radykalnie odmiennych sposobów gospodarowania – drapieżnego (w istocie bardzo archaicznego) imperium surowcowego (zagarnęli terytorium, pozyskali surowce, pozostawili pustynię, poszli dalej...) – ze zmodernizowaną kulturą rolniczą pogranicza, która jest „o kilka epok historycznych” bardziej złożona i rozwinięta – i dzięki temu bardziej wydajna gospodarczo. I nawet spośród tych organizacji międzynarodowych, które od 2014 roku niezliczoną ilość razy były w Donbasie, nikt nawet nie pisał: hej, a dlaczego po ukraińskiej stronie Donbas cały jest wzdłuż dróg obsadzony morełami, a dosłownie o krok dalej, po rosyjskiej stronie, na wciąż takiej samej ziemi, jak od liniiki – zaczyna się pustka?...

• • •

– Rosja nie ma historii – powiedział w wywiadzie dla Głosu Ameryki amerykański prawnuk Piotra Stołypina, ostatniego z nieudanych reformatorów Imperium Rosyjskiego.

Dziennikarka się spłoszyła, a potomek imperialnych elit wyjaśnił: cała rosyjska historia to historia stanu jego przod-

ków, wąziutkiej warstwy arystokratycznej, czyli jest to nie więcej niż witrina, fasada (to samo zauważyła Ewa Thompson, kiedy pisała, że życiem bohaterów Lwa Tolstoja w Imperium Rosyjskim żyło jakieś pięćset rodzin, dlatego dziewiętnastowiecznej powieści rosyjskiej nie można, mówiąc ściślej, uważać za europejską, to zjawisko zupełnie innego pochodzenia – swego rodzaju cargo-„relokacja” europejskich wzorów, podobnie jak Petersburg to cargo-„relokacja” Wenecji, a rosyjska matryoszka – cargo-„relokacja” na rosyjską taśmę fabryczną w 1891 roku japońskiej lalki daruma...). A za tą jaskrawo oświetloną fasadą rozciąga się pustka i mrok: ogromne, słabo zaludnione, do dziś niezagospodarowane przez człowieka przestrzenie, gdzie w XXI wieku wciąż nierzadko od wsi do wsi można dotrzeć tylko łodzią, bo dróg, mimo wieków niewolniczej pracy, nigdy tam nie zbudowano – spośród całej ludności Rosji 60 milionów mieszka w zaledwie dwudziestu miastach plus obwody moskiewski i leningradzki.

...A Ukraina ma historię, w tym właśnie rzecz. Ma coś znacznie bardziej pierwotnego i znaczącego, czego Rosja nie ma: historię narodu, którego nie trzeba było wymyślać mocą żadnych carskich ukazów. Ukraińscy autochtoni od zarania dziejów zasiedlali ziemię „od Sanu do Donu” (to też cytat z hymnu, po 1991 roku zgodnie z poprawnością polityczną wykreślony, żeby nikt nie mógł odnieść wrażenia, że Ukraina nie godzi się z powojennymi europejskimi granicami), niemal od czasów starożytnego Rzymu orali je plugami własnej konstrukcji (trójkątnymi, z kołem i odkładnicą), na całym terytorium używali jednego języka i tysiąc lat temu wydrapywali w nim graffiti na chórze Soboru Sofijskie-



***Ukraina to w tyle głowy nawet
wykształconego Europejczyka „prawie
to samo”, tylko mniejsze i słabsze:
spokrewnione plemiona, z większej
odległości praktycznie
nie do odróżnienia – dlaczego nie miałyby
żyć sobie spokojnie razem?
Niechby nawet w jednym państwie,
co za problem?***

go w Kijowie; ten naród stworzył własną wersję wschodniego chrześcijaństwa (prawosławie kijowskie jest wspólnym źródłem zarówno dla Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, jak i dla Cerkwi Greckokatolickiej), własną formę państwowości – republikę kozacką (która pozostawiła nam konstytucję zawierającą podział władz na ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą; spisany w 1710 roku dokument jako pierwszy w Europie wprowadził ten podział), własną kulturę barokową z własnymi stylami architektury sakralnej, ikony i tak zwanego śpiewu partesnego (powszechnie znany „Szczedryk/ Carol of the Bells” wyrasta bezpośrednio z tej tradycji) – i przy całej rozmaitości międzyplemiennie-międzypaństwowych sojuszy-umów-protektoratów i tak dalej, w których przebyłskiwiał w ciągu ostatniego tysiąca lat, zademonstrował wcale niegorszą zdolność przetrwania w warunkach braku naturalnych granic – a przy okazji, dzięki temu bardzo wcześniej nauczył się budować miasta, tolerancyjnie adaptować odmienne kulturowo mniejszości (w antropologii ukraińskich nazwisk odbiły się dziesiątki żywych i wymarłych narodów i plemion, od Skandynawii do Bliskiego Wschodu!) – i bronić swego archetypicznego „sadu wiśniowego” z bronią w ręku (już Waregowie nazywali nas „krajiną miast” – Gardariki), i nic dziwnego, że właśnie wzdłuż wschodniej granicy Ukrainy rozciągała się również wschodnia granica europejskiego samorządu miejskiego – prawa magdeburskiego.

W pewnym sensie można nawet zrozumieć zazdrość, którą ta historia budziła i budzi u naszych północnych sąsiadów: to klasyczna zazdrość biedaka wobec posiadacza, jedna z głównych psychologicznych motywacji tej wojny.

W historii stosunków rosyjsko-ukraińskich często przejawiała się ona jako zazdrość ubogiej, głodnej północy wobec sytego i bogatego południa (ów jeniec, który podczas przesłuchania, gdy wyczerpał już wszystkie powody, dla których jego armia napadła na Ukrainę, i spytał wyzywająco: „A dlaczego wy macie żyć lepiej od nas?!, powtórzył główny argument, z którym w 1933 roku trzydziestotysięczna armia rosyjskich „proletariuszy” przybyła „rozkułaczać” Ukrainę). Wszystkie wystąpienia Putina dotyczące Ukrainy są w istocie wzorcowymi „tekstami zazdrości”, tyle że on wcale nie jest w tym oryginalny – wśród jego „poprzedników w dyskursie” byli ludzie, w przeciwieństwie do niego nawet całkiem utalentowani, jak Michail Bułhakow, a nawet laureaci Nobla, jak Josif Brodski: cała rosyjska tradycja kulturowa trzech ostatnich stuleci starannie pracowała nad przywłaszczeniem sobie Ukrainy – jej historii, jej kultury, a nawet jej narodu.

Cóż, jest w tym jedno „ale”: to nie Rosjanie wymyślili to jako pierwsi.

Wymyślili to Ukraińcy.

• • •

W Ukrainie niespecjalnie lubi się o tym mówić. Zazwyczaj Ukraińcy wolą stawiać się w pozycji bylewej kolonii Imperium Rosyjskiego; jeśli jednak dopowiedzieć wszystko do końca, to „wymyślili” czy też pożyczili temu imperium całą jego europejską fasadę, ideologicznie ją uzasadnili, wyposażyli do ostatniego guzika, tak że od tamtej pory tych guzików imperium w zasadzie nie zmieniało, co najwyżej czyściło – właśnie nie kto inny, tylko nasi przodkowie, i nie ma na to rady.

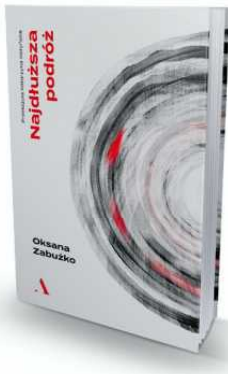
To oni, kijowscy intelektualiści ze szkoły lawry Kijowsko-Pieczerskiej, później Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, na przełomie XVI i XVII wieku, zaabsorbowani z jednej strony jezuicką ekspansją z zachodu, a z drugiej strony z południa – agresją imperium osmańskiego i potencjalnym zagrożeniem ze strony Chanatu Krymskiego – wymyślili „prawosławne imperium trzech narodów” (które później, już za Mikołaja I, przeistoczyło się w „trójjedyny naród ruskii”) jako optymalny dla zabezpieczenia ukraińskich interesów projekt biznesowy. I wybrali Carstwo Moskiewskie do realizacji swojego projektu.

Przez dwieście lat (aż do XIX wieku, do Gogola włącznie) Ukraińcy uparcie zagospodarowywali „witrinę” tego imperium – uczyli czytać i pisać, reformowali Cerkiew, zakładali klasztory-szkoły-universytety (kiedy w 1755 roku w Rosji utworzył się pierwszy uniwersytet – moskiewski – to nie tylko wykładowcami, ale także studentami byli niemal wyłącznie Ukraińcy!), tworzyli taki język literacki, który byłby „jednak zrozumiały dla Wielkorusinów i Małorusinów” (Gogol), a nawet oddali im swoje własne imię w wersji greckiej (w 1721 roku „Ruś” oficjalnie „przeniosła się” z Kijowa do nowo wybudowanego Petersburga jako „Rossija”, a dawna „Moskowia” ostatecznie stała się archaizmem) – słowem, malowali jej, równocześnie z Niemcami i Holendrami, tę europejską twarz, którą mogła odwrócić się ku Zachodowi.

Dziś w Rosji nie wspomina się o osiemnastowiecznych ukraińskich „szarych eminencjach” – a warto byłoby wiedzieć, że to nie mało piśmienny Piotr I, tylko Teofan Prokopowicz, naprawdę wybitny myśliciel ukraińskiego baroku, był autorem tak zwanych reform Piotra Wielkiego, i że nie Katarzyna II, tylko jej kanclerz Aleksandr Biezbordko, syn ostatniego pisarza generalnego Hetmańszczyzny, był autorem jej polityki zagranicznej, w tym zwycięstw nad Turcją i rozbiorów Polski. ●

Tytuł i lead od redakcji

Fragment nowej książki **Oksany Zabuzko**, w której objaśnia Ukrainę – kraj wywracający stolik w grze wielkiego imperium. **„Najdłuższa podróż”** już dostępna w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



*Stąpaj ostrożnie, bo stąpasz
po moich marzeniach*

William Butler Yeats,
„He Wishes for the Cloths of Heaven”

Wojna za wschodnią granicą Unii Europejskiej, 520 km od Wrocławia i 850 km od Berlina, postawiła przed Europą i jej liderami wyzwanie nadania dyskursowi europejskiemu bardziej pryncypialnego podejścia do integracji, wykraczającego poza dominującą dotąd perspektywę rynku wewnętrznego. Odwaga i opór Ukraińców dały także nam, obywatelom Unii, cenny czas na

przemyslenie, dlaczego jesteśmy razem, kim jesteśmy, co jest nam drogie i jak rozumiemy nasze ideały i wartości w 2023 r.

Musimy jednak oprzeć się zbyt łatwej pokusie myślenia, że tragiczna wojna i pełne usta polityków deklarujących jedność zniwelowały wszystkie rozdziewki, napięcia, jeśli chodzi o inercję Unii w radzeniu sobie z własnym wewnętrznym kryzysem fundamentów, na których się (rzekomo) opiera, a wśród nich – praworządności. Wojna nie może być wykorzystywana jako wygodna wymówka, aby zapominać o wciąż niedokończonych sprawach związanych z zapewnieniem, że wartości europejskie z praworządnością na czele są rzeczywiście respektowane wewnątrz samej Unii przez wszystkie państwa członkowskie.

Ma to kluczowe znaczenie, ponieważ amnezja i niezdolność do krytycznego przeformułowania języka i dostosowania go do zmieniającego się świata już uwolniły i ośmieliły politykę większościowego ustawodawcy, gdzie bezwzględna wola większości parlamentarnej łamie opór, przejmując instytucje. To z kolei burzy jeden z mitów założycielskich pierwszych Wspólnot (dziś Unii) – że każda władza demokratyczna musi być władzą ograniczoną i kontrolowaną. Kiedy prawo i instytucje zaczynają służyć polityce, zamiast trzymać ją w ryzach i cywilizować, jeden z kamieni węgielnych powojennego ładu europejskiego zostaje podważony.

Mimo górnolotnej retoryki jesteśmy cały czas daleko od prawdziwego zrozumienia tragicznych lekcji historycznych kontynentu. Ożywienie europejskich ideałów nigdy nie będzie kompletne, jeśli sama Unia nadal będzie odwracać wzrok, wahać się, zwlekać, gdy jej fundamenty aksjologiczne są atakowane przez jedno z jej własnych państw członkowskich. O ile niemiecki moment przebudzenia jest pierwszym nieśmiałym krokiem we właściwym kierunku,

ku, o tyle dekady „merkantelizmu”, oznaczającego chroniczne niezdecydowanie i brak reakcji w sprawach zasadniczych, ciężą nad polityką UE i nie da się ich odwołać jednym czy dwoma gładkimi przemówieniami. Wieleletnie ugłaskiwanie autokratów i przedkładanie geopolityki i gospodarki nad zasady wymaga dziś znacznie więcej. Żadna retoryka przewodniczącej Komisji, przewodniczącego Rady Europejskiej, prezydenta Francji czy też kanclerza Niemiec nie jest w stanie zatrzeć wieloletnich krajowych i ponadnarodowych uściśków z autokratami wewnątrz (Polska, Węgry) i na zewnątrz (Rosja).

Zanim wybuchła wojna, tam, gdzie potrzebna była determinacja, aby stać na straży polskiej i unijnej praworządności, otrzymaliśmy niezliczone listy dobrych intencji, dziecinna ufność w dobre intencje podpalacza oraz niekończący się dialog. Gdy umierał polski sąd konstytucyjny, działało się to w ciszy i zapomnieniu. Kiedy należało coś zrobić i powiedzieć z mocą w 2016, 2017, 2018, 2019, 2020... dostaliśmy tylko dyplomację oburzenia, listy zaniepokojenia Komisji Europejskiej i apele o więcej dialogu. Eurokraci dalej szukali drogi we mgle naiwności i wygodnie odwracali wzrok, ponieważ „jakoś to będzie”.

Komisja Europejska potrzebowała sześciu długich lat, aby zrozumieć, jak przejęty Trybunał Konstytucyjny stał się śmiertelnym wrogiem integracji i najlepszym sprzymierzeńcem autokratów w ich krucjacie przeciwko fundamentom Unii.

Gdy przypominam sobie ten niedowład Europy i słyszę dzisiaj ku swojemu przerażeniu, że środki europejskie mogą być jednak odblokowane, w sytuacji gdy to sąd Przylębskiej w sposób otwarty i kategoryczny wypowiedział posłuszeństwo wobec prawa europejskiego i podważył istotę integracji oraz autorytet sądu unijnego, którego wyroki pozostają niewykonane w majestacie prawa, a rządzący z nieskrywaną pogardą mówią o Unii jako wspólnocie obcych, zastanawiam się – czy Europa rozumie powagę sytuacji i decyzji, którą ma podjąć? Czy pamięta, że gdy w Ukrainie wybuchła wojna w lutym 2022, polska wojna przeciwko prawu europejskiemu trwała już od 2016?

Niewielu pamięta, że kiedy w 1951 r. podpisywano pierwszy z traktatów europejskich (traktat paryski o Europejskiej Wspólnocie Węgla i Stali), pojęcie wspólnoty państw europejskich opierało się na założeniu o istnieniu pewnych wspólnych wartości i zasad, które z czasem pozwolą przezwyciężyć nieufność i świeże blizny po największej hekatombie w dziejach

Nowa, wielka europejska opowieść

ODRZUCACIE TO, O CZYM UKRAIŃCY MARZĄ

Bezprawna Polska przemawia wobec Ukrainy w imieniu Unii i jej wartości, które sama odrzuca u siebie

Tomasz Tadeusz Koncewicz*

FOT. SHUTTERSTOCK

ludzkości. Te podstawowe zasady nie zostały wyrażone w formie tekstu, lecz były rozumiane jako niewypowiedziane dogmaty wyrastające z kultury prawnej wstrząśniętej do głębi przez doświadczenie totalitaryzmu i wojny totalnej. Europejczycy musieli na nowo odkrywać ufność i uczyć się, jak przywiązanie do krajowej tradycji i historii połączyć z respektem dla zaburzonej europejskości. Idealizm projektu europejskiego postrzegał wspólnoty jako celebrację demokracji liberalnej i jej strażnika, tak aby „nigdy więcej” stało się faktem i praktyką dnia codziennego.

Konsens europejski po 1945 r. został zakorzeniony w przekonaniu, że nie można już nigdy pozwolić, aby dyktatury mogły narodzić się z krajowego procesu politycznego. Zjednoczona Europa miała więc dostarczać ponadnarodowego bufora dla narodowych szaleństw i nieokiełznanej suwerenności sprawowanej przez niczym niekontrolowanego większościowego ustawodawcę. Władza polityczna na poziomie krajowym miała podlegać nowym międzynarodowym (Rada Europy) i ponadnarodowym (Unia) mechanizmom kontroli i równoważenia, tak aby podstawowe wartości wspólnoty były zabezpieczane przed nieprzewidywalnymi chwilowymi impulsami elektoratów wyborczych i krajowych szaleńców.

Nigdy różnica zdań i opinii, wpisana w różnorodność leżącą u podstaw integracji, nie mogła prowadzić do jednostronnego podważania tych wartości. W konsekwencji spod działania konsensusu europejskiego zawsze miały być wykluczone te państwa, które kwestionowały bazowe założenie, że wspólnota jest otwarta tylko dla demokracji liberalnych. Sześć lat po zakończeniu wojny na zgłiszczach Europy było nie do pomyślenia dla Jeana Monneta i Konrada Adenauera, że wyroki sądu unijnego będą jednostronnie niewykonywane, a doraźna polityka dnia codziennego zatriumfuje nad zasadami i doprowadzi do totalnej relatywizacji wartości.

Etos członkostwa w Unii nakazuje, aby państwa przestrzegały najbardziej podstawowych zasad wspólnoty i jej oparcia w rule of law, poszanowaniu dla praw człowieka, własnych sądów i konstytucji. Niepokojącego pytania: „Quo vadis, Europo?”, nie sposób już dalej lekceważyć.

Mit polityczny nie tylko daje odpowiedź na pytanie, dlaczego jesteśmy razem, ale także tłumaczy, co powinniśmy robić, gdy już postanowimy się zjednoczyć i próbować żyć jako sąsiedzi. Aby przetrwać próbę czasu, dobry mit musi być zawsze gotowy do adaptacji do zmieniającego się otoczenia.

W kontekście europejskim pierwotny mit był zbudowany wokół pokoju, dobrobytu i demokracji opartej na prawie. Zjednoczona Europa była postrzegana jako alternatywa dla brutalnej siły. Pamiętając o wrodzonej skłonności państw do prowadzenia wojen, kraje kiedyś będące imperiami lub takie ambicje mające zbliżyły się do siebie, akceptując własne demony i konieczność zmiany. Jedną z sił napędowych integracji europejskiej była chęć porzucenia imperialnego sposobu myślenia. Obawa przed życiem w długim cieniu imperiów wyjaśnia również, dlaczego w 1989 r. przystąpienie do Unii było także jednym z pierwszych priorytetów państw postkomunistycznych. Kiedy prezydent Żelenski mówi o integracji Ukrainy, kieruje nim ten sam strach i to samo marzenie. Dążenie i tęsknota Ukrainy do stania się częścią antyimperialnej Unii wysuwają na pierwszy plan pytania o przynależność i tożsamość nie tylko dla Ukraińców, ale i dla nas, Europejczyków.

Pamięć o II wojnie i obawa przed powtórzeniem się okrucieństw była jednym z mitów założycielskich powojennego ładu, lecz ta pamięć i opowieści przekazywane przez kolejne generacje mają ograniczone oddziaływanie na te pokolenia, które nigdy nie zaznały wojny i dowiadywały się o niej jedynie ze wspomnień rodziców i dziadków. Wojna w Ukrainie jest wojną tego pokolenia i może być źródłem nowego mitu dla odnowionej integracji europejskiej, dla budowania pamięci i tożsamości oraz nowej opowieści o tym, co i jak zrobiliśmy oraz gdzie byliśmy w chwili próby.

Nigdy jednak puste słowa nie budują mitów. Czyni to praktyka. Oferta przystąpienia Ukrainy do UE byłaby czymś konkretnym, namacalnym i jednoczącym. Mało tego, dopuszczenie dyskusji o członkostwie byłoby nie tylko gestem Unii wobec Ukrainy, ale w równym stopniu Unii wobec samej siebie.

Takie samozobowiązanie byłoby wyzwaniem dla obecnych i przyszłych przywódców europejskich, związałoby ich wspólną przyszłością oraz wspólnymi ideałami podważonymi po raz kolejny w Europie przez konflikt zbrojny tuż za wspólną granicą. Nam, Europejczykom, pozwoliłoby oceniać przywódców nie tylko za słowa, które nic nie kosztują, ale za rzeczywiste działania.

Aby jakkolwiek mit przetrwał, potrzebuje nie tylko zręcznych narratorów, ale także historii wartej opowiadania, zaangażowanej publiczności i gotowości do obrony mitu, gdy jest zagrożony. Jeżeli dzisiaj Europa ma mieć przyszłość, potrzebuje opowieści i narracji, które nie będą zakotwiczone tylko w przeszłości sprzed 80 lat. Odrzucenie imperializmu i wojny jako

narzędzia sprawowania władzy mają potencjał stania się mitem założycielskim nowej Europy A.D. 2023, tak jak było to w 1951 r. Aby tak się stało, ten mit musi być opowiedziany na nowo, w świetle współczesnych okoliczności i wyzwań oraz pytań, które stawia niebezpieczny świat wokół nas.

Jak nadal tłumaczyć marzenie Ojców Założycieli o pokojowym współżyciu narodów i państw europejskich? W imieniu kogo („my, Narody Europejskie”?) przemawiają państwa członkowskie i traktaty europejskie? Skąd przychodzimy i dokąd zmierzamy, my, Europejczycy? Jakimi wartościami kierujemy się w życiu i wobec innych oraz co decyduje o naszej europejskości?

Zadawanie tych pytań i udzielanie odpowiedzi ma zasadnicze znaczenie, jeśli chcemy zakotwiczyć Europę jutra w czymś więcej niż tylko w rynku, który coraz częściej jest źródłem nierówności i niesprawiedliwości i coraz słabiej tłumaczy, zwłaszcza młodemu, zagubionemu w tej cywilizacji zysku pokoleniu, dlaczego nadal powinniśmy tworzyć razem wspólnotę europejską.

Odpowiedź na te wszystkie pytania ma sens tylko wówczas, gdy sama Unia posprząta własny dom i zajmie pryncypialne stanowisko wobec tych, którzy niszczą jej jedność i wartości od środka, jednocześnie bezwstydnie wyciągając brudne ręce po wspólnotowe pieniądze.

Moralny tytuł Unii do wskazywania drogi innym na zewnątrz wspólnoty zawsze miał płynąć z najwyższych standardów obowiązujących i egzekwowanych równo wobec wszystkich wewnątrz wspólnoty

Musiało dojść do wojny w Ukrainie, aby przywódcy odłożyli na bok małostkową, cyniczną politykę i zaczęli wreszcie mówić językiem „życia razem” mimo różnic, w imię tego wszystkiego, co nas łączy. Stawka jest nie do przecenienia.

Zawsze było jasne, że krótkowzroczność europejskich elit ma cenę, którą w pewnym momencie trzeba będzie zapłacić. Teraz doszliśmy do tego momentu. Konsekwencje niewybaczalnej bez troski i naiwnej polityki polegającej na nicnierobieniu zarówno wobec Putina, jak i Orbána, Kaczyńskiego i im podobnych przychodzą dzisiaj do Unii i jej przywódców.

Bezprawna Polska bez sądu konstytucyjnego, niezależnych sądów i prokuratury, wolnych mediów i poszanowania praw mniejszości przemawia teraz – lub przynajmniej aspiruje do przemawiania wobec Ukrainy – w imieniu Unii i jej wartości, tych samych, które sama odrzuca u siebie.

Europejscy liderzy muszą zrozumieć, że pozwalając Kaczyńskiemu i Morawieckiemu uniknąć sankcji za demolowanie liberalnych i demokratycznych podstaw państwa prawa, sami stają się współwinni spektaklu pozorów. Moralny tytuł Unii do wskazywania drogi innym na zewnątrz wspólnoty zawsze miał płynąć z najwyższych standardów obowiązujących i egzekwowanych równo wobec wszystkich wewnątrz wspólnoty.

Jeśli Unia wybierze (po raz kolejny) drogę na moralne skróty i wojnę uzna za wygodną wymówkę do zamienienia kwestii praworządności w Polsce, na zawsze prze-

kreśli swoją liberalną i demokratyczną wiarygodność wobec świata.

I tu, w tym najbardziej niestabilnym momencie w powojennej historii kontynentu, pojawia się fundamentalne pytanie. Czy jesteśmy gotowi nadal wiosłować razem w jednej łodzi jako Europejczycy – sąsiedzi, czy też ulegniemy impulsom chwili i powrócimy do starej podejrzliwości charakteryzującej Europejczyków jako ludzi wobec siebie obcych, którzy swój dom urządzają, jak chcą, bez oglądania się na słuszne oczekiwania innych?

Państwa, które odrzucają rdzeń wspólnoty, robiąc złe rzeczy u siebie w domu, zdradzają podstawy powojennego konsensusu europejskiego: rządy prawa, prawa człowieka i kulturę ograniczenia, a więc to wszystko, o co Ukraińcy walczą i o czym marzą.

Działania takich państw po prostu nie mieszczą się w zakresie tego, czego oczekuje się od dobrego, demokratycznego państwa członkowskiego Unii. Aby Unia lepiej reagowała na zagrożenia demokratyczne płynące z wewnątrz, wszystkie państwa Unii muszą honorować swoje zobowiązanie do wierności wobec niepodlegających negocjacji zasad liberalnych i demokratycznych, podstawowych wartości godności, równości, wolności i praworządności.

Tak zakorzeniona integracja musi być przez każde państwo przyjęta jako ich własny projekt, którą realizują z nieprzymuszonej woli wynikającej z przekonania o wspólnym losie. W 2023 r. etos członkostwa musi polegać na dobrej wierze. Tylko te państwa, które są gotowe zobowiązać się do przestrzegania manifestu Europy wartości i prawa, zasługują na miano państwa członkowskiego Unii.

A później na ten szlachetny tytuł trzeba zapracować dobrą praktyką w kraju i za granicą. Nie wystarczy go po prostu otrzymać w wyniku akcesji. Ona jest początkiem drogi, a nie jej końcem. To bardzo wysokie wymaganie, ale takie było marzenie wpisane do pierwszego traktatu z 1951 r. i od tamtej pory otwierające każdy kolejny traktat europejski.

Być może to wszystko jest myśleniem życzeniowym i niepoprawnym idealizmem skazanym na porażkę w zderzeniu z dominującą zimną kalkulacją polityczną. Jednak takie myślenie o roli i miejscu Unii w świecie wyznaczały moje – i nie tylko moje – lęk i marzenie.

Lęk przed samotnością państwa narodowego i jego wrodzonym potencjałem do okrucieństwa. Marzenie o pewnym ideale i sposobie życia opartych na postawie wobec innych wyznaczonej przez tolerancję, otwartość i dzielenie się, a odrzucających ucisk, wyzysk i niesprawiedliwość wyznawane w imię wyjątkowości własnego państwa i swojej wspólnoty.

Dzisiaj ten idealizm musi lec u podstaw nowej mitologii Unii Europejskiej, wychodzącej poza złudne „tu i teraz”. Jest dokładnie tym, co europejskie elity w swoich przyszłych gabinetach muszą usłyszeć. To przesłanie płynące z introspekcji kogoś, kto wie, co oznacza żyć w cieniu imperiów. Dla mnie i dla całych generacji Polaków historia o „nigdy więcej” i marzenie o życiu we wspólnocie prawa mają wymiar rzeczowy. Opowiadali ją oraz tak marzyli moi rodzice i dziadkowie.

Dlatego dziękuję Ukrainie za to, że dała mi szansę ponownego zastanowienia się nad tym, kim jestem i co definiuje moją europejskość. A jeśli chodzi o przesłanie dla Brukseli, Paryża, Berlina: koniec ze skłonnością do moralnie zgniłych kompromisów, które zasady poświadcza na ołtarzu „małej polityki”, dosyć cynizmu, braku wyobraźni i odwagi. Dosyć czerwonych dywanów i szczytów pełnych pustych obietnic i połowicznych sankcji. Działajcie w sposób pryncypialny, przejrzysty i zdecydowany – teraz. Jeśli nie podejmiecie takiej próby, moje pokolenie Europejczyków nigdy wam tego nie wybaczy. ●



FOT. MACIEJ ŚWIERCZYŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Tomasz Tadeusz Koncewicz

• profesor prawa, kierownik Katedry Prawa Europejskiego i Komparatystyki Prawniczej na Uniwersytecie Gdańskim, członek rady programowej Archiwum Osiatyńskiego, adwokat

A JAK ABRAMS

Najlepsze amerykańskie czołgi wyposażone w armatę kalibru 120 mm i trzy karabiny maszynowe. W magazynie przewozi 40 pocisków kumulacyjnych i podkalibrowych. Po bezdrożach mknie z maksymalną prędkością 48 km na godzinę. Sprawdzony w bojach w Kuwejcie i Iraku.

Amerykanie nie chcieli przekazać tego sprzętu Ukrainie. Ale skoro kanclerz Scholz uzależniał dostawę leopardów 2 od przekazania Abramsów, prezydent Biden wbrew zaleceniom Pentagonu obiecał dostarczyć 31 nowoczesnych czołgów. Nie wiadomo, jak będą się sprawdzać. Pentagon przestrzega, że to zaawansowana broń, która wymaga specjalnej logistyki i konserwacji.

B JAK BRADLEY

Jeśli po spodziewanej rosyjskiej ofensywie ruszy ukraiński kontratak, to wiozące pod pancernem piechotę wozy bojowe M2 Bradley będą przebijać się przez okopy i umocnienia w Donbasie i Zaporozżu. Wyladowany desant wspierają ogniem działka kalibru 30 mm i pociskami przeciwpancernymi TOW. Amerykanie w styczniu zobowiązali się przekazać Ukrainie 110 maszyn. 12 lutego statek wiozący pierwsze 60 bradleyów za-cumował w Bremerhaven.

C JAK CESAR

O skuteczności tej francuskiej haubicy samobieżnej przekonał się wicepremier Rosji Dmitrij Rogozin. Pod koniec roku bawił w Doniecku, gdzie w jednej z restauracji zorganizował przyjęcie urodzinowe. Ukraińcy dowiedzieli się o tym, a jeden z 18 dostarczonych cesarów odpalił kilka pocisków. Rogozin stracił ochroniarza, a szrapnel utkwił mu w plecach. Francuska haubica montowana jest na podwoziu ciężarówki. W ciągu dwóch minut jest w stanie odpalić sześć pocisków i zniknąć.

D JAK DRONY

W żadnym z konfliktów drony nie odegrały takiej roli. Konkretnie małe czterowirnikowe drony z kamerami, które służą żołnierzom do rozpoznania terenu i wyszukują cele dla artylerii. (Niektóre Ukraińcy przerobili do przenoszenia małych granatów, którymi nękana jest rosyjska piechota). Inne – słynne tureckie bayraktary – broniły podejścia pod Kijów, bombardując rosyjskie kolumny.

Rosjanie nie byli w stanie wyprodukować odpowiedniej ilości własnego sprzętu, kupili więc drony w Iranie, w tym prymitywne latające bomby Shahed-136. Wykorzystywali je do terroryzowania ukraińskich miast.

Natomiast Ukraińcy na latające bomby przerobili stare drony rozpoznawcze typu Tu-141. Użyli ich do ataków na bazy lotnicze na Krymie i lotniska bombowców strategicznych w głębi Rosji. Specjalne drony morskie – zdalnie sterowane szybkie motorówki – w październiku zaatakowały rosyjskie okręty w Sewastopolu.

E JAK EXCALIBUR

Zwykły pocisk artyleryjski z lufy wyrzuca eksplozja tzw. ładunku miotającego. Wystrzelony z klasycznej NATO-wskiej haubicy jest w stanie pokonać po krzywej balistycznej ponad 20 km. Ale jeśli do pocisku dołączy się silnik raketowy i stabilizatory oraz moduł nawigacji satelitarnej, uzyskuje się precyzyjną broń o ponaddwukrotnym zasięgu. Amerykanie i Kanadyjczycy stosowali Excalibury w Afganistanie, by precyzyjnie niszczyć stanowiska talibów. W Ukrainie pociski niszczą czołgi, punkty dowodzenia, magazyny amunicji. Pojawiły się doniesienia, że Ukraińcy odpalają je nie tylko z amerykańskich haubic M777, ale też z przysyłanych z Polski samobieżnych haubic Krab.

F JAK F-16

Biden mówi „no way”. Ale w języku wojennej dyplomacji nie oznacza to, że przekazanie amerykańskich myśliwców Ukrainie nie dojdzie do skutku. Odmowa Bidena obowiązuje jedynie w najbliższej przyszłości. A kraje NATO nieoficjalnie zgłaszają, że są w stanie przekazać Ukrainie swoje F-16, gdy Amerykanie w końcu pozwolą. Ukraińcy już wytypowali pilotów do przeszkolenia.

Ukraińcy – co zaskakuje ekspertów – zachowali swoje lotnictwo, przebazowując samoloty w pierwszych godzinach wojny na lotniska zapasowe. W efekcie Rosjanie nie mają przewagi w powietrzu, nie są też w stanie efektywnie wspierać samolotami sił lądowych. Ale nowoczesny, naszpikowany elektroniką F-16 znacznie przewyższa osiągi ukraińskich migów-29 i Su-27, a także możliwości rosyjskich samolotów.

G JAK GLSDB

To bomba, tyle że ma silnik raketowy i skrzydła. No i nie zrzuca się jej z samolotu, tylko odpala z wyrzutni na ziemi, jak pocisk ziemia-ziemia.

Boeing zaprojektował tę broń z myślą o biedniejszych krajach, które nie są w stanie utrzymać lotnictwa taktycznego. Wyrzutnie z pociskami GLSDB to odpowiedniki myśliwców szturmowych z podwieszonymi bombami. Ukraina otrzyma tę broń niejako na otarcie łez. Amerykanie nie chcą przekazać odpalanych z wyrzutni HIMARS pocisków ATACMS, które mają 300 km za-

sięgu, bo można by nimi uderzyć w każde miejsce na Krymie, a spod Charkowa ostrzeliwać Woroneż. GLSDB mają 150 km zasięgu. To dwa razy więcej niż pociski do tej pory odpalane z himarsów. Nowe rakietę pozwolą Ukraińcom niszczyć cele jeszcze głębiej na rosyjskim zapleczu.

H JAK HIMARS

Nigdy tak wielu nie zawdzięczało tyle tak niewielu. Amerykanie przesłali Ukrainie jedynie 16 wyrzutni M142 HIMARS. Ta garstka pojazdów odpalających w salwie sześć sterowanych za pomocą GPS pocisków o zasięgu 70 km zatrzymała ofensywę w Donbasie, gdy po upadku Siewierodoniecka i Łysyczańska wydawało się, że tego walca nie da się zatrzymać. Za pomocą himarsów Ukraińcy sparaliżowali rosyjską logistykę, niszczyli punkty dowodzenia i bazy. Pomagał im upór Rosjan, którzy – wiedząc o możliwościach wyrzutni – gromadzili amunicję i sprzęt w ich zasięgu. W sylwestra w przerobionej na bazę szkole w Makiejewce pod Donieckiem rosyjscy żołnierze hucznie obchodzili sylwestra. Wrzucali do sieci zdjęcia, dzwoni-li do rodzin. Ukraiński wywiad szybko ich namierzył, poleciała salwa z himarsa. Pod gruzami zginęło 400 Rosjan. Kilkuset odniosło rany.

I JAK IRIS-T

19 października dostarczony przez Niemcy pocisk IRIS-T zestrzelił rosyjską raketę Ch-

101. Pocisk leciał na Kijów, wiózł w głowicy 400 kg materiałów wybuchowych. Odpalona z naziemnej wyrzutni rakietą IRIS-T mimo trzykrotnej prędkości dźwięku jest w stanie manewrować i dotrzeć w pobliże celu, który zasypuje odłamkami. Miesiąc później mieszkańcy Kijowa widzieli, jak IRIS-T strącają rosyjskie pociski manewrujące.

Pocisk powstał już po zjednoczeniu Niemiec, gdy eksperci Luftwaffe przetestowali radzieckie rakietę krótkiego zasięgu, które miało lotnictwo NRD. Zaskoczeni, że sprzęt made in USSR jest lepszy od rakiet NATO, wyciągnęli odpowiednie wnioski.

Zestaw IRIS-T Niemcy wysłali do Ukrainy w ramach odpowiedzi na zmasowane bombardowania infrastruktury cywilnej. Rakiety i irańskie drony spadały głównie na elektrownie i elektrociepłownie, stacje przesyłowe i sieć energetyczną. Putin chciał pograć Ukrainę w ciemnościach i zimnie. Oprócz Niemców swoje systemy przysłali Francuzi i Brytyjczycy. Amerykanie przetrzymali system NASAMS (taki broni przed atakiem z powietrza Białego Domu), zgodzili się też razem z Niemcami przekazać Ukraińcom po baterii słynnych pocisków typu Patriot.

J JAK JAVELIN

Gdy Rosja otwarcie przygotowywała się do inwazji, do Ukrainy na pokładach wojskowych transportowców leciały palety z czarnymi cylindrami. W ich wnętrzach kryły się wyrzutnie pocisków przeciwpancernych FGM-148 Javelin. Zachód nie wierzył, że Ukraina przetrzyma uderzenie. Spodziewa-

Już nie tylko B jak bayraktar i H jak himars.
Ukraiński arsenał to cały alfabet

Bartosz T. Wieliński

CZYMDAĆ ŁUPNIA ROSJANOM



no się szybkiego upadku Kijowa, okupacji znacznej części kraju. Ukraina miała być jak Afganistan podczas sowieckiej interwencji, partyzanci wspierani przez NATO mieli wykrwawiać napastników. Poręczne pociski przeciwpancerne byłyby w ich rękę śmiercionośną bronią.

Plany NATO musiało szybko zweryfikować, ale javeliny odegrały rolę, niszcząc rosyjskie czołgi i wozy opancerzone. Pociski o zasięgu ponad 4 km uderzały od góry, więc Rosjanie spawali z prętów baldachimy, na których miały rozbijać się rakie-ty. Bez większych efektów. Po dwóch tygo-dniach wojny Amerykanie podali, że Ukra-ińcy odpalili 300 pocisków. Zniszczyli nimi 280 czołgów. Ukraińcy, by podtrzymać mo-rale w pierwszych tygodniach, stworzyli po-stać św. Javelina. Rysunek świętego trzyma-jącego amerykańską wyrzutnię stał się jed-nym z symboli tej wojny.

K JAK KRAB

Ukraińcy żartują, że kraby to bardzo szyb-ko poruszające się, drapieżne zwierząt-ka. Podjeżdżają na pozycję, oddają se-rie strzałów i błyskawicznie zwiewają, za-nim na ich pozycję spadną rosyjskie poci-ski. Do tego są nie do zajechania. Niemiec-kie haubice PzH 2000, najnowocześniejsza broń w ukraińskim arsenale, wymagają de-likatności i umiaru. Nie wytrzymują tem-pa, w jakim strzelają ukraińscy artylerzyści, dlatego łatwo się psują. A z krabów moż-na walić do Rosjan wszystkim, co się ma pod ręką. Polska przekazała Ukrainie po-nad 50 haubic. Kilka padło ofiarą rosyjskich

dronów. Maszyny, które da się naprawić, są remontowane w Polsce.

L JAK LEOPARD 2

Obiekt pożądania ukraińskich wojskowych, niemiecki czołg napędzany silnikiem o mo-cy 1,5 tys. koni, z armatą kalibru 120 mm, który zaprojektowano, by między Łabą a Re-nem stawiać czoła sowieckim kolumnom pancernym. Trzeba było wielomiesięcznej presji na Berlin, by Niemcy w styczniu zgo-dziły się przekazać ten sprzęt Ukraińcom i pozwoliły na to innym państwow, które mają, tak jak Polska, leopardy na stanie.

Ukraina ma otrzymać ok. 60 czołgów ty-pu Leopard 2. Na poligonach w Świętoszo-wie i w Münster ukraińskie załogi zaczęły już szkolenie. Niemcy obiecują pierwsze do-stawy sprzętu już w marcu. W międzycz-a-sie dostarczą ponad 170 starszych leopar-dów 1.

M JAK M777

Ultralekka haubica używana przez amery-kańskie siły powietrzno-desantowe i pie-chotę morską, pierwsza ciężka broń, jaką NATO przekazało Ukrainie. Haubice prze-rzucano do Rzeszowa na pokładzie trans-portowych C-17 (w ładowni mieściło się aż osiem haubic), a stamtąd na lawetach wie-ziono je na front. W kwietniu Rosjanie, nie mogąc zdobyć Kijowa, wycofali się i rzuci-li siły na Donbas. Pod względem artylerii mieli przewagę. Ukraińcy ją niwelowali, bo M777 przewyższała zasięgiem i celnością

FOT. LIBKOS/AP

rosyjskie haubice. Podczas walk Ukraińcy stracili 39 amerykańskich dział.

N JAK NLAW

Szwedzko-brytyjski kuzyn javelina. Lżej-szy, tańszy, o mniejszym zasięgu (do tysią-ca metrów) i ze słabszą głowicą (1,8 kg ma-teriału wybuchowego). Ale wcale nie gor-szy. Ukraińcy uważają, że javeliny sprawd-zają się na otwartym terenie. Ale podczas walk w mieście, gdzie wróg jest na wycią-gnięcie ręki, bardziej przydaje się NLAW. Z mniejszą i lżejszą wyrzutnią łatwiej się poruszać, szybciej się namierza cele i strze-la. Z NLAW-a można strzelać w każdej po-zycji: wysuwając rurę z pociskiem z okna w kierunku jadącego dwa piętra niżej czoł-gu czy z okopu, celując w górę.

O JAK OERLIKON

To hasło dotyczy podwójnego działka ka-libru 35 mm produkowanego w Szwajca-rii, w które wyposażone są gepardy, nie-mieckie samobieżne systemy przeciwlot-nicze. Gepardy zaopatrzone są w dwa ra-dary. Pierwszy wykrywa nadlatujące ce-le, drugi naprowadza sprzężone dział-ka. Ukraina dostała 30 takich pojazdów i bardzo je sobie chwali. Wystarczy kil-ka strzałów, by zamienić w kulę ognia nadlatujący rosyjski pocisk manewru-jący czy drona. Problem jest z amuni-cją. Niemcy mogli przekazać 11 tys. poci-sków, połowę swojego zapasu. Powód? Przekazanie kolejnych 12,4 tys. blokowała Szwajcaria. Tamtejsze władze uznały, że jako neutralne państwo nie mogą zbro-ić kraju, w którym trwa wojna. Na Berno kraje NATO wywierają silną presję, z po-wodu odmowy wsparcia Ukrainy szwaj-carski przemysł zbrojeniowy traci klien-tów. Być może wkrótce Berno zmięknie.

P JAK PIORUN

5 marca 2022 r. Na filmie szturmowy Mi-24 nisko leci nad ukraińskimi polami. Zza kadru pojawia się warkocz dymu. Ukra-iński żołnierz odpalił z ramienia przysłany z polski pocisk przeciwlotniczy Piorun. Kil-ka sekund później rosyjski śmigłowiec za-mienia się w płonącą stertę żelastwa. Wyda-rzeń z 6 marca 2022 r., niestety, nie sfilmo-wano. Po zmierzchu ukraiński żołnierz od-palił pioruna w kierunku rosyjskiego sztur-mowego Su-34. Samolot spadł, katapulto-wał się tylko jeden członek załogi.

Najbardziej znaną rakietą przeciwlotni-czą odpalaną z ramienia jest amerykański stinger, też na dużą skalę wykorzystywany w Ukrainie. Pioruny mają nad amerykański-mi pociskami przewagę. Można nimi razić cele lecące nawet na wysokości 10 m (stin-ger na wysokości 180 m) i ma 6,5 km zasięgu (stinger 4,8 km). Jest też tańszy. Sukcesy pio-runów spowodowały, że produkowane w za-kładach Mesko w Skarżysku-Kamiennej po-ciski zamówiła amerykańska armia.

R JAK RAKIETY ANTYRADAROWE HARM

Zaczęło się od statecznika z amerykańskimi oznaczeniami. Rosjanie znaleźli ten kawa-łek metalu za linią frontu w pobliżu znisz-czonej baterii rakiet przeciwlotniczych. Ele-ment szybko zidentyfikowano, to szczątki amerykańskiego pocisku przeciwradarowe-go HARM. Fragment był dla Rosjan dowo-dem, że Ukraińców wspierają samoloty NATO. Innego wytłumaczenia nie było, amerykańskiej rakiety nie można podpiąć pod samolot wyprodukowany w ZSRR.

Okazuje się, że można. Amerykańscy i ukraińscy inżynierowie stworzyli prze-jściówki, które pozwalają podpiąć harmy pod migi-29 i Su-27. Dzięki temu ukraińskie lotnictwo zaczęło niszczyć rosyjską obro-nę przeciwlotniczą. Pociski mają 48 km za-

sięgu, namierzają się na radary obrony prze-ciwlotniczej, które zasypują je odłamkami.

S JAK ŚMIGŁOWCE

Nie licząc trzech brytyjskich W-61 Sea King, Ukraińcy nie dostali żadnego zachodnie-go śmigłowca. Walczą, używając postso-wieckiego sprzętu, który uzupełniają pa-iństwa NATO. Amerykanie jeszcze wiosną przekazali Ukrainie kilkanaście transporto-wych Mi-17, które kupili, by wzmocnić ar-mię Afganistanu, ale władzę przejęli talibo-wie. Czesi w lipcu wysłali swoje szturmowe Mi-35. Ukraińcy ze śmigłowców robią wła-ściwy użytek. Do walki rzucono nawet trans-portowe Mi-17. Uzbrojone w wyrzutnie poci-sków niekierowanych podlatują bardzo ni-sko w pobliże rosyjskich pozycji i bezlitośnie je ostrzeliwują.

T JAK T-64

Czołgi zaprojektowane na przełomie lat 50. i 60. były główną siłą ukraińskich wojsk pan-cernych. W stare kadłuby Ukraińcy wmon-towali elektronikę, m.in. nowoczesny sys-tem kierowania ogniem, obložyli pancerzem reaktywnym, wymienili armatę kalibru 125 mm. W walkach do tej pory zidentyfiko-wano około 300 utraconych czołgów tego ty-pu. Ich miejsce zajęły dostarczane przez Pol-skę, Czechy czy Słowenię czołgi typu T-72.

U JAK U-BOOT

To pozycja na ukraińskiej liście życzeń, którą jeszcze w kwietniu 2022 r. Andrij Melnyk, ambasador Ukrainy w Berli-nie, złożył niemieckiemu rządowi. Niem-cy słyną z budowy doskonałych okrętów podwodnych. Ukraińcy twierdzą, że gdy-by dostali choć jedną taką jednostkę, po-goniliby na Morzu Czarnym Rosjanom kota. To na razie mrzonka.

Nawet gdyby Niemcy przekazali Ukraiń-com gotowy okręt, szkolenie załogi trwałoby wiele miesięcy. A okrętu na Morze Czarne nie wpuściliby Turcy, powołując się na kon-wencję z Montreux, która pozwala im zamy-kać cieśniny czarnomorskie dla okrętów bio-rących udział w wojnie. Ale skoro ukraiński U-Boot nie mógłby atakować Rosjan na Mo-rzu Czarnym, mógłby uderzyć w rosyjskie okręty na Morzu Śródziemnym. Wśród nich jest krążownik „Wariag”, bliźniaczy okręt za-topionej w kwietniu „Moskwy”, flagowego okrętu Floty Czarnomorskiej.

W JAK WOZY OPANCERZONE

Płyną do Ukrainy szerokim strumieniem praktycznie z każdego zaprzyjaźnionego portu. W tym z Kanady i Australii. Są gą-sienicowe transportery piechoty typu M113, w tym wozy produkowane na licencji w Ho-landii znane pod nazwą YPR-76, są słynne kołowe HMMWV, francuskie VABm, brytyj-skie mastiffy i tureckie kirpi. Ukraińcy wy-korzystują je do transportu żołnierzy i za-opatrzenia oraz ewakuacji rannych. Na nie-kórych pojazdach instalują improwizowa-ne wyrzutnie pocisków ziemia-ziemia.

Z JAK ZDOBYCZNE

Przez Rzeszów i rumuńską Konstancę do Ukrainy płynie rzeka zachodniego sprzę-tu, amunicji, zaopatrzenia. Ale ważnym do-stawcą broni są napastnicy. W ukraińskim blo-cie w pierwszej fazie wojny Rosjanie tra-cili czołgi i zaawansowane systemy prze-ciwlotnicze. Podczas ofensywy na Char-kowszczyźnie, uciekając przed nacierający-mi Ukraińcami, zostawiali czołgi i transpor-tery opancerzone. Do akcji wchodziły wów-czas ukraińskie traktory, które odholowy-wały zdobywczy sprzęt do naprawy. Jesienią szacowano, że Ukraina zdobyła aż 1,4 tys. czołgów. ●



• **Świeżo upieczony kongresmen Santos zmierza do swojego biura w Kapitolu**

FOT. FRANCIS CHUNG/
POLITICO/AP



UTALENTOWANY PAN SANTOS

Zalóż okulary, sweter do marynarki, podaj się za finansistę i potomka Ocalonych, a wygrasz w Nowym Jorku. Nawet jeśli nie skończyłeś studiów i żyłeś z drobnych kradzieży

Maciej Czarnecki, Nowy Jork

historii USA – jak każdego innego kraju – roi się od polityków, którzy kłamali jak najęci. Nixon, którego zmiotła ze stanowiska afera Watergate. Clinton, który wypierał się igraszek z Moniką Lewinsky. James Traficant z Ohio na początku tego stulecia został wydany z Izby Reprezentantów za fałszywe zeznania podatkowe. Trump tak uparcie kłamał na temat rzekomych oszustw wyborczych, że podburzył tłum do ataku na Kapitol.

Jednak takiego przypadku jak Santos chyba jeszcze nie było. 34-letni republikanin okazał się właściwie zmyśloną postacią. Mirażem, arcyhochsztaplerem, który po wzięciu na ruszt przez największe media został tak zgrillowany, że w zasadzie nic z niego nie zostało. Zmyślił wszystko: wykształcenie, historię zawodową, rodziną, pochodzenie, majątek, źródła finansowania kampanii.

„New York Times” ustalił np., że Santos wcale nie ukończył publicznego college’u w Nowym Jorku. W czasie, gdy miał się uczyć, mieszkał z matką na przedmieściach Rio de Janeiro, gdzie podwędził książeczkę czekową mężczyźnie, którym się opiekowała, by kupić sobie modne ciuchy i obuwie. Nigdy też nie pracował dla Goldman Sachs czy Citigroup.

Jego matka przez lata rzeczywiście mieszkała w Stanach, lecz nie była finansistką z Wall Street, a nianią i pomocą domową. Nie pracowała w World Trade Center i nie zginęła w zamachu z 11 września 2001 r. Dziadkowie Santosy nie uciekli przed Holocaustem z terenów obecnej Ukrainy, tylko urodzili się w Brazylii.

Santos kreował się na odnoszącego sukcesy milionera z Wall Street, lecz w rzeczywistości w zeszłej dekadzie trzy razy był eksmitowany z mieszkań w Queens. Byli współlokatorzy oskarżają go o kradzież garderoby, w tym szalika Burberry za 520 dol., w którym wystąpił na wiecu „Stop the Steal” z 5 stycznia 2021 r., dzień przed atakiem tłumy trumpistów na Kapitol. Bez-

domny weteran z New Jersey twierdzi, że Santos zebrał wśród darczyńców 3 tys. dol. na leczenie jego śmiertelnie chorego psa, a następnie je sobie przywłaszczył, zamiast przekazać na operację.

Między wyborem Santosy (listopad) a zaprzysiężeniem (styczeń) kolejne rewelacje schodziły taką lawiną, że pewna dziennikarka zażartowała, że szkoda, że nie jest drag queen, może wtedy Republikanie zareagowałyby oburzeniem. Wkrótce pojawiły się informacje, że świeżo upieczony kongresmen, zdeklarowany gej, rzeczywiście występował w młodości w Brazylii w konkursach dla drag queen pod pseudonimem Kitara Ravache.

Temu Santos akurat zaprzeczył. Do „upiększenia CV”, jak sam to określił – niechętnie się przyznał.

– Robimy w życiu głupie rzeczy – wyznał w „New York Post”. Ale zrzec się mandatu nie zamierza. Twierdzi, że musi wywiązać się z zadań, które postawili przed nim wyborcy.

Bodaj najpoważniejsze zarzuty dotyczą nieprawidłowości przy finansowaniu kampanii wyborczej, m.in. podaniu zmyślonych danych darczyńców. Za to już grozi odpowiedzialność karna.

Onieznany wcześniej 34-letnim polityku mówi się najczęściej ze wszystkich nowych twarzy w Kapitolu. Na zaprzysiężeniu dosłownie uciekał przed reporterami po korytarzach – aż, co za symboliczna scena, zabrnął w ślepy zaułek.

Ludzie pytają: „Jak to możliwe, że nikt go wcześniej nie prześwietlił?”. Czy Republikanie naprawdę nie mają lepszych kandydatów? Co się dzieje z Ameryką? No i – jak to możliwe, że taki człowiek zdobył mandat na przedmieściach Nowego Jorku?

Jest w USA wiele miejsc, w których Republikanie cieszą się takim poparciem, że ludzie wybraliby z ich listy choćby konia, byle mandat nie przypadł przeciwnikom. Jednak trzeci nowojorski okręg wyborczy obejmujący część Queens i Long Island był bezpiecznym terytorium Demokratów. W 2020 r. Biden pokonał tu Trumpa różnicą 10 pkt proc. To zamożne, nadmorskie okolice, w których wymuskane pola golfowe sąsiadują z historycznymi willami. Co nawywił tu Santos?

Aby się tego dowiedzieć, jadę koleją podmiejską z Manhattanu do Mineoli, niewielkiej miejscowości w jego okręgu, na spotkanie z Grantem Lallym, wydawcą „North Shore Leader”. Ta mała, lokal-

na gazeta jako jedyna pisała o kłamstwach Santosy jeszcze przed wyborami. Jednak żaden z wielkich dzienników nie podchwycił tematu.

– Santos obserwuje ludzi i uczy się prowadzić ich w pole. Przez lata pozyskiwał w ten sposób pieniądze – mówi Lally, odchylając się na krześle.

Rozmawiamy w jego kancelarii, w której tymczasowo zainstalowało się kilku zatrudnionych na pół etatu dziennikarzy – bo Lally jest przede wszystkim prawnikiem; w „North Shore...” każdy ma też inną pracę. Dziennik kupili pod koniec lat 90. jego rodzice.

– A teraz wykiwał nowojorczyków?

– Przedzierzgnął się w to, co jego zdaniem ludzie chcieli zobaczyć. Nawet te okulary! Nie musi ich nosić, ale chce wydawać się bardziej intelektualny. Jego pochodzenie to fantazja, w którą ludzie chcieli uwierzyć.

Felietonistka „New York Timesa” przekonywała niedawno w tekście „Cloths Make the Con Man” („Szaty zdołają oszusta”), że część sukcesu Santosy zawdzięczał dopracowanemu ubiorowi: białym koszulom z kołnierzykiem, bładoniebieskim lub szarym sweterkom z okrągłym dekoltem,

dobrze skrojonym granatowym marynar-
kom. Pomagały mu dopasować się do ro-
li – nawet jeśli środowiska, do których pre-
tendował, w międzyczasie poluźniły rygo-
ry szyku i stylu, i wyglądał trochę poważ-
nie, a trochę śmiesznie, jak latynoska wer-
sja Michaela J. Foxa w roli nastoletniego re-
publikanina w słynnym w latach 80. seria-
lu „Family Ties”.

Lally przestrzega jednak, by nie
przypisywać za dużo „zasług” same-
mu Santosowi. Opowiada, że pro-
wadził on „potiomkinowską” kampanię:
na ulicach pojawiły się jego banery, ale
– wbrew dużym sumom deklarowanym
na papierze – długo niemal nie wydawał
pieniędzy na reklamy w telewizji i zamiast
harować w terenie, wylegiwał się na plaży
na Florydzie.

Za to jak już się zjawiał, to z hukiem.
Pewnego razu kazał lokalnemu przedsię-
biorcy budowlanemu zawieźć się kolej-
no do trzech willi w okolicy. Przekonywał,
że należą do niego i że chce je wyremon-
tować, wypytując o koszty i projekty prze-
budowy. Do żadnej nie weszli, bo mieszka-
li w nich najemcy. Gdy przedsiębiorca wy-
słał Santosowi zdjęcia wyremontowanych
przez niego wcześniej posiadłości, ten za
jakiś czas pochwalił się nimi innej osobie:
„Patrz, jak zrobili mi kuchnię...”.

Zdaniem Lally’ego kluczowym wydarze-
niem dla zwycięstwa Santosa była zmia-
na granic okręgu wyborczego późną wio-
sną ubiegłego roku. Wcześniej zwycięstwo
republikanina było tu niemal niemożliwe
– w wyborach prezydenckich ostatni raz
dokonał tego w 2004 r. George W. Bush. To
dlatego nikt się nie garnął, by stąd kandy-
dować.

– Bądź co bądź, trzeba było zebrać set-
ki tysięcy dolarów, jeśli nie miliony, po-
święcić rok życia, poddać się ocenom opi-
nii publicznej i dziennikarzy, którzy cza-
sem mogli wyciągać nieprzyjemne rzeczy,
jakiś paskudny rozwód albo kłopoty praw-
ne – a potem i tak się przegrywało – mó-
wi Lally.

Santosowi się chciało. Kandydował już
w 2020 r. Wtedy przegrał.

Po zmianie granic okręg ze zdecydowa-
nie demokratycznego stał się lekko republi-
kański. Jednak do dziennikarzy krajowych
mediów jeszcze to nie docierało. Zdaniem
Lally’ego nie zainteresowali się Santosem,
bo patrzyli na wyniki z przeszłości i wycho-
dziło im, że i tak przegra.

Pomógł mu też niespodziewanie zacięty
wyścig o fotel gubernatora Nowego Jorku.
Popularny republikanin Lee Zeldin prze-
grał, lecz napędził stracha faworytce z Par-
tii Demokratycznej Kathy Hochul. Przy
okazji pociągnął w górę kandydatów w ca-
łym stanie.

Republikanie odebrali tu Demokratom
aż cztery fotele, co walnie przyczyniło się
do odbicia całej Izby Reprezentantów.

– Gospodarka w stanie Nowy Jork nie
radzi sobie najlepiej, zamykają się biznesy,
miasto ma straszne problemy z postęp-
czością. W ostatniej dekadzie z Nowego
Jorku wyprowadziły się dwa miliony osób
– tłumaczy Lally.

Wydawca zetknął się z Santosem
osobiście. Pierwszy raz trzy lata
temu, gdy znajoma spiknęła ich
na lunch. Santos szykował się do pierw-
szej kampanii.

– Wydał mi się dziwny. Przedstawił się
jako multimilioner ze świata finansów,
a zobaczyłem załatującego amatorszczy-
zną, chichoczącego i egocentrycznego mło-
dego człowieka, który do tego nie pasował.

Lally wie co nieco o świecie; a jak na
Amerykanina – ogromnie dużo. Kiedy
wspominam, że pochodzę z Torunia, od ra-
zu rzuca uwagę o granicy dawnego prus-
kiego zaboru. Santosa zapytał, czy ma bli-
skowschodnie korzenie, jak wielu przed-
stawicieli świata finansów w Brazylii, gdzie
przyszły kongresmen miał zacząć karierę.
Ten spojrział na niego jak na kosmitę. Kolej-
na rzecz, która nie pasowała do emploi.

Miesiąc później spotkali się na niewiel-
kiej imprezie w Nowym Jorku.

– Podbiegl i zaczął mówić o przewod-
niczącej Partii Republikańskiej w Queens,
którą nazywał „tą suką”. Pomyślałem, że to
całkowicie nie na miejscu, bo jeszcze nie
miał nominacji i potrzebował jej poparcia,
a poza tym ledwo mnie znał, co, jeśli była-
by moją kuzynką albo dobrą przyjaciółką?

Skończyło się na tym, że „North Shore...”
– mimo że Lally jest republikaninem i sam
był kandydatem w wyborach w 1994,
1996 i 2014 r. – poparł rywala Santosa, de-
mokratycznego kongresmena Toma Su-
ozziego.

Santos wściekł się i przestał rozmawiać
z gazetą.

Po przegranej – podobnie jak Trump,
o którego poparcie zabiegał – przekonywał,
że okradziono go ze zwycięstwa. Prowadził
tylko na początku, gdy nie zliczono jesz-
cze wielu głosów na Suozziego. Mimo to
pojechał do Waszyngtonu, by wziąć udział
w zajęciach orientacyjnych dla nowo wy-
branych członków Kongresu.

W 2022 r. Lally i jego dziennikarze
dalej trzymali Santosa na dystans,
bo dochodziło do nich coraz wię-
cej opowieści o jego kłamstwach.

Raz twierdził, że jest zdecydowanym
przeciwnikiem aborcji, i domagał się kara-
nia lekarzy, którzy je wykonują. Innym ra-
zem, na uroczystej kolacji w Mineoli, za-
pytany, czy popiera aborcję, odparł, że tak.
Lally słyszał to na własne uszy.

Wielcy reporterzy polityczni, którzy wiedzieli, co się dzieje
za kulisami, mieli wiele źródeł – odeszli. Zmęczeni się, poumierali,
postawili na bardziej dochodowe zajęcia.

Dla tych, którzy ich zastąpili, jak coś nie da się wygooglować,
to nie istnieje

Santos zonglował poglądami w zależ-
ności od tego, z kim rozmawiał. Poruszał
się w trumpistowskim ekosystemie: by-
wał w Mar-a-Lago i na polach golfowych
Trumpa w New Jersey, chwalił się fanom
Trumpa, że utworzył fundusz dla oskar-
żonych o udział w ataku na Kapitol. Ale
w mediach przekonywał, że jest mainstre-
amowym republikaninem, a nie trumpi-
stą.

„North Shore...” we wszystkich innych
wyścigach w 2022 r. poparł Republikanów,
m.in. Zeldina. Ale w tym znów zachęcał do
oddania głosu na demokratę – tym razem
Robert Zimmermana.

We wrześniu, dwa miesiące przed wy-
borami, zaczął publikować demaskatorskie
teksty o Santosie.

– Wiedzieliśmy dużo, ale nie wszyst-
ko. Wiedzieliśmy o jego sztuczności, oszu-
stwach, bajkach, które opowiadał. Ale nie
o rozmiarach zmyślonej biografii, zarzu-
tach karnych w Brazylii – mówi Lally.

Jego zdaniem artykuły ostrzegły
trochę ludzi od zagłosowania na San-
tosa. Świadczy o tym to, że Zeldin dostał
w okręgu więcej głosów. Już latem niektó-
rzy w Long Island zaczęli nazywać Santosa
„Scamtosem” (scam to po ang. oszustwo).
Jednak i tak mu się upiekło.

Gdy sztydło na dobre wyszło z wor-
ka, wyborcy się wściekli. Według sonda-
żu Newsday/Siena College 78 proc. (w tym
71 proc. republikanów) chce, by oddał man-
dat.

W kawiarni w Port Washington,
innym miasteczku w okręgu,
Teodora Choolfaian przez chwilę
ukrywa twarz w dłoniach. Atrakcyjna bru-
netka koło czterdziestki, która kilkanaście
lat temu przeniosła się do USA z Bułgarii
(nazwisko ma po ormiańsko-amerykań-
skim mężu), była zaangażowana w kam-
panię Santosa: chodziła od drzwi do drzwi,

przekonując do głosowania, wydzwaniała
do wyborców, organizowała wiece.

– Kiedy zrozumiałam, kim jest, jakby za-
padła się pode mną ziemia. Co za wstyd!
Czuję, że nie można już nikomu ufać, nic
nie jest takie, jakie się wydaje – wyrzuca
z siebie.

Poznali się na początku 2021 r., kiedy
Santos przyszedł na wiec organizowany
przez Choolfaian. Jako matka trojga dzie-
ci i członkini grupy Moms for Liberty wal-
czyła o otwarcie szkół i zniesienie restryk-
cji antycovidowych.

– Zjawił się z megafonem, skandując:
„Moje dziecko – mój wybór”. To nasza plat-
forma programowa. Tak zyskał moje za-
ufanie.

Zdaniem Choolfaian na Santosa zagło-
sowało wielu niezadowolonych rodziców.

– Wielu publicznie popiera radykalną
agendę lewicy w szkołach, ale jak przycho-
dzi do głosowania, to już nie. Chcą ucho-
dzić na progresywnych, ale widzą, jak po-
garsza się sytuacja.

Santos sprawiał wrażenie bardzo przy-
jacielskiego i otwartego. Choolfaian wspo-
mina, że rozmawiało się z nim lekko, ale
zazwyczaj o mało poważnych tematach,
np. wakacjach na Florydzie. Często żarto-
wał. Raz zaskoczył ją wypowiedzią o Puti-
nie.

– Kiedy powiedziałam, że jest bardzo
wyrachowany i okrutny, Santos odparł, że
to „zabawny, mały i sfrustrowany człowie-
czek”. Poczułam, że zupełnie nie rozumiał
tego, co powiedziałam.

Wielcy reporterzy polityczni, którzy wiedzieli, co się dzieje
za kulisami, mieli wiele źródeł – odeszli. Zmęczeni się, poumierali,
postawili na bardziej dochodowe zajęcia.

Dla tych, którzy ich zastąpili, jak coś nie da się wygooglować,
to nie istnieje

Mimo to, kiedy w grudniu „NYT” odpa-
lił swoją bombę o Santosie, Choolfaian go
bronila. Była przekonana, że liberalne me-
dia chcą go zdyskredytować. Oczy otworzy-
ły jej się dopiero, gdy Santos sam przyznał
się do tego i owego.

Choolfaian zaczęła organizować wiece
oburzonych wyborców. Twierdzi, że to ona
pierwsza użyła hasztagu #expelSantos (wy-
rzuć Santosa). Codziennie wydzwaniała do
biur spikera Izby Reprezentantów Kevina
McCarthy’ego.

Swego czasu była agentką nieruchomości
na Manhattanie, ale odciągnęło ją od te-
go wychowywanie dzieci. Kanalizuje ener-
gię inaczej: podczas naszej pogawędki
płynnie przechodzi od rozprawiania o wal-
ce z restrykcjami covidowymi do planów
popołudniowego spotkania z lokalnymi
władzami w sprawie przepelnionych ko-
szy na śmieci, by następnie załamywać rę-
ce nad losem ofiar trzęsienia ziemi w Tur-
cji, opowiadać o swojej roli asystentki tre-
nera żeńskiej drużyny koszykarskiej i znów
narzekać na Santosa.

– Wiesz co, 3 stycznia pojechałam do
Waszyngtonu. Stałam sześć godzin pod po-
kojem Santosa. Zaczepiałam ludzi i mówi-
łam, co myślę – pokazuje zdjęcia na tele-
fonie, jak stoi przy tabliczce z jego nazwi-
skiem z kciukiem opuszczonym na dół.
I w jeszcze innych, mniej cenzuralnych ge-
stach.

Pod koniec wywiadu dołącza Ves,
przyjaciółka Choolfaian, z którą mają
iść na spotkanie w sprawie koszy na
śmieci. Też mieszka w okolicy, głosowała
na Santosa.

– Cóż, nieszczęśliwie się ułożyło – przy-
znaje Ves. – Ale wiesz co, uważam, że
ten senator z Connecticut, który kłamał
o udziale w wojnie w Wietnamie, był gor-
szy. Gdyby Santos naprawdę się pokajał, to
należy mu wybaczyć. Ves pije do demokra-

ty Richarda Blumenthala, który faktycznie
zwodził wyborców w tej sprawie.

Poznały się z Choolfaian, gdy ta ostat-
nia samotnie stała na ulicy z banerem:
„Zdjąć dzieciom maski”. Po chwili stały już
we dwie.

Kobieta z nostalgią wspomina wiec
Trumpa w Long Island jeszcze sprzed jego
prezydentury. Znów chce na niego zagłos-
ować. Gdy pytam o Rona DeSantisa, guber-
natora Florydy, który wydaje się najwięk-
szym republikańskim rywalem byłego pre-
zydenta, kręci głową.

– Jakoś nie ma tej charyzmy. Nie porywa
tłumów. Na Trumpa niektórzy z nas czeka-
li po 12 godzin. Z DeSantisem by tak nie było.
Wielu ludzi twierdzi, że Trumpa okradzio-
no ze zwycięstwa – mówi ostrożnie. – Wi-
działeś ten film w internecie, na którym wi-
dać, jak dokładają karty do głosowania?
No i te maszyny do głosowania w Arizonie!
W Arizonie na bank powinien wygrać, tak
jak w Georgii.

– A dlaczego nie potwierdził tego za-
den sąd? Przecież były dziesiątki pozwów,
wszystkie oddalone – zauważam.

– Aż tak tego nie śledziłam. Zwróciłam
się ku Biblii. Ona daje mi ukojenie. Amery-
ka jest przeżarta korupcją aż do szczytów
władzy – odpowiada Ves.

Jeśli ma coś do zarzucenia Santosowi, to
właśnie w związku z biblijnymi zakazami.

– Powinien zmienić swój... hmm, styl ży-
cia. Przecież chce kiedyś pójść do nieba jak
my wszyscy, nie?

9 lutego grupa Demokratów złożyła
projekt rezolucji, by wyrzucić Santo-
sa z Izby Reprezentantów. Potrzeba
do tego aż dwóch trzecich głosów, czyli
wszystkich Demokratów i około 80 Repu-
blikanów.

Niektórzy partyjni koledzy przyznali pu-
blicznie, że zgłosują za. Gdy Santos zjawił
się w Kongresie, by wysłuchać corocznego
orędzia prezydenta, republikański senator
z Utah i były kandydat na prezydenta Mitt
Romney nazwał go „chorym szczeniakiem”
i wypalił, że nie ma tu dla niego miejsca.

Jednak McCarthy uzależnia zielone
światło na wydalenie Santosa od dochodze-
nia komisji ds. etyki. – Jeśli coś ustalą, po-
dejmiemy działania – powiedział CNN.

Sprawkom Santosa przygląda się
też prokuratura.

Zdaniem Lally’ego istnieje niebezpie-
czeństwo, że w pewnym momencie uciek-
nie on do Brazylii.

– Wynajął tam adwokata, by uporać się
z problemami prawnymi przed brazylij-
skim sądem. Może wykorzystywać tę spra-
wę jako wymówkę, twierdząc, że nie może
wrócić do USA, nim się nie zakończy. A po-
tem nie wróci nigdy.

Według niego historia Santosa mówi
wiele nie tylko o amerykańskiej polityce,
ale też o mediach, które nie zdołały w porę
ostrzec wyborców.

– Chodzi o cały świat mediów, finanso-
wanie, priorytety, narzędzia zbierania ma-
teriałów. A także kaliber ludzi, którzy zaj-
mują się dziennikarstwem, to, jak podcho-
dzą do zawodu. Wielcy reporterzy politycz-
ni, którzy wiedzieli, co się dzieje za kulis-
mi, mieli wiele źródeł – odeszli. Zmęczy-
li się, poumierali, postawili na bardziej za-
stąpili, jak coś nie da się wygooglować, to nie
istnieje – mówi Lally.

„North Shore...” zrobił swoje, ale pozo-
stali?

Dominik Stecula, politolog z Colorado
State University: – Media lokalne w Ame-
ryce upadają. Od 2004 r. 25 proc. znikło
z rynku. Jest dużo mniej dziennikarzy, któ-
rzy naprawdę patrzą politykom na ręce
i zadają trudne pytania. Jednocześnie nie
tak dawno temu ludzie bardziej interesow-
wali się tym, co na lokalnym szczeblu. Te-
raz wszystko kręci się wokół tego, co ro-
bi prezydent, wojen kulturowych, aborcji,
rzeczy, o których mówią telewizja kablowa
i ogólnokrajowe dzienniki. Historia Santo-
sa przebiła się dopiero wtedy, gdy ją podję-
ły. To smutne. ●

QUEER KATOLICKO-NARODOWY

Wątki życia Marii Rodziewicz z dzisiejszej perspektywy wydają się nie do pogodzenia

Z **EMILIĄ PADOŁ**, AUTORKĄ KSIĄŻKI „RODZIEWICZ-ÓWNA. GORAÇA DUSZA”, ROZMAWIA **MAGDALENA DUBROWSKA**

Zaskoczyła mnie pani tą książką. Myślałam, że dostanę opowieść o queerowej osobie, której owiane dotąd milczeniem życie z kobietami ujrzy wreszcie światło dzienne. A tymczasem, kiedy podczas lektury okazywało się, że owszem, Rodziewicz żyła w relacjach z kobietami i nosiła się po męsku, ale była przede wszystkim gorliwą katoliczką, nacjonalistką i jawną antysemitką, coraz szerzej otwierałam oczy ze zdumienia. Pani też tak miała?

– Oczywiście. To splątanie, które odczuje pewnie większość czytelników, mnie też dopadło. Miałam z nim problem zwłaszcza na początku. To przecież postać z dwóch zupełnie różnych porządków, które z naszej współczesnej perspektywy wydają się nie do połączenia. Do tej pory funkcjonowały poniekąd dwie odrębne opowieści o Rodziewiczównie: z jednej strony jako patriotce, katoliczce i społecznicy, znanej z narodowowyzwoleńczej działalności, z drugiej – opowieść o nieheteronormatywnej pisarce, której początek dały „Homobiografie” Krzysztofa Tomasika i ich rozdział pt. „Butch polskiej literatury”, gdzie naturalnie w centrum zostały postawione kwestie queerowe. Miałam wrażenie, że te dwa rysy Marii Rodziewicz się ze sobą stale rozmiągają. Stwierdziłam więc, że kluczem do tego, żeby tę postać pokazać możliwie pełnowymiarowo, jest połączenie obu opowieści: katolicko-narodowej z queerową. I jeszcze kilku innych, bo Rodziewicz to szalenie złożona postać, która zaskakuje wieloma kontrastami. Chciałam ją w nich pokazać, choć rzeczywiście czasami mózg może stanąć od tego w poprzek. Mnie też stawał.

„Lwów jest brudny i cuchnie żydami” – pisała Rodziewicz w liście. „Podporządkujemy się temu rządowi, chociaż w nim tyle Żydów i masonów” – mówiła Janowi Wiktorowi, który odwiedzał ją w Warszawie podczas okupacji. Była przeciwna prawu kobiet do rozwodów, a w kontekście emancypacji Afroamerykanów pisała: „Świat przechodzi kryzys dzikości i ciężko żyć z tą gromadą małp wokoło”.

– No właśnie. To były te trudne momenty, głównie zresztą z dwudziestolecia międzywojennego, bo Rodziewicz się w tym czasie najbardziej radykalizowała – pod wpływem wielu złożonych procesów, które opisuję w książce, ale także własnego starzenia się i gorzknienia. No, ale w jej rodzinnym majątku w Hruszowie na Polesiu pojawiają się np. harcerze narodowcy, faszystującyca młodzież.

M.in. dziadek Romana Gierzycha – Jędrzej. Organizowali sobie w lesie niedaleko dworku Rodziewicz skautowskie obozy. – Trudno było wtedy nie mieć dość Rodziewicz. Ale taka to postać, że za chwilę już objawia się ze swoją ogromną wrażliwością, detalem, który chwyta za serce, intuicyjnym rozumieniem złożoności świata, więc starałam się na nią nie zamykać, nawet w najgorszych momentach. Wydaje mi się, że w tym tkwi właśnie siła tej opowieści, że jej bohaterka jest tak skomplikowana i pełna sprzeczności.

Ciekawe tylko, czy gdybyśmy miały do czynienia z typową endeczką, która nie miała w życiorysie wątków LGBTQ, też byśmy patrzyły na nią z taką wyrozumiałością.

– Śluszna uwaga. Myślę jednak, że niejednoznaczność Rodziewicz wynikała nie tylko z jej queerowości, ale też z tego, że to w ogóle była bardzo nieszablona postać, która miała ogromnie dużo pozytywnych cech. I nawet ta opowieść o antysemityzmie nie jest taka prosta. Wanda Wasilewska w latach 30. XX wieku podróżowała po Polesiu, czego efektem był opublikowany w „Wiadomościach Literackich” obszerny artykuł pt. „Szukam antysemityzmu”. To obserwacje zebrane w czasie podróży wzdłuż rzeki Turii, Wasilewska zastanawiała się nad stosunkami Żydów z dworem, który reprezentuje „jedynie wyzysk i nic więcej”. Jednak Maria Rodziewicz występuje w tym tekście jako wyjątek. Przekazuje pieniądze na żydowskie społeczności, Żydzi mówią o niej z szacunkiem i sympatią. Znałe są też informacje o tym, że odbudowała cheder, żydowską szkołę w Antopolu. Trudno więc mówić o niej jako o zatwardziałej antysemitce. Jest to raczej opowieść o człowieku, który wyrósł z pewnego środowiska. Pisarka żyła w świecie, dla którego antysemityzm był po prostu natural-

ny. Bardzo trafnie pisze o tym Czesław Miłosz w swoim esej o Rodziewiczównie z 1991 r. w paryskiej „Kulturze”, że dla środowisk, które ona opisuje, słowo „antysemityzm” byłoby niezrozumiałe. Że taki był porządek świata, odraza do Żydów i ich „brudnych transakcji” była równoznaczna z odrazą do zła. Kontekst historyczny jest w mojej książce bardzo ważny, bez niego trudno jest zrozumieć wieloznaczność postaci, która potrafi bardzo zauroczyć, ale i bardzo wkurzyć. Chciałam w pełni to pokazać.

A skąd zainteresowanie Marią Rodziewicz?

– Ta postać od dawna mi siedziała w głowie, choć nie byłam czytelniczką Rodziewiczówny. W latach 90., mając 12 lat, czytałam „Między ustami a brzegiem pucharu”, i to

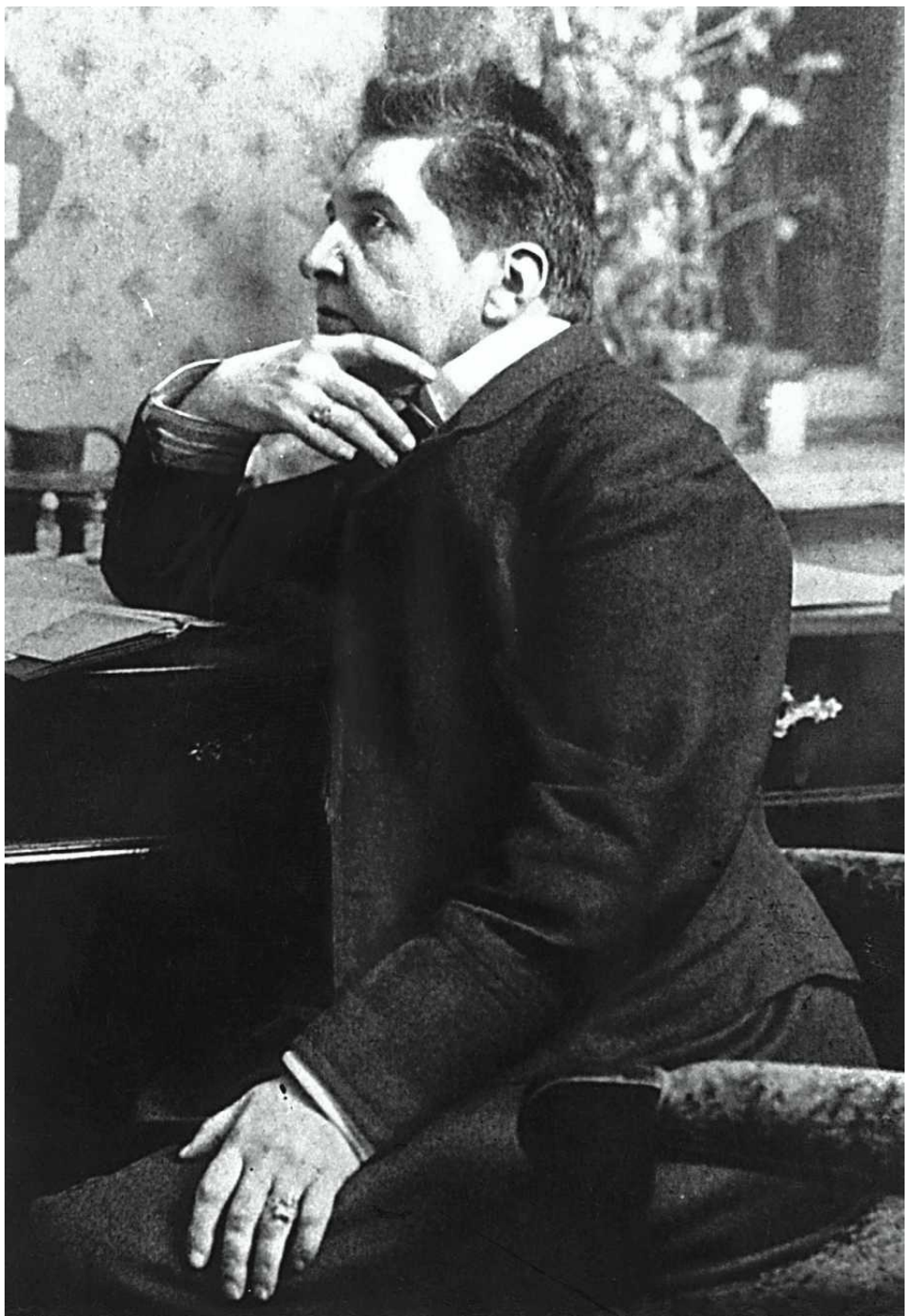
była jedyna jej powieść, którą znałam do czasu pracy nad biografią. Ale to, że z jednej strony mamy turbopopularną pisarkę, a z drugiej postać, której wizerunek radykalnie wykracza poza konwenanse płci, bardzo mnie intrygowało.

Nosiła się po męsku: krótkie włosy, krawaty, koszule, marynarki. Uwikłana była – w zasadzie do końca życia – w trójkąt miłosny z dwiema kobietami: Jadwigą Skirmuntt i Heleną Weychert. Ale nigdy nie mówiła o tym otwarcie. Nie zachowały się też chyba żadne dokumenty, które dostarczałyby tzw. dowodów na homoseksualność tych relacji. Po ukazaniu się „Homobiografii” Tomasika pojawiały się często wątpliwości, nie tylko na prawicy, że po co to drążyć,

wywlekać. Że żyją przecież krewni tych osób, po co mają przez to przechodzić. Że tak naprawdę nie wiemy na sto procent itp.

– Powiedzmy sobie szczerze: to jest homofobia, lęk podszyty niechęcią. Bo przecież jeżeli nie chcemy o tym mówić, jeśli myślimy, że to okryje kogoś infamią, to znaczy, że uważamy, że homoseksualność nie jest okej. Że to powód do wstydu. Rodziewiczówna też padła ofiarą tego, że przez lata bardzo chciano zadbać o „godną”, patriotyczną pamięć o niej, więc wątki związane z jej tożsamością płciową czy życiem osobistym były wyciszane. Inna sprawa, że ludzie nie mieli narzędzi, języka, żeby w ogóle o tym mówić.

Dlatego nie mam wątpliwości, że trzeba takie biografie opowia-



FOT. NAC

dać na nowo – po to, żeby widzieć postać w pełni, rozumieć jej człowieczeństwo w całości. Te kobiety na pewno były ważnymi partnerkami w życiu Rodziewicz, łączyły ją z nimi silne uczucia, lojalność, przeżyły razem ogromnie dużo, i to jest straszne, jeżeli nagle to wykreślamy i snujemy opowieść o jakichś przyjaciółkach, które nieomal przypadkiem ze sobą zamieszkały.

Rodziewicz sama prowadziła gospodarstwo w rodzinnym majątku ziemskim w Hruszowie – najpierw z Heleną Weychert, potem Jadwigą Skirmuntt u boku. W Warszawie pojawiała się tylko na trzy miesiące – zimą. Latem wybierała chatę, którą wybudowała w środku lasu. Mieszkała tam z Jadwigą oraz Marią Jastrzębską – kolejny dziwny trójkąt, który zresztą – pisze pani – stał się pierwowzorem bohaterów „Lata leśnych ludzi”: Rosomaka (Rodziewicz), Żurawia (Skirmuntt) i Pantery (Jastrzębska). – Niestety, nie zachowały się dzienniki Marii Rodziewicz ani listy do najbliższych kobiet, a to mogłoby nam więcej powiedzieć o charakterze tych relacji. Cieszę się, że dotarłam do świadka – profesora Jana Władckiego, prawnika i dyplomaty, osoby znanej i uznanej, którego pradziadowie mieszkali niedaleko Hruszowy, a w dwudziestoleciu międzywojennym Rodziewicz w swoim majątku wyprawiła wesele jego wujowi i ciotce. I on właśnie wypowiada w mojej książce to kluczowe i najważniejsze pod kątem związków Marii z kobietami zdanie. Jestem mu za nie ogromnie wdzięczna:

choć było przyczyną rozmaitych złośliwości i docinków”. – Na marginesie, ślady małżeńskiego postrzegania tej relacji znalazłam także w innych wspomnieniach. Życie Rodziewicz jest też opowieścią o homofobii. Mając tego świadomość, możemy inaczej spojrzeć na jej życiowe wybory i na miejsce w świecie, w którym zdecydowała się zostać. Maria Rodziewicz była z powodu swojej ewidentnej queerości wyśmiewana. W latach 30. XX wieku kpiono z niej w warszawskich kawiarniach, szopkach politycznych czy wśród oponentów światopoglądowych. Mówiono o niej: ni to kobieta, ni to mężczyzna, nie wiadomo co.

Irena Krzywicka w swoim eseju pt. „Piewczyni polskiego Far Westu” opublikowanego na pierwszej stronie „Wiadomości Literackich” w 1936 r. wyoutowała Marię Rodziewicz jeszcze za jej życia. W książce cytuje pani Krzywicką: „To było może dramatem Rodziewiczówny, że urodziła się za wcześnie. Nie mogąc wypowiedzieć się w pełni – zabrnęła w kicze, nie mogąc mówić całej swojej prawdy – zaczęła klepać komunały. Z jej talentem, gdyby była szczerą, mogłaby zająć zupełnie inne stanowisko w literaturze polskiej. Straciłaby co prawda swój nimb narodowego świątka (nie mają szczęścia ci narodowcy!), zyskałaby może trwalszy laur pisarki. Gide dotarł zbyt późno na nasze Kresy”. Rodziewicz jakoś na to zareagowała? – Publicznie nigdy się do tego nie odniosła. Natomiast widzimy, jak od tego momentu pisarka coraz bardziej zamyka się w sobie, za-

czyniską-Nyk, która diagnozuje Marię Rodziewicz pośmiertnie. Po co?

– Był taki etap w czasie pracy nad książką, kiedy z różnych opisów, relacji w prasie, wspomnień, ale i powieści Rodziewiczówny, atakowała mnie „męskość”: męski krok, męskie ruchy, fryzura, sposób ubierania się, męski styl pisanania, a nawet głos. Zaczęłam też zauważać, że ona sama na papierze nie podpisuje się „Rodziewiczówna”, tylko np. „Mar Rodziewicz” albo „MarRodz”. Zdecydowałam się zasięgnąć opinii doktor Kępczyńskiej-Nyk, endokrynolożki i seksuolożki, w której kręgu szczególnych zainteresowań jest m.in. terapia hormonalna osób transpłciowych.

Bardzo zależało mi na głosie ekspertki, bo orientacja seksualna i tożsamość płciowa to dla wielu osób wciąż bardzo niejasne kwestie, a konieczne jest ich rozróżnienie. Bo być może na bohaterkę trzeba spojrzeć jako na osobę z dysforią płciową, transpłciową lub niebinarną? Choć jeśli tak było, zapewne Maria nie знаła słów, aby określić swoje odczucia. Musiała jej wystarczyć rola płciowa.

Myśli pani, że pisarka sama zadbała, żeby nikt się nie dowiedział o jej prawdziwej naturze? Celowo nie zostawiła żadnych śladów? – To chyba raczej wina historycznych zawirowań. Prawdopodobnie archiwum Rodziewicz, które było we dworze w Hruszowie, spłonęło już jesienią 1939 r. Wszystko poszło w dymem. Być może był jeszcze dziennik, który pisarka prowadziła w czasie wojny oprócz swojego kalendarzyka z 1944 r., na który się w książce po-

PO PRAWDZIE

Po PiS nienawiść nie zniknie



Półtorej godziny i 2,3 miliarda na kampanię klepniętę.

Agnieszka Kublik

Luty 2023, ulica Białegostoku, dziennikarka TVP 3 przeprowadza sondę uliczną. Pyta przechodniów: „A chciałaby pani, żeby Tusk znowu objął władzę?”. Kobieta, na oko ma ponad 65 lat, chętnie odpowiada. Jest pewna swoich poglądów.

Jakich poglądów? Ano takich: „Niech Bóg broni, odwraca i ratuje. To jest szatan, Niemiec i ten cały wasz aparat. Wy, młode, to na pewno jesteście za Platformą. Ale ja ich wszystkich na szubienicę po kolei i nawet by mi lezka nie spadła”.

Trudno to w zasadzie nazwać poglądami, ot, taka codzienna dawka nienawiści. Nagranie na Twitterze ujawnił tygodnik „Nie”. Czy to prawdziwa wypowiedź? Prawdziwa. Potwierdziła to sama TVP 3, bo się oburzyła, że „redakcja Tygodnika NIE nielegalnie rozpowszechnia nagrania z tzw. surówki, do których nie ma praw autorskich”.

Pani tak chętna do „wieszania Platformy” musi być wierną i systematyczną widzką TVP. Obecne w jej występie kaliki – np. że Tusk to szatan i Niemiec – to wszak powtarzane po wielokroć przekazy. W samym tylko głównym wydaniu „Wiadomości” Tusk mówi po niemiecku kilkadziesiąt razy w roku!

To, że TVP nie puściła tego nagrania – Jarosław Olechowski, szef Telewizyjnej Agencji Informacyjnej oraz TVP 3 Białystok, akcentuje, że „ta wypowiedź nie została wymiotowana na antenie TVP, ponieważ nawołuje do przemocy” – nie zmienia podstawowych faktów. Ta kobieta została zaczadzona nienawiścią do Tuska i całej PO. Przez TVP. I nie przez przypadek, lecz w wyniku systematycznej pracy. Tyle razy o tym pisałam. Ale gdy to się dzieje, gdy zatrulo nie tylko tę Podlasiankę, ale i tysiące (miliony?) innych, nie da się przejść nad tym do porządku dziennego.

„Wiadomości” ogląda średnio niemal połowa Polaków, którzy mają co najmniej 65 lat. I zaledwie 1 proc. najmłodszych, czyli do 24. roku życia. Połowa widzów to mieszkańcy wsi, z wykształceniem podstawowym. Najchętniej „Wiadomości” oglądają Podlasiacy. Tu w wyborach parlamentarnych w 2019 r. PiS zgarnął 53 proc. (w kraju 44,5). A w prezydenckich w 2020 r. Duda zdobył 60,14 proc. (51 w całym kraju).

Co gorsza, nawet jak PiS przegra, ta nienawiść nie zniknie. Będzie naszą częścią, chcemy tego czy nie. „Nienawidzę ich, bo nauczylili mnie nienawidzić” – taki transparent domowej roboty trzymała nastolatka protestująca pod willą Kaczyńskiego przeciwko zmuszaniu kobiet do rodzenia.

To pułapka, w którą PiS nas wepchnął – bo jak tu mieć empatię do tej starszej pani, która by bez lezki patrzyła na Tuska wiszącego na szubienicy? Potraficie?

A PiS dostał właśnie ponad 2 mld zł na kampanię wyborczą. To znaczy nie dostał, ale sobie przyznał. Tylko tak to zamotał, że wygląda, jakby rząd wspierał media publiczne. Było tak:

KRRiT właśnie rozdzieliła 2,7 mld zł między TVP a Polskie Radio. Poświęcając sprawie zaledwie 1,5 godziny, czyli trudno mówić o staranności w badaniu sprawy. 2,35 mld dostała TVP, Polskie Radio – 187 mln, rozgłośnie regionalne – 165 mln.

Przed rokiem media reżimowe dostały do podziału 1,995 mld zł. TVP zgarnęła 1,75 mld zł. Czyli media reżimowe dostały z budżetu o 30 proc. więcej, a taka waloryzacja emerytur to 14,8 proc.

Dlaczego w tym roku taki skok? Oficjalnie nie wiadomo, bo zgłaszający taką poprawkę Andrzej Kosztowniak z PiS, szef komisji finansów, niczego nie wyjaśniał. Bo i po co?

Nieoficjalnie to jasne – to rok wyborczy, media reżimowe, jak zawsze od 2016 r., agituja, ile wlezie, za władzą. A to kosztuje.

Pomysł, by mediom reżimowym co roku rekompensować ulgi abonamentowe, to pomysł PiS. Tak oto, korzystając z ustaw uchwalanych przez Sejm, przekłada publiczne pieniądze do swojej kieszeni wyborczej.

Na co za te pieniądze może liczyć? Na wiele. Na przykład na starszą panią z Bogiem w sercu, co pokochała szubienicę dla Tuska. ●

Z jej talentem, gdyby była szczerą, mogłaby zająć zupełnie inne stanowisko w literaturze polskiej. Straciłaby co prawda swój nimb narodowego świątka, zyskałaby może trwalszy laur pisarki. Gide dotarł zbyt późno na nasze Kresy

„W starszym pokoleniu mojej rodziny lesbijstwo Rodziewiczówny było oczywiste”. Wcześniej tak donośnego głosu świadka brakowało. Więcej wiemy, że ta historia była na pewno nieheteronormatywna, ale oczywiście wciąż nie wiemy, jak te relacje dokładnie wyglądały. Czy którąś z tych kobiet Rodziewicz kochała bardziej i czy aby na pewno to z lekka sensacyjne słowo „trójkąt” oddaje to, co się między nimi działo? Najbardziej brakuje mi wglądu w jej uczuciowość.

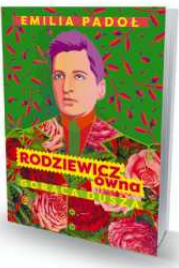
Jan Władcki mówi też: „Żartowano sobie, że [Rodziewicz] mieszka z żoną. Przy całej ówczesnej pruderii i konserwatyźmie nikogo to chyba jednak nie dziwiło ani nie gorszyło,

pada w Hruszowie. W kolejnym roku przypada jej bardzo duży jubileusz 50-lecia pracy twórczej. Poprzednia okrągła rocznica była hucznie obchodzona w Warszawie, ale teraz Rodziewicz już nie chce fetować w stolicy. Woli to wyciszyć. Możemy więc przypuszczać, że tekst Ireny Krzywickiej jednak jakoś ją dotknął albo przeraził. Był to brutalny gest ze strony Krzywickiej, ale z drugiej strony jest ona jedną z nielicznych osób, które bardzo doceniły Rodziewiczównę jako pisarkę. Jej esej pokazuje też coś, co spotkało i Miłosza. Że jak się już zaczyna czytać powieści Rodziewiczówny, to nie można przestać. One faktycznie zasysają.

Rozmawia też pani z seksuolożką i endokrynolożką Anną Kępc

wołuje. Trudno stwierdzić, bo tułaczka Marii Rodziewicz i Jadwigi Skirmuntt w powstaniu warszawskim i w ogóle koniec życia pisarki były bardzo dramatyczne. Wyszły z powstania z garstką rzeczy osobistych i dokumentów. I tak się dziwię, że udało im się ocalić tych kilka pamiątek. ●

Emilia Padoł, „Rodziewicz-ówna. Gorąca dusza”, Wydawnictwo Literackie



OGŁOSZENIE

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

Z ANALITYKIEM POLSKIEGO
INSTYTUTU EKONOMICZNEGO
KRYSTIANEM ŁUKASIKIEM*
ROZMAWIA **JAKUB
KIBITLEWSKI**

Kiedy ostatnio płaciłeś gotówką?

– Ciężko powiedzieć. Rzadko mi się zdarza.

Z badań IBRiS wynika, że podobne doświadczenie ma ponad 80 proc. Polek i Polaków pomiędzy 18. a 39. rokiem życia. W ramach „Polskiego ładu” z początkiem przyszłego roku zaczyna obowiązywać nowy limit transakcji gotówkowych – 8 tys., gdy płaci przedsiębiorca, 20 tys., gdy płaci zwykły Kowalski. A według różnych szacunków twardy pieniądź to już tylko ok. 8 proc. światowej waluty. Czy to znaczy, że pieniądź istnieje dziś głównie jako elektroniczny zapis na serwerach banku?

– Fizycznych banknotów i monet może być jeszcze mniej. Te 8 proc. bierze się z różnych sposobów mierzenia podaży pieniądza. To zarówno gotówka, jak i depozyty banków komercyjnych w banku centralnym. Gotówka w sensie ścisłym to najprawdopodobniej jedynie trzy do pięciu procent globalnego obrotu.

Innymi słowy, jesteśmy świadkami konsekwentnego odchodzenia od twardej waluty.

– Samo to, że pieniądź zmienia swoją formę, nie jest nowym zjawiskiem. Już w średniowiecznej Europie stosowano pieniądź, który formalnie reprezentował jakąś wartość, ale sam w sobie był praktycznie bezwartościowy. Kupcy nie chcieli wozić ze sobą złota, bo było niepraktyczne i narażało na niebezpieczeństwo. Deponowali więc kruszec u złotnika, który wydawał kwit uprawniający do odbioru należnego złota czy srebra. Z czasem zaczęli wymieniać się samymi kwitami. A gdy złotnicy zauważyli, że mało kto w ogóle przychodzi kruszec odebrać, zaczęli wypisywać więcej kwitów, niż mieli złota w skarbcu, żeby móc zarabiać na pożyczaniu pieniędzy na procent.

Ci złotnicy wprowadzali do obrotu wirtualny pieniądź? Bo czym innym jest taki „pusty” kwit?

– Wirtualność jest wpisana w samą istotę pieniądza. Gdyby zapytać studenta ekonomii, odpowiedziałby, że pieniądź jest towarem spełniającym trzy podstawowe funkcje: przechowuje wartość, służy jako środek wymiany oraz wyrażone są w nim ceny pozostałych towarów. Ale aby zrozumieć, czym pieniądź w ogóle jest, musimy sięgnąć do historii jego powstania. W podręczniku do ekonomii przeczytamy, że w kulturach pierwotnych ludzie wymieniali się barterowo, ale było to nieefektywne, więc wynaleźli pieniądź, który usprawnił wymianę. Jeśli ja robiłem buty, a ty łowiłeś ryby, to przecież nie zawsze, gdy



FOT. WIKIPEDIA

uzbrojony mężczyzna, który zabierze cię do więzienia, jeśli na wyjściu nie dasz mu wizytówki, żeby wszyscy nagle zapragnęli ją mieć. Teraz prowadzący może powiedzieć, że wręczy ci wizytówkę, jeżeli trochę uporządkujesz salę. Tym sposobem słuchacze przeszli od obojętności wobec posiadania wizytówki do chęci jej posiadania, a nawet gotowości do pracy, aby ją zdobyć.

Państwo narzuca walucie wartość, bo ma monopol na prawomocne użycie przemocy.

– Jako obywatel musisz płacić podatki, a że państwo – emitent waluty – akceptuje je tylko w tej konkretnej formie, wytwarza popyt na ten towar. Ale wróćmy do analogii Moslera. Załóżmy, że prowadzący przyniósł więcej wizytówek, niż jest osób na sali. Część studentów może być skłonna do wykonania dodatkowej pracy, żeby dostać dodatkowe wizytówki, dzięki czemu mogą później zatrudnić kogoś innego, aby wykonał dla nich zadanie w celu uzyskania przepustki. W ten sposób wizytówki zaczynają krążyć wśród uczestników, podobnie jak pieniądze krążą między konsumentami i firmami w gospodarce.

Takie postawienie sprawy stawia na głowie słynne powiedzenie Margaret Thatcher, że rząd nie ma własnych pieniędzy, tylko odbiera je nam, obywatelom, w postaci podatków. Zanim wizytówki będą mogły zostać zebrane, trzeba by przecież najpierw rozdać. Przy czym warto zaznaczyć, że współcześnie większość pieniędzy tworzona jest „z powietrza” przez banki komercyjne.

Jak to „z powietrza”?

– Prywatne banki tworzą pieniądze w procesie udzielania nam kredytu. Gdy dostajemy pożyczkę np. na samochód, bank wpłaca nam te pieniądze na konto. Brzmia-

TRANSAKCJA ODRZUCONA

Gotówka to już jedynie trzy do pięciu procent globalnego obrotu.

Co z wolnością, kiedy euro, złotówka i forint będą tylko cyfrowe

ja byłem głodny, ty potrzebowałeś akurat obuwia. Dlatego zaczęto stosować kruszec czy muszki, żeby ten proces ułatwić. Następnie przerzucono się na oficjalnie bite monety, później na pieniądź papierowy, aż wreszcie na elektroniczny, którego podaż kreują banki komercyjne, udzielając kredytu.

Problem z tą historią jest taki, że ma niewiele wspólnego z prawdą. W książce „Dług” antropolog David Graeber pokazał, że ani historycznie, ani obecnie nie ma plemion, które stosowałyby barter jako podstawowy środek wymiany. Najpierw był dług,

rozumiany jako zobowiązanie wobec członków lokalnej społeczności. Pieniądź – w nowoczesnym rozumieniu tego słowa – stworzyło państwo, nakładając na obywateli podatki niezbędne do utrzymania armii.

Czyli klasyczny liberalizm: żeby móc zapewnić obywatelom bezpieczeństwo, państwo potrzebuje środków.

– Nie do końca. Nakładając podatki, państwo jednocześnie nadaje walucie wartość. Nakazujesz obywatelom płacić w danej walucie, więc tworzysz na nią popyt. Ale to państwo jest emitentem

waluty, więc żebyśmy mogli nią w ogóle podatek zapłacić, najpierw musi wejść do obiegu gospodarczego, co dzieje się za pomocą wydatków rządowych. Łatwo to zobrazować analogią przytaczaną przez ekonomistę Warrena Moslera. Załóżmy, że jesteś na sali wykładowej i prowadzący, trzymając w ręku swoje wizytówki, pyta, kto chce je dostać. Większość osób raczej nie będzie zainteresowana, bo informacje kontaktowe można łatwo znaleźć w internecie. Wizytówka sama w sobie nie ma wartości.

Ale wystarczy, że prowadzący powie, że za drzwiami sali stoi

trochę kuriozalnie, ale to potwierdzony empirycznie i zaakceptowany przez banki centralne pogląd na to, skąd biorą się pieniądze we współczesnej gospodarce. Ma to oczywiście konsekwencje. Decyzje kredytowe wydają prywatne banki, więc to one decydują, które sektory gospodarki otrzymują finansowanie.

Tak bardzo ufamy bankom? Wydawało mi się, że po kryzysie 2008 roku zaufanie do instytucji finansowych mocno stopniało.

– Ten kryzys i spadek zaufania stworzyły podatny grunt pod

szukanie alternatyw. Zauważ, że bitcoin powstał w 2009 r., a pierwszy wydobyty blok bitcoina miał zakodowaną przez jego twórcę Satoshiego Nakamoto wiadomość. „The Times 03/Jan/2009 Chancellor on brink of second bailout for banks” – czyli nagłówek artykułu z „The Times” o możliwym bailoucie banków w Wielkiej Brytanii. Ta kryptowaluta miała być odpowiedzią na niezadowolenie wywołane spekulacjami wielkich banków, na których stracili zwykli ludzie. Tyrania Big Finance miała zostać przełamana zdecentralizowanym pieniądzem, kontrolowanym demokratycznie przez wszystkich użytkowników.

Trzymając się definicji, kryptowaluty, jak bitcoin, nie są pieniądzem w sensie ścisłym. Czym w takim razie są? Przecież istnieją nawet fizyczne punkty usługowe, gdzie można nimi zapłacić.

– Bitcoin nie najlepiej przechowuje wartość, bo jego cena potrafi zmienić się o kilkadziesiąt procent w ciągu tygodnia. Nie jest też powszechnym środkiem wymiany, bo chociaż w momencie największego hype mogłeś zapłacić nim za pizzę czy nawet za Teslę, spróbuj zapłacić nim za kawę. Nie jest też miernikiem wartości, bo kryptowalutom nadal nie udało się stać powszechnie akceptowaną jednostką rachunkową. Półzartem – już pewnie zappsy, czyli te wirtualne żetony, które dostajesz za realne złotówki wydane w Żabce, sprawdzą się lepiej jako pieniądz, bo przynajmniej ich wartość jest stabilna.

Ale ani bitcoinem, ani zappсами nie zapłacisz podatku. Na kryptowalutach da się natomiast realnie wzbogacić, stąd pewnie kojarzą się powszechnie z pieniędzmi, lecz najbliżej im jest do spekulacyjnych aktywów finansowych. Choć biorąc pod uwagę potężne wahania wartości, mają więcej wspólnego z hazardem i zdrapkami.

Rozumiem, że wartość kryptowalut jest całkowicie umowna, ale czy wartość pieniądza drukowanego przez banki centralne w gruncie rzeczy też nie wynika jedynie z pewnej umowy społecznej? Na czym polega różnica?

– Wartość bitcoina jest czysto spekulacyjna. Kupujemy go, licząc, że uda nam się go sprzedać drożej. Złotówka czy dolar może wydają się tylko papierkiem o umownej wartości, ale stoi za nimi ogromne prawno-institutionalne wsparcie, które ma zapobiegać manipulacjom oraz utrzymywać stałą wartość. Oczywiście mamy inflację oraz wahania kursów walut, ale jednak nie jest tak, że cena złotówki skacze o 2000 proc. w ciągu roku. Samochód, który chcesz dziś kupić za 30 tys. złotych, być może w przyszłym roku będzie kosztował 34, ale już raczej nie 134.

To jest ta fundamentalna różnica w źródle wartości kryptowalut i pieniądza fiducjarnego. Wartość pierwszego wynika z niestabilności – cena fluktuuje o kilkadziesiąt procent, więc możliwy jest szybki zysk. Cena drugiego wynika z jego stabilności – pozwala oszacować, ile jedzenia

w supermarkecie będę w stanie kupić za swoją miesięczną pensję.

Znajomy entuzjasta krypto na Facebooku ostatnio dziwnie ucihl. Zgaduję, że ma to związek z niedawnym załamaniem się jednej z największych giełd kryptowalut na świecie, FTX. – Ewidentnie obserwujemy przełom w społecznym nastawieniu do kryptowalut. Giełda, która upadła, uważana za tę najbezpieczniejszą, okazała się sterowana przez grupę dzieciaków bez pojęcia, jak zarządzać tak dużą instytucją. Co więcej, te osoby dla własnego zysku dopuściły się niezwykle poważnych przestępstw finansowych, za co teraz ściga je m.in. amerykański Departament Sprawiedliwości oraz SEC – odpowiednik naszej Komisji Nadzoru Finansowego.

Prokuratura federalna postawiła 30-letniemu prezesowi giełdy osiem zarzutów, w tym o pranie pieniędzy i defraudację. Miliardy dolarów od inwestorów wyparowały z dnia na dzień.

– To notorycznie powtarzany schemat w przypadku wielu blockchainowych wynalazków. Podobnie było przecież z NFT, którego jeszcze rok temu entuzjaści blockchain zaciekle bronili jako czegoś, co zrewolucjonizuje cyfrową sztukę, ba, stworzy zupełnie nowe gałęzie cyfrowej gospodarki. Okazało się, że to sztucznie napompowana bańka, której spekulacje napędzali celebryci, w tym polscy. Połowę wolumenu obrotu NFT stanowił tzw. wash trading, czyli sprzedawanie NFT samemu sobie, żeby sztucznie zawyżyć jego cenę.

Skoro raz po raz dowiadujemy się, że za kolejną szumnie brzmiącą nowinką z branży cyfrowych walut kryła się zwykła piramida finansowa, dlaczego nikt jeszcze tego nie uregulował?

– W Wielkiej Brytanii już rozpoczęły się prace nad całym pakietem regulacji. Szczegółów jeszcze nie znamy, ale wiadomo, że planowane są obostrzenia wobec zagranicznych firm oraz nowe sposoby postępowania w przypadku upadku firm, żeby zminimalizować szanse na drugi FTX. Najciekawszą propozycją wydaje mi się ograniczenie reklamowania produktów kryptowalutowych, bo takie ujęcie sprawy w gruncie rzeczy pokazuje, że jako produkt społecznie szkodliwy, jak papierosy czy alkohol.

Niektóre opracowania pokazują, że 80 proc. inwestorów straciło na krypto. Można machnąć ręką i powiedzieć: „Ich strata, zaryzykowali i się nie udało”. Ale gdy dolożymy do tego fakt, jak bardzo energochłonne są kryptowaluty – sam bitcoin pochłania rocznie więcej energii niż Finlandia – można się zastanawiać, czy ten produkt nie powinien podlegać podobnemu ostracyzmowi albo przynajmniej jego reklamy powinny mieć ostrzeżenia o ryzyku przypominające te z opakowań papierosów.

Przy czym te brytyjskie regulacje mają rozwinąć rynek krypto, a nie ograniczyć. Premier Rishi Sunak zapowiada, że efektywna regulacja ma uczynić Wielką Brytanię globalnym centrum technologii kryptowalut.

Z jednej strony państwa krzywo patrzą na kryptowaluty, z drugiej wiele szykuje własne cyfrowe waluty. Nie wie lewica, co czyni prawica czy hipokryzja?

– Odnoszę wrażenie, że projekty cyfrowych walut emitowanych przez banki centralne, w skrócie CBDC, powstały z obawy przed konkurencją ze strony „prywatnych” wirtualnych walut, nad którymi nie można sprawować kontroli za pomocą narzędzi polityki monetarnej.

bezgotówkowy. Czy taki scenariusz jest w ogóle możliwy?

– Technicznie jak najbardziej, natomiast mnie ta wizja odrobinę przeraża. Już pomijam, że część cyfrowo wykluczonej populacji taki system wyłączyłby poza nawias – w Polsce ponad 3 miliony osób z różnych przyczyn nie korzystają z internetu, często to ludzie starsi, ubodzy, z niepełnosprawnościami. Znacznie bardziej obawiam się jednak kompletnej utraty prywatności. Każda

Bitcoin to pieniądz?

To spróbuj zapłacić nim podatek. Kryptowaluty mają więcej wspólnego z hazardem i zdrapkami niż z walutą czy inwestycją

Na stronach europejskich organów przeczytamy, że w wyniku COVID-19 zmieniły się nasze nawyki i ze względu na ryzyko przenoszenia infekcji potrzebujemy cyfrowej waluty. Co więcej, takie waluty miałyby nam zapewnić większą prywatność i efektywność. W końcu obrót konwencjonalnym pieniądzem wymaga wielu pośredników, co jest mniej wydajne i bezpieczne. Tylko zauważmy, że ta cyfrowa waluta nie miałaby zastąpić elektronicznej złotówki, a funkcjonować obok niej, niejako wypierając z obiegu banknoty i monety. Banki centralne nie piszą tego wprost, ale jest to krok w stronę społeczeństwa bezgotówkowego.

Co w praktyce oznaczałoby całkowite przejście na obrót

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu „Jutronauci”, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi się zmienić szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmienia się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zaprosimy Państwa też do ogłaniania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

Wyjdę na paranoika, ale potrafię sobie wyobrazić, że gdy pieniądz będzie wyłącznie cyfrowy, polska policja nie będzie już musiała zatrzymywać i pod bzdurnym pretekstem trzepać dziewczyn jadących do Warszawy na Manife. Wystarczy, że terminal na stacji benzynowej po drodze odrzuci im płatność. Albo inny scenariusz – teraz z kolei założę czapkę libertarianina, wybach. Progresywny rząd jakiegoś zachodniego demokratycznego kraju, mając oczywiście na względzie higienę publiczną i dobro swoich obywateli, będzie w stanie odciąć nastolatkom dostęp do filmów porno. Z kolei ktoś ze stwierdzoną marskością wątroby nie będzie mógł już zapłacić za piwo.

– Tu znowu wracamy do tematu zaufania do publicznych instytucji czy szerzej – państwa. Bank Ludowy Chin emituje cyfrowego juana i on nie cieszy się dużym zainteresowaniem. Nic dziwnego, bo w chińskim kontekście obawy o naruszenie prywatności przez władzę są nieuniknione.

W Europie mamy najlepsze prawo chroniące prywatność naszych danych osobowych. Stąd głosów, że cyfrowe euro przybliży nas do chińskiego modelu totalnej inwigilacji, nie podzielam. No i zapominamy o najważniejszej kwestii. Większość społeczeństwa nie chce wycofania gotówki. Ostatni sondaż IBRiS pokazuje, że ponad 80 proc. Polaków nie zgadza się na jej całkowite wycofanie z obrotu. A wśród osób młodych aż 90 proc.! Obawiamy się zbyt dużej ingerencji państwa w nasze prywatne wybory konsumenckie. Nawet jeśli miałyby być tylko potencjalna.

Jesteśmy świadkami walki o to, jak będzie wyglądał nowy rozdział w historii pieniądza. Trzeba się temu przyglądać, bo stawką jest globalna stabilność finansowa oraz kontrola nad najcenniejszym zasobem współczesnej gospodarki – informacją. ●



*Krystian Łukasik

• Jest starszym analitykiem w Polskim Instytucie Ekonomicznym, redaktorem „Magazynu Kontakt” oraz doktorantem na Wydziale Socjologii UW. Zajmuje się tematami z zakresu gospodarki cyfrowej oraz studiami nad nauką i techniką

FOT. MATEUSZ GOŁĄB



UMIAŁEM O SIEBIE ZAWALCZYĆ

1 RP

Negatyw to był mocno charyzmatyczny zespół ze śląskim zaśpiewem, a jego liderem w britpopowej grzywce był Mietall Waluś. Pojawił się jak kometa, poza zespołem nagrywał solo, a z Arturem Rojkiem skomponował jedną z najważniejszych płyt polskiej alternatywy „Uwaga, jedzie tramwaj” zespołu Lenny Valentino. Potem zniknął. Pojawił się na peronie, gdy wysiadłam z pociągu. Napis na budynku dworca spadł i zostały dwie ostatnie litery nazwy miejscowości ...CE. Chyba nikomu to nie przeszkadza.

Masz jakieś wspomnienie z dworcem w Mysłowicach?

– Wychowałem się w dzielnicy Klachowiec, która nigdy nie miała dobrej prasy. Mocno patologiczne miejsce, niebezpieczne. Pamiętam, że jako 7-8-latek biegałem z kolegami na ciemne piwo bezalkoholowe do budki na dworzec. Pakowaliśmy się do tramwaju i była wycieczka. Dziś to raczej nie do pomyślenia, rodzice od razu by mieli problemy z pomocą społeczną.

Nigdy nie byłem typem sportowca, raczej obserwatora. Duże wrażenie robił na mnie sąsiad, który parkował na naszym podwórku czarną nysę, karawan, i wiedzieliśmy, że jeździ nim po ludzkie zwłoki. Przez całe lata myślałem, że śmierć ma zapach lizolu, bo on czyścił nim samochód. Pamiętam też, że rozrywką było obserwowanie, jak z kościoła idzie na cmentarz pogrzeb, orkiestra, żałobnicy.

Nasza rodzina liczyła pięć osób, rodzice, siostra i mój brat bliźniak. Mieszkaliśmy w małym, dwupokojowym mieszkaniu. Miałem 11 lat, gdy wynieśliśmy się do dużego, czteropokojowego mieszkania. Trafilem do miejsca, gdzie mieszkają zupełnie inni ludzie.

Mietall pokazuje mi blok, w którym spędził pierwsze lata życia, i mam wrażenie, że nic się tutaj nie zmieniło. Do kamienic z czerwonej cegły dobudowano komórki na węgiel. Być może na podwórku jest dziś więcej lepszych samochodów, ale to nadal plan zdjęciowy z lat 80. Klatki schodowe śmierdzą wilgocią, rozpadają się schody. Mijamy mocno zniszczoną przez alkohol kobietę, Mietall mówi, że to jego koleżanka z dzieciństwa.

Co robili twoi rodzice?

– Tata jest cieślą, mama całe lata pracowała ciężko w zakładach mięsnych w Mysłowicach. Pamiętam, jak wracała z pracy i śmierdziała tym mięsem. Było mi jej bardzo żal.

Już w dzieciństwie wiedziałeś, że twoją drogą będzie muzyka?

– Tak, ale na początku marzyłem o perkusji. Na ulicy, w latach 80., spotykałem mnóstwo wielbicieli bluesa i metalu, byli zjawiskowi. Pierwszą naszywkę, jaką miałem na ubraniu, to „Master of Puppets” zespołu Metallica, potem uwielbiałem Sepulturę. Robili międzynarodową karierę, jak byli jeszcze niepełnoletni.

Miałem 15 lat, gdy moi 18-letni kumple już pracowali zawodowo, w hucie, w warsztatach samochodowych, w kopalni.

Rozmawiałeś z rodzicami o swoich muzycznych planach?

– Nie, wychowałem się na ulicy. Wówczas się tak nie gadało z rodzicami. Pamiętam, jak dostałem dowód osobisty, wtedy zieloną książeczkę, pokazałem tacie, a on się bardziej ucieszył niż ja, bo powiedział, że już nie musi za mnie odpowiadać. Z przyzwyczajenia zapytałem, czy mogę wrócić po godzinie 22, i usłyszałem: „Jesteś dorosły”. To był dobry ruch z jego strony. Dziś mam wrażenie, że ludzie się bardziej przejmują dziećmi, i nie wiem, czy to wyjdzie

Dziennikarze muzyczni sami dziś stali się gwiazdorami i trzeba walczyć o ich uwagę, ale nie mam na to ochoty

Z MIETALLEM WALUSIEM, MUZYKIEM, KOMPOZYTOREM, ROZMAWIA AGATA CAŁKOWSKA

im na dobre. Miałem dużo wolności, rodzice nie ingerowali w to, co robię, tylko mówili, że mam nie krzywdzić innych. Nie naciskali na szkołę.

Byłeś pilnym uczniem?

– Wręcz przeciwnie. Powtarzałem piątą klasę przez wagary. Od dzieciaka szedłem pod prąd, wołałem z kolegami włóczyć się po mieście. Mojego brata też usadzili, by mi nie było smutno, chociaż był pilniejszy.

Twój brat bliźniak Tomek?

– Tak. Do pewnego czasu wszystko robiliśmy razem, mieliśmy tych samych znajomych, ale w szóstej klasie podstawówki trafiliśmy na braci Kowalików, Darka i Krzyska, których tata był ogromnym fanem muzyki. Chłopaki mieli wolną rękę i mogli próbować w domu, wzięli mnie do zespołu na basistę i moje życie się zmieniło. To było niesamowite, rodzice chłopaków stworzyli mi drugi dom, jadłem z nimi obiady, trzy razy w tygodniu mieliśmy próby. Myśmy naparziali na tych instrumentach, a rodzice siedzieli obok w pokoju. Tata chłopaków był tak zaangażowany w nasz rozwój, że potrafił wpadać na te próby i mówić, gdzie żeśmy się pomylili. Obserwowałem dom, gdzie wspierało się dzieci w ich pasjach. Gitarę kupiłem sobie sam. Ale to mnie nauczyło odpowiedzialności za moją przyszłość i nigdy nie miałem o to pretensji do rodziców.

To kiedy przyszły pierwsze pieniądze z muzyki?

– Miałem 22 lata, to pierwsze sukcesy z Negatywem i Lenny Valentino. Trasy po całej Polsce i pierwsze większe pieniądze z muzyki. To był też niełatwy czas, bo emocjonalnie wyjście na scenę było dla mnie stresujące. Potem trzeba było się wyciszyć, żeby odpocząć, więc wiadomo, że w busie alkohol, palenie. Wpadłem w taką typową historię, o której czytałem w biografii muzyków.

Lenny Valentino, poboczny projekt bardzo znanego już wtedy wokalisty zespołu Myslovitz, do dziś jest nazywany jedną z najważniejszych płyt alternatywnych w Polsce.

– Niby tak, ale ja w ogóle nie znałem repertuaru zespołu Myslovitz i nie interesowałem się tym, czy to jest popularne. Grałem w trzech zespołach i Rojas [Artur Rojek] to wiedział, podszedł do mnie w knajpie i zapytał, czy nie popracujemy razem, bo słyszał, że mam dobre pomysły. Zacząłem je na próby przynosić, a jemu się spodobały, bo potrzebował czegoś innego niż Myslovitz. Zostaliśmy współtwórcami płyty Lenny Valentino, która zaskakująco dla mnie zyskała bardzo dobre recenzje i dostaliśmy Fryderyka.

Pamiętam singiel „Dom nauki wrażeń”. Gdzie jest dom, którego szukam

Gdzie jest dom
Duży, bardzo duży
Będę sam, jedno okno będzie tam
W salonie na ścianie hak
Na łóżku moim nie będę spał
A na drzwiach nigdy siebie nie widziałem.
– To mój tekst. Tytuł zaproponował Artur, bo kiedy byliśmy na takim spotkaniu z dziećmi z niepełnosprawnościami, to w ośrodku była sala nazwana „Dom nauki wrażeń”. Sposób promowania tej płyty mocno mnie skrzywdził. Byłem jej współtwórcą, przyniosłem pomysły muzyczne do większości piosenek, ale byłem w promocji albumu kompletnie pomijany. Napisa-

łem „Chłopca z plasteliny”, muzykę do „Karuzeli, skuterów, rodeo”, „Trujących kwiatów”, „Dla taty”, „Dzieci 2”. Początek kompozycji „Zniszczyłeś to czy zniszczyłem to ja” i Artur za tym poszedł. A płytę promował Artur Rojek ze Ścianką. To było jakieś dziwne.

Podział w Zaiksie co do autorstwa tej płyty był rozegrany uczciwie? Od lat słyszę, że na tym polu dochodzi do mocnych konfliktów, a nawet rozpadu zespołów.

– Z perspektywy czasu to nie było fair, ale ja miałem wtedy 22 lata i naprawdę nie wiedziałem, jak te mechanizmy działają. Nie wiedziałem, co to jest Zaiks i tantiemy za sprzedaż. Rojas zaproponował podział procentowy: mając bardziej znane nazwisko, należy mu się więcej. Przystanęłem na to, ale co miałem zrobić. Tak samo zresztą było z muzykami, myśmy tę płytę stworzyli z chłopakami z Mysłowic, a potem Rojek ich zastąpił muzykami ze Ścianki. Mnie wyrzucić nie mógł, bo wiedział, ile do tej płyty wniosłem. Do dzisiaj wiele osób myśli, że byłem tylko basistą, a to ja zrobiłem większość tej płyty na gitarze akustycznej, dodając bas, tworząc harmonie. Bardzo dobrze czułem Artura. Szkoda, że nie zgodził się na kolejną płytę.

Nie można Arturowi Rojkowi odmówić, że dobrym pomysłem było wzięcie do składu rozpoznawalnych muzyków ze sceny alternatywnej, Maćka Cieślaka i Jacka Lachowicza. Ścianka była wtedy na mocnej pozycji.

– Zdecydowanie tak, bo on bardzo chciał pokazać, że pochodzi z tego świata alternatywy, że jest jej częścią. Ścianka wpasowała się w ten plan idealnie. Kiedyś Arturowi powiedziałem, że w żadnym wywiadzie nie mówisz, że jestem twórcą tych piosenek. To rzucił tą gazetą i zapytał: „Myślisz, że o ciebie pytają?”.

Wyobraźmy sobie Polaka, który nienawidzi gejów, a w święta słucha chętnie „Last Christmas” George’a Michaela

Jakoś to wtedy mocno przeżyłem, miałem wrażenie, że się mnie wstydzi.

Show-biznes...

– Ja to miałem naprawdę wtedy w dupie, bo ważne było, że realizuję siebie, swoje marzenia.

Ale się z Arturem Rojkiem zaprzyjaźniłeś i zrobiliście tę płytę...

– Nie. To jest za dużo powiedziane. Myśmy się spotykali, chodziłem do niego do domu, czasami razem imprezowaliśmy, ale on raczej myśli o sobie. Spodobał mu się mój sposób pisania piosenek, i tyle. Po dwóch trasach koncertowych kontakt się zerwał. Gdy chciał, by Lenny Valentino grało na OFF Festiwalu, to graliśmy, a kiedy chciałem na swoje 20-lecie pracy zrobić koncert naszego projektu, to odmówił. Dziś nie mamy kontaktu, jest milionerem,

mieszka na wypasionym osiedlu w Katowicach.

Jak rodzice zareagowali na piosenki w radiu, na twoje sukcesy?

– Byli kilka razy na moim koncercie na rynku w Mysłowicach. Są dumni, że utrzymuję się z tego, co sobie założyłem, ale też nigdy nie miałem potrzeby, żeby dzwonić i się chwalić sukcesami.

A twój brat bliźniak?

– Jeszcze w szkole zawodowej mieliśmy kontakt towarzyski, mieszkaliśmy też nadal w tym samym pokoju, ale potem poszedł do wojska, co go kompletnie zламаło. Przyznał mi się po czasie, że przeżył tam bardzo mocną falę, płakał i opowiadał mi, jak bardzo się bał tam jeździć. Miał 19 lat. Potem znalazł sobie kobietę i już nie wrócił do domu. Trudne było także to, że ona była od niego dużo starsza. To generowało wiele napięć.

A jak uniknąłeś wojska?

– Jako 16-latek wymyśliłem sobie, że będę regularnie chodził do szkolnego psychologa. Ta pani mnie bardzo lubiła, więc powiedziałem wprost, że jestem muzykiem i chcę się z nią spotykać raz w miesiącu, żeby nie iść do wojska. Ona mi w tym pomogła i dostałem kategorię D. Od zawsze miałem taki charakter, że umiałem o sobie zawalczyć.

Znamy się 20 lat, a ja właściwie nie wiem, jak masz na imię, tak silnie zbudowałeś postać Mietalla Walusia.

– Jest dużo osób, które nie znają mojego imienia. Od początku jakoś go nie lubiłem. Kiedyś Kaśka Nosowska mnie zapytała: a jak ty masz tak naprawdę na imię? Roman Czesław Waluś i ona się śmiała, że tak powinienem się przedstawiać na koncertach, ale nie skorzystałem z jej pomysłu.

A był moment zachłyinięcia się show-biznesem?

– Po sukcesie Negatywu stałem się rozpoznawalny, graliśmy na największych festiwalach, były nominacje do Top Trendów, Opole. Zagraliśmy 52 koncerty w 70 dni. Pamiętam, że wtedy się mocno zniechęciłem, bo to było za dużo dla mnie, ciągle na walizkach. Permanentne zmęczenie.

Gadałem o tym kiedyś z Kasią Nosowską i powiedziała mi coś takiego, że w su-

mie to jest wdzięczna, że z Heyem nie stała się milionerką, bo nie wie, jakby się to skończyło. Mam chyba podobnie. Niektórzy myślą, że zniknąłem, bo mi się nie udało, ale ja jestem domatorem, cenię sobie dziś ciszę, stąd ten przestój muzyczny.

Opowiesz o tym doświadczeniu, które zatrzymało twoją artystyczną działalność.

– Śmierć mojego brata to było coś takiego, że zrozumiałem czas, który przecieka przez palce, i że życie jest gdzie indziej. Spotykałem kolegów na ulicy, jak szli z dziećmi, i oni do mnie: „Co tam, gwiazdorze”, bo im imponowało moje życie, ta kariera. A ja patrzyłem wtedy na nich, na te ich fajne rodziny, że są spełnieni. Obserwuję dziś moich rodziców z nostalgią, że całe życie spędzili razem, tata nigdy nie przesadywał w knajpach, tylko z mamą w domu.

A potem... Wróciłem z wakacji w Hiszpanii i mama zadzwoniła, że nie ma kontaktu z Tomkiem i że coś jest nie tak...

Były sygnały, że ma problemy?

– Wpadł w alkohol i chwilówki. Próbowaliśmy z nim rozmawiać, ale Walusie, na czele z dziadkiem, który teraz ma 94 lata, to takie charaktery uparte, że nic nie damy sobie wytłumaczyć. Sam to widzę u siebie.

Znalazłem Tomka, pojechałem do domu, w którym mieszkał z partnerką. Wspiąłem się na parapet i w pokoju zobaczyłem ogromne muchy. Już wiedziałem, że to koniec, popchnąłem okno i zobaczyłem na podłodze dwoje martwych ludzi w rozkładzie. Obraz, którego nie da się opisać. Zadzwoniłem po straż pożarną i policję. Zabezpieczyli cały teren. Na adrenalinie zadzwoniłem do przyjaciół, żeby nie dopuścili mojego taty do tego miejsca. Wziąłem mamę na spacer i wytłumaczyłem jej, że nie możemy tam jechać. Dobrze, że tego nie widzieli, bo we mnie ten obraz został na lata.

Kiedyś jak oglądałem dokumenty o Auschwitzu, to się zastanawiałem, że minęło tyle lat, a ludzie tak doskonale przywołują wspomnienia z tego strasznego miejsca. Ale to zostaje tak bardzo, jak teraz widzę ciebie... Widzę te ciała.

Dla moich rodziców to byłoby nie do zniesienia. Do dzisiaj, jak widzę w domu dużą muchę, to myślę o Tomku. Jak ktoś mnie pytał na ulicy, co tam u bracika, to przez pierwsze cztery lata mówiłem, że wszystko w porządku. Kłamałem. Nie umiałem o tym rozmawiać.

Mietall pokazuje mi dom, w którym do śmierci mieszkał jego brat Tomek. Mieszkanie do dzisiaj jest opuszczone. Na myślowickim cmentarzu Tomasz Waluś leży w jednym grobie ze swoją partnerką.

Kto zajął się pogrzebem?

– Rodzice. Nie pokazywali mi i siostrze, jak bardzo cierpią. Nie pamiętam nic z pogrzebu.

Nie mam tego w zapisie, w mózgu. Nie ubierałem się na czarno. Rozmawiałem o tym z mamą, że nie chcę chodzić na czarno i tego pokazywać. Ściągać na siebie pytań, co się stało.

Przy domu, gdzie Mietall znalazł ciało brata, przystanęliśmy dłuższą chwilę, bo był tam pierwszy raz od tego wydarzenia. Trzeba się z lękami zmierzyć, powiedział. Na cmentarzu dodał, że jest dumny z rodziców, że zdecydowali, że Tomek będzie leżał w jednym grobie ze swoją dziewczyną. Zrozumieli, że byli sobie bliscy i trzeba to wreszcie uszanować.

– Ostatnio na pogrzebie mojej księgowej byłem w zielonym futrze, bo mnie w tym stroju lubiła, przytulała się do mnie w tym miśku. Świecki pogrzeb, muzyka popowa w tle, bo tak sobie życzyła. Szanuję to.

A jak relacje z rodzicami po śmierci brata?

– Tata zaczął bardzo często mówić, że mnie kocha. Nie byłem do tego przyzwyczajony wcześniej.

Jestem hipochondrykiem, więc jak po śmierci pytał raz w tygodniu, czy wszystko u mnie dobrze, to dostawałem szału. Ale to może też był ich sposób na oswojenie straty dziecka.

A w jaki sposób próbowałeś sobie pomóc. Terapia?

– Był taki moment, że zasiedziałem się w domu, zbudowałem sobie oazę i ciężko mi było wrócić do społeczeństwa. Miałem lęki. Jak dostałem ataku w Katowicach, to się bałem, że do domu nie dojadę. To narastało długi czas i trafiłem do psychiatry po leki.

Jeszcze przed pandemią założyłem fundację Masz Mnie!, bo szukałem dla siebie pomocy, ale też kontaktu z ludźmi. Miałem dużo spotkań na temat depresji i nawet

z kilkoma lekarzami się zaprzyjaźniłem. To oni otworzyli mi oczy i zobaczyłem, jak bardzo wiele osób z mojego otoczenia choruje psychicznie. Bo zacząłem o tym mówić. Odkąd fundacja stała się widzialna w Mysłowicach, to zdarza mi się dostawać telefony od znajomych, którzy mają myśli samobójcze.

Internet zmienił na zawsze nasze relacje. Mam wrażenie, że to sprawia, że się coraz mniej angażujemy w życie. Jesteśmy obok siebie, ale nie ze sobą. Współczuję dzisiejszym młodym ludziom tego Instagrama, tego szpanowania. Idą za tym wielka pustka i wielka samotność.

W domu Mietalla są dwie suczki boston terrier, na ścianach obrazy jego kumpla, przedziwne portrety z trójwymiarowymi zębami.

Czy to prawdziwe zęby?

– Ten malarz pracował także w prosektorium, więc nie jest to wykluczone.

W dużym domu jest przytulnie, w salonie stoi fortepian po poprzednim właścicielu, pokój na górze wypełniają zdjęcia z koncertów, plakaty i kolekcja płyt.

Nie chciałeś zamieszkać na stałe w Warszawie?

– Nigdy o tym nie myślałem, bo Śląsk to moje miejsce na ziemi.

Także miałem dużo lęków, nie wyobrażałem sobie, że znowu będę musiał wsiąść

Postanowiłem realizować swoje muzyczne marzenia nadal i tak, by były zgodne z moim charakterem.

Byłem dwa razy na miesięcznej klubowej trasie w Chinach, którą zorganizowałem z Marcelem Sobotą. Raz z Negatywem, drugi raz z Warsaw Bombs, który założyłem z Muńkiem Staszczykiem. Zaśpiewałem piosenkę z Grabażem w Poznaniu i Warszawie na urodzinach Pidżamy Porno, a w wypełnionym po brzegi katowickim Spodku z zespołem Hey na pożegnalnym koncercie wykonałem mój ulubiony utwór „Sic”. Nagrywałem w Abbey Road Studios w Londynie. To wszystko dawało mi kopa. Później zaśpiewałem z Hóldysem, Titusem z Acid Drinkiers i z Robertem Materą z Dezertera. Czego możesz chcieć więcej?

Powrót do muzyki po wielu latach może być trudny.

– Świat dziennikarstwa muzycznego też się bardzo zmienił. Dziś nie liczy się muzyka, tylko co jesz na śniadanie, co jest dla mnie kompletną porażką.

Nie będę na siłę dziś nikomu udowadniać swojej wartości, bo ją znam. Dziennikarze muzyczni sami stali się gwiazdami i trzeba walczyć o ich uwagę, ale ja nie mam na to ochoty.

Nagrałem trzy płyty, które wyjdą w tym roku. Projekt PopRobbot, który tworzę z Tomaszem Bresiem, „Mietall and children of the future” i moja solowa płyta o tytule „Autostygmatyzacja”. Pierwszy singiel,

Przed wojskiem uratowała mnie szkolna psycholog, wpisała mi kategorię D. Od zawsze umiałem o sobie zawalczyć

do busa i pojechać na trasę koncertową. Kompletnie za tym nie tęskniłem. Dopiero teraz zrozumiałem, jakimi bzdurami się przejmowałem, ale także, ile razy dałem się podejść. Mnie sukces męczył, ale też byłem butny. Pamiętam, jak zadzwoniłem do Roberta Leszczyńskiego, który w telewizji powiedział coś niepochlebnego o mnie. Był wtedy gwiazdorem z „Idola”, a ja mu powiedziałem, żeby nie przyjeżdżał na Śląsk, bo dostanie po ryju. Zadzwonił do szefa wytwórni. Na drugiej płycie napisałem o nim wers: „Nie lubię leszczy, bo są płaskie i ościste”, i zaprosił mnie do programu. Potem już mnie polubił, ale zobacz, na początku musiał mnie skrzywdzić i ja tego nie kumam. Podobnie Wojewódzki kiedyś powiedział, że tacy ludzie jak Mietall Waluś nie są kompletnie potrzebni. Zastanawiałem się długo, czego takiemu człowiekowi brakuje, że mówi takie rzeczy. Mnie to podcięło skrzydła. Teraz mam do tego dystans. To może kwestia wieku i wrażliwości młodego chłopaka. Zresztą graliśmy u niego w programie i podaliśmy warunek, że to będzie występ na żywo. Zgodzili się.

Pracowałem z Jurkiem Tolakiem, menedżerem Grzegorza Ciechowskiego. Dostawał bardzo dużo telefonów z pogróżkami w moją stronę. Dzwonił i mówił: „Mietall, zwariuje, idę na policję”. To mnie blokowało.

Bolały cię opinie środowiska?

– Tak. I różnie reagowałem, raz wyrzuciłem dziennikarkę podczas rozmowy i pewnie sobie spaliłem wtedy sporo adresów, ale bolały mnie opinie tych ludzi. Pamiętam, jak wydawca nam zaproponował trasę z Brainstorm, a my odmówiliśmy, bo nam się to nie widziało. Trasa z boysbandem?

„Samowolka”, dedykuję Andrzejowi Poczobutowi skazanemu przez białoruski reżim na osiem lat więzienia.

Nagrałeś piosenkę „Chłopaku pocałuj mnie” dla społeczności LGBT w Polsce, dlaczego?

– Bo bardzo mnie poruszyła wiadomość australijskiego piłkarza Joshua Cavallo, że się boi jechać do Kataru na mistrzostwa świata. I pomyślałem, że zrobię taki teledysk, że będę podrywał chłopaka piłkarza. Zadzwoniłem do Oskara, wytatutowanego i bardzo męskiego chłopaka z programu „Prince Charming” (pierwszy program randkowy w Polsce, w którym biorą udział wyłącznie mężczyźni), i świetnie zagrał piłkarza. Klipem zainteresowała się gazeta „New York Today” ze Stanów Zjednoczonych.

Polityka PiS bije w środowiska mniejszościowe bez opamiętania. Spodziewałeś się tego?

– Wyobraźmy sobie silnego Polaka, ojca rodziny, który nienawidzi gejów. Brzydzi się ich, ale w święta Bożego Narodzenia daje swojej żonie prezent i słuchają „Last Christmas” George’a Michaela, geja, w koszulce Giorgia Armaniego, geja, od żony dostaje perfumy Versace, geja. A w sylwestra tańczy i śpiewa: „I Want to Break Free” Freddiego Mercury’ego, czyli geja.

Za te zamknięte głowy odpowiadają bardzo zła edukacja i propaganda. Oburza mnie, kiedy czołowy polityk nabija się, że jak to jest, że może rano być Jasiem, a wieczorem Basią. To skandaliczne słowa.

Jak jestem wśród ludzi, którzy mówią, że nienawidzą, to pytam, a czy gdyby lekarz gej miał ci uratować życie, to zrezygnujesz z pomocy?

Czy artyści powinni się politycznie angażować?

– Rządzą nami dzisiaj ludzie, którzy chcą z Polski zrobić kraj autorytarny. Jeśli nie stajemy przeciwko nim, to tak, jakbyśmy ich decyzje tolerowali.

Są cały czas muzycy, którzy się mocno angażują, jak Zbyszek Hóldys czy chłopaki z Dezertera. Maciek Małeńczuk nazywa rzeczy po imieniu. Ale to jest pokolenie słabo widzialne przez młodych ludzi.

Coraz częściej mówi się o korpoartystach, którzy przyciągają ogromną liczbę osób na koncerty. I nie wykorzystują swojej pozycji. Oni wołają brak przekazu w stylu „Nie ma fal”, a dla mnie to jest o niczym.

A jest wśród młodych artystów ktoś, na kogo zwróciłeś uwagę, kto cię artystycznie przekonał?

– Ralph Kaminski. Byłem na jego koncercie i jest świetny. Wszystko się zgadza. Artysta pełną parą, największe gwiazdy niech się schowają. Totalny szacun za muzykę i prawdę, ale po jakiegoś chuja reklamuje żarcie, które truje ludzi?

Jeśli widzę Borysa Szycy czy Michała Żebrowskiego w reklamie McDonald’s, to jest to żenujące. Przecież to żarcie to masa-kra. Przecież są dokumenty, z czego to żarcie powstaje... Dla bańki na koncie legitymizujesz produkt, który może doprowadzić do problemów zdrowotnych?

Może już nie potrzebujemy rewolucyjnego przekazu, tylko milej, popowej muzyki?

– Potrzebujemy. Często się zastanawiam, jak oglądam „Fakty”, czy „Wiadomości” – co one pokazują? Poświęcają czas na bzdury typu „Joś wszedł na taflę lodu” czy „kot wpadł do kanału”. Czy naprawdę ciężko wprowadzić w każdych wiadomościach dwie minuty dla kultury? Poinformować, jaki artysta wydaje płytę, pokazać premierę filmu czy dużą wystawę albo powiedzieć o ważnej książce...

Artyści powinni być świadomi, że obecny czas jest kluczowy dla naszej przyszłości. Rząd PiS-u to dla naszego kraju katastrofa. Na najwyższych stanowiskach w Polsce jest tylu niekompetentnych ludzi. Obajtek sprzedający udziały rafinerii Arabii Saudyjskiej. Czarnek ministrem edukacji. Rozwalony system sądownictwa. Polska przez lata stawiała się europejskim krajem, a dzisiaj gdzie jesteśmy?

Brałem udział w Strajku Kobiet, jeździłem na manifestacje do Warszawy, bo nie zgadzam się z polityką obecnej władzy. Całkowity zakaz aborcji? To dramat. Nie dziwi mnie, że kobiety boją się macierzyństwa w Polsce.

A czego się boisz, myśląc o Polsce?

– Mnie zalamuje polska policja. Setki funkcjonariuszy pilnujących obchodów kolejnej miesięcznicy. Ile to nas obywateli kosztuje?

Wbiła mnie w fotel historia Igora Stachowiaka, zamordowanego przez policjantów, albo dziewczyny, której policjant w radiowozie po manifestacji złamał rękę. Jeśli to nie jest początek państwa totalitarnego, to ja nie wiem, co to jest...

Ludzie już tego nie wytrzymują, świat skręca w jakąś złą stronę, samobójstwa pełnia coraz więcej nastolatków...

Wsiadłam w pociąg wieczorny i ruszyłam ze stacji Sosnowiec do Warszawy. Po 20 minutach pod ten pociąg rzucił się człowiek, zginął na miejscu. ●

Duma

Nie zatrudniałbym Janusza Kowalskiego jako wodzireja, bo prowadzone przez niego wesele może się skończyć ciężkim mordobiciem.

Michał Rusinek*



W 1980 roku Wojciech Młynarski napisał tekst piosenki pod tytułem „Inżynierowie dusz”: „Pierwszy inżynier, w marynarce z tweedu, / śmiało w żrenice popatrzył kolegom. / »Skreślmy zupełnie« – rzekł – »uczucie wstydu. / Wstydzić od dawna się nie mamy czego. / Za to uczucia entuzjazmu, dumy / o nowe barwy wzbogaciśmy i blaski. / Bo głębszej się dumy domagają tłumy.« / Skończył do wiersza i zebrał oklaski”.

Scena ta stanęła mi przed oczami, kiedy oglądałem posła Janusza Kowalskiego, który wprowadzie nie w marynarce z tweedu, ale w eleganckim, trzyczęściowym garniturze krzyczał z trybuny sejmowej: „My jesteśmy dumni z naszych ministrów! Szanowni panowie!” – tu zwrócił się ku prawej stronie sali sejmowej, po której siedzą wprowadzie także szanowne panie, i wymachując zaciśniętą pięścią, symbolizującą moc, siłę, wiarę i gotowość do działania, dodał: „Pokażmy teraz, wstańmy, jak jesteśmy dumni z naszych ministrów”. I zaczął klaskać, krzycząc: „Brawo, minister Czarnek! Brawo, minister Czarnek! Wstajemy! Brawo!”. A oni wstali i zaczęli bić brawo: ministrowi Czarnkowi, posłowi Kowalskiemu, sobie samym. Także wykluczone przez Kowalskiego kobiety. A Kowalski stał dalej dumnie na trybunie z miną spełnionego wodzireja i sprawił, że sala obrad plenarnych Sejmu na chwilę zyskała wdzięk strażackiej remizy.

Metafora wodzireja nie jest jednak najlepsza. Na przykład na weselach dwojga przedstawicieli zwaśnionych rodów wodzirej ma za zadanie łączyć, a nie dzielić, krzyczeć raczej: „Kochajmy się!”, a nie: „I czemu się drzecie, opozycjo?”, albo przeciwnie: „Krzyczcie sobie!”, a także personalnie: „Co się, Nitras, śmiesz? Śmiej się!”, lub: „Panie Borysie Budko w rajtuzkach” (co było prawdopodobnie odwołaniem do stroju, w jakim poseł Budka uprawia bieganie; według posła Kowalskiego parlamentarzysta powinien pokazywać się wyłącznie w garniturze, zwłaszcza jeśli musi w ten sposób manifestować swoją męskość; strój sportowy, czyli getry, są dla niego znakiem zniewieścienia, stąd „rajtuzki”). Krótko mówiąc, nie zatrudniałbym Janusza Kowalskiego jako wodzireja, bo prowadzone przez niego wesele może się skończyć ciężkim mordobiciem. Kowalski dostał zresztą po swoim performansie propozycję pracy od kabaretu Neo-Nówka, który napisał na Twitterze: „Janusz, nie chciałbyś tak 15 minut przed naszym występem rozgrzać publiczności? Takie coś typu: wstajemy, bijemy brawo, kilka ciepłych słów i potem wchodzimy my?”. Pojawiły się też propozycje, by zatrudnić go w zespole Piotra Rubika. Na pewno sprawdziłby się w utworach patetycznych.

Bo podstawową siłą napędową do brawurowego wystąpienia pana posła była duma, czyli uczucie patetyczne właśnie. Jest

to jedno z podstawowych uczuć, jakie usiłują w nas wzbudzić politycy „dobrej zmiany”. Już w 2017 roku Jarosław Kaczyński mówił: „Odrzucamy (...) politykę pedagogiki wstydu (...). Idziemy w kierunku Polski, która będzie mogła powiedzieć, że jest krajem dumnym, niepodległym i silnym”. Przeciwnieństwem rzekomo uprawianej do tej pory pedagogiki wstydu ma być pedagogika dumy, zgodnie z którą – jak pisaliśmy z Katarzyną Kłosińską w książce „Dobra zmiana” – „akcentować należy tradycyjne wartości, patriotyzm, tożsamość rozumianą narodo-wo i religijnie, a narrację budować wokół wydarzeń historycznych, które przynoszą nam – jako Polakom – powód do chwały”. Taka pedagogika ma też wymiar psychologiczny: każe nam się zapomnieć lub zanegować wstydlive momenty naszej historii i opowiedzieć ją na nowo, akcentując to, co napawać powinno dumą. Bo duma jednoczy.

Duma, jak czytamy w słownikach, to zarówno „poczucie własnej wartości i godności”, „zadowolenie z własnych lub czyichś osiągnięć”, jak i „wygórowane pojęcie o sobie” (istnieje też pojęcie dumy neurotycznej, czyli stanu nerwicowego, w którym poczucie dumy jest nieadekwatnie wysokie w stosunku do realnych osiągnięć). Duma jest zatem uczuciem ambiwalentnym i nieco niebezpiecznym. Co więcej, czym innym jest duma z przynależności do jakiejś grupy, a czym innym duma z własnych osiągnięć. Kiedy wypowiedzieliśmy słowo „duma”, nieomal automatycznie przyłącza się do niej przymiotnik „narodowa”, co oznacza, że ten pierwszy rodzaj dumy jest dla nas najsilniejszy.

Polska prawica, zwłaszcza ta nacjonalistyczna, lubi zawłaszczać pojęcia, a nawet słowa. Tymczasem duma zaczęła wymykać się jej z rąk. Zbrukał ją już Arthur Schopenhauer, filozof wprowadzie zły, bo niemiecki, ale jednak nie lewacki, pisząc o dumie najważniejszej, bo narodowej, że jest najmniej wartościowym rodzajem dumy: „Kto bowiem nią się odznacza, ten zdradza brak cech indywidualnych, z których mógłby być dumny, bo w przeciwnym wypadku nie odwoływałby się do czegoś, co podziela z tyłoma milionami ludzi. Kto ma wybitne zalety osobiste, ten raczej dostrzeże braki własnego narodu, ponieważ ma je nieustannie przed oczyma. Każdy jednak żaloszny dureń, który nie posiada nic na świecie, z czego mógłby być dumny, chwytą się ostatniej deski ratunku, jaką jest duma z przynależności do danego akurat narodu; odżywa wtedy i z wdzięcznością gotów jest bronić rękami i nogami wszystkich wad i głupstw, jakie naród ten cechują”.

Co gorsza, dumę wypisały sobie na sztandarach znienawidzone przez naszą prawicę społeczności LGBT+. I wzbudzający niepokój czarnoskórzy chcący zwrócić uwagę na własną tożsamość rasową i wynikające z niej dziedzictwo kulturowe – robią to pod szyldem „black pride”, czyli „czarnej dumy”. Tego już za wiele.

Nie ma się zatem co dziwić, że w obrotę prawdziwej dumy włączyła się najsłynniejsza polska kuratorka oświaty Barbara Nowak. Odnosząc się do burzliwych obrad Sejmu, w czasie których opozycja atakowała ministra Czarnka za rozdawanie willi, napisała na Twitterze: „Opozycjo, dlaczego się tak pieklisz? Minister Czarnek nie jest z waszej bajki. Jest białym człowiekiem, katolikiem, pilnuje Polski przed niszczącymi ideologiami neomarksistowskimi”. Jest on z takiej bajki, w której to, co białe, zawsze jest dobre; bajki, w której spełnił się postulat inżyniera dusz z piosenki Młynarskiego, bo panuje w niej wyłącznie poczucie dumy, za to nie ma uczucia wstydu. Nie mają go ani minister Czarnek, ani poseł Kowalski, ani kuratorka Nowak. Niestety, jest za to rosnące poczucie zażenowania. Ale to tylko w nas. ●

Prezydent, tak?

Z dwojga złego lepszy Duda kołcz niż Duda Mussolini.

Marcin Matczak*



On nie tylko ciągle się uczy – on ciągle gra. Gdy patrzy się na naszego prezydenta, można dojść do wniosku, że jego tak naprawdę nie ma. Są tylko twarze, które zależnie od sytuacji przyjmuje.

Te twarze da się rozłożyć na skali. Na samym dole jest twarz prezydenta żartownisia, który lubi się droczyć i przeдрzeźniać. To twarz, która w założeniu ma być kumpłowska, ale okazuje się groteskowym obliczem pięćdziesięcioletniego faceta, który udaje nastolatka (albo odwrotnie) – to jest ta twarz, która mówi z grymasem: „I don't want to hear the same story again”.

Na środku skali jest bujająca się na prawo i lewo twarz prezydenta, który chce być kołczem – tego, który mówi, że się ciągle uczy, ale jakoś nie widać. To twarz pozująca na oblicze doświadczone, które jednak – jak każda prawidłowo wykonana maska – jest puste w środku. To też twarz twardziela, który udaje, że nie jest miękki. Podwijająca się broda, uderzenie pięścią w nieistniejący stół. Mocarz, który zmaga się z oporem powietrza.

Na samym końcu skali prezydenckich twarzy jest twarz maska pokrzykującego ojca narodu, który tym głośniejszy musi powtarzać: „Ja, jako PREZYDENT”, im mniej nim się czuje. Jakby wierzył, że siła argumentów zależy od tego, jak głośno się je wypowie.

Czasami twarz prezydencka wybi-ja poza skalę i wtedy pojawia się Mussolini – szczyt aktorskich możliwości Andrzeja Dudy. Dumny, milczący, zapatrzo-ny w niebo. Jakby nie wiedział, że podbródek zasłania mu widok na świat. A ponieważ nie widzi dalej niż broda, jego działania nie układają się w żaden spójny, długofalowy plan.

Aby zrozumieć, o co chodzi z tymi twarzami prezydenta, przesłuchałem słynny wywiad Andrzeja Dudy, z którego pochodzi kwestia ła kabaretowy Clint Eastwood, czyli „musisz być twardy”.

W wywiadzie prezydent opowiada o kampanii wyborczej – o tym, jak jeździł dudabusem po Polsce, jak spotykał się z wyborcami, że w niektórych miejscach było miło, w niektórych mniej. Wspomina, że się wzruszył, gdy mu zaśpiewali na melodię „Hallelujah” Cohena „Andrzej Duuuuuudaaaaa, Andrzej Duuudaaaaa” („jestem człowiekiem, który lubi różne melodie”), i że z zakończenia kampanii w Zamościu najbardziej podobały mu się jego żona i córka („bardzo ważne jest dla kobiet, żeby się dobrze prezentować”).

Przesłuchawszy, zrozumiałem, o co chodzi z tymi twarzami prezydenta. To bardzo zwyczajny facet, taki od melodii i kobiet. Ale los postawił go na scenie, na której musi odgrywać rolę większą, do której nie jest przygotowany. Musi więc często przełączać się w tryb „prezydent”, w którym wyobraża sobie, jaki powinien być. I to wyobrażenie odgrywa.

To przełączenie prezydent zdradza sposobem mówienia. Otóż Andrzej Duda czasami takuje, a czasami nie. Takowa- nie to dodawanie na końcu zdania twierdzącego słowa „tak” w intonacji pytającej. Ta maniera doczekała się wierszyka Michała Rusinka oraz specjalnej strony na Facebooku („Wkurza mnie słowo TAK na końcu zdania, tak?”).

Różne są wyjaśnienia takowania – jedni mówią, że to zwyczaj kołczów marketingowych, którzy uczą jej, bo takowanie wykształca w słuchaczu nawyk potakiwania, a więc uległość. Inni, że to wyraz niepewności mówiącego i przychyłania się do tej interpretacji. To bardziej inteligentna wersja nieniwowania, a więc dodawania na końcu zdania partykuły „nie”. A ta raczej nie wynika ze strategii marketingowej, ale z niepewności właśnie, nie?

Duda normalnie nie takuje. Gdy opowiada o sprawach, których rzeczywiście doświadczył, takich jak jazda autobusem czy rozmowa z ojcem, który go chwali za 500 plus, nie dodaje „tak” na końcu zdania. Zaczyna takować, gdy musi mówić o stanach ducha, których prawdopodobnie nie doświadcza. Takuje, bo nie jest pewien, czy poprawnie wyobraża sobie te wielkie uczucia i stany, jak siła charakteru, niezłomność czy niezależność decyzji. Dlatego szuka potwierdzenia: „powie-dzieli: to jest facet, który da radę, tak?”, „tu będzie trzeba podjąć takie decyzje, że człowiek sobie nawet nie wyobraża, tak?”, „nie boję się Jarosława Kaczyńskiego, tak?” (dwa pierwsze zdania prawdziwe, trzecie zmyślone). Efekt jest taki, że słuchacz w każdym przypadku chce odpowiedzieć „NIE”.

Prezydent zatem gra, nie działa. Nie ma określonej strategii, ale próbuje sobie wyobrazić, czego akurat oczekuje od niego publiczność. I robi to, co sobie wyobraża, że od niego chcą. Robi więc to, co zrobiłby nie prezydent prawdziwy, ale wymyślony. Przez niego.

Andrzej Duda zatem wyobraża sobie swoją wielkość tak, jak Marysia wyobraża sobie wojnę. Stąd ta sztuczność, którą można by zlekceważyć. Ale za sztucznością czai się coś poważniejszego – nieprzewidywalność.

Bo człowiek, który nie doświadcza prawdziwych stanów ducha, ale je sobie odgrywa, może zachowywać się różnie, w zależności od tego, na kim swoje wyobrażone emocje będzie wzorował. Z dwojga złego oczywiście lepiej na jakimś kołczu niż na Mussolinim. Ale efekt jest taki, że kiedy prezydent mówi w Davos: „I need guarantees”, to ja myślę, że też potrzebuję od niego gwarancji. Stabilności w zachowaniach i godności, nie udawania.

Tymczasem historia tej prezydentury to ciąg pokornych podpisów i dwa-trzy tupnięcia nogą, które w całym układzie rzeczy są zupełnie przypadkowe. Jedno tupnięcie to weto z 2017 roku, którym Duda zatrzymał Ziobrę tylko po to, żeby mógł popsuć sądownictwo po swojemu. Drugie tupnięcie to ostatnia decyzja w sprawie ustawy o SN, która mówi chyba tyle: „Popsuliśmy tę praworządność razem, ale naprawiać będziemy każdy po swojemu. A ja, choć nie umiem, będę naprawiał najbardziej”. „I postaram się odegrać tę rolę najlepiej, jak potrafię, tak?”.

Czy można jakoś skonkludować tę historię Andrzeja Dudy – człowieka z gumy i manekina, który mógłby z Greyem konkurować na liczbę i różnorodność twarzy? To zadanie trudne, ale nie niemożliwe. I tu, nie wiem czemu, przychodzą mi do głowy pamiętne wersy Quebonafide:

Gdybym się urodził z tak zamkniętą głową/ Pewnie raczej też chciałbym zostać aktorem/ Tylko po to, by jak najrzadziej być sobą, słowo. ●



• Hebden Bridge, Wielka Brytania FOT. EBONY LAND



• Praga FOT. PETRA MAR

N

Nie mogę się napatrzeć na ten widok. Nie wiem dlaczego. Przecież widziałam na tej grupie piękniejsze i ciekawsze zdjęcia. Lazurowy ocean w Cancún w Meksyku. Niezwykłą architekturę kolumbijskiego miasta Medellín. Zasnute mgłą wzgórze Yorkshire. Kanciaste, ośnieżone stoki Utah. Migające światła azjatyckich megametropolii. Ciche pastwiska Południowej Afryki.

Widziałam zwierzęta podchodzące pod werandy: sarny, antylopy, kangury, lisy, a nawet niedźwiedzie. Ptaki przysiadające na parapetach: od gołębi przez kakadu z żółtymi irokezami po śmieszne kukabury chichotliwe. Pokryte grubą czapą śniegu kanadyjskie, norweskie i szwajcarskie podwórka. Zielone, nieziemskie maziaje zestawione na alaskańskim niebie przez zorzę polarną. Niezliczoną liczbę basenów w wiecznie gorących rejonach świata. Oraz setki blokowisk. Tak podobnych do siebie, choć tak od siebie odległych.

Ale tylko ten jeden widok cały czas mam przed oczami. Nie zapisałam go sobie, choć powinienam była. Odtwarzam z pamięci, czyli niewiernie. Ujęcie jest z wnętrza domu, więc w kadrze zmieścił się kawałek podłogi z panoramicznym oknem w tle. Na podłodze leżą grubo tkane dywany i kilimy. W kolorach czerwieni, czerni, burgunda, choć może to był brąz? Jest dość ciemno. Zmierzcha? Czy po prostu dzień jest pochmurny, a autor nie zapalił w pomieszczeniu światła? Za oknem cichy, górski krajobraz. Pusto. Żywej duszy. Melancholijnie. A może tylko mnie się tak wydaje? Góry są zupełnie inne niż te, które znam. To na pewno nie Bieszczady ani nie Alpy. Z pewnością nie skandynawski krajobraz. Wysokie, w kolorze sepii, gdzie-niegdzie prześwituje zieleni. Obok zdjęcia lakoniczny podpis – Kurdystan. Zakładam, że autor, autorka jest stamtąd. Ale poza tym, kim jest? Co tam robi? Ile ma lat? I dlaczego mnie to tak ciekawi? Czy dlatego, że patrząc na to zdjęcie, przypominam sobie rozmowę z Behrouzem Boohanim, kurdyjskim pisarzem, dziennikarzem, fil-



• Tbilisi, Gruzja FOT. SALLY BAKRADZE

CO MNIE URZEKŁO

Patrzę przez twoje okno

A tam góry, oceany, blokowiska,
papugi i 50 odcieni szarości

AGNIESZKA JUCEWICZ

mowcem, który z powodów politycznych musiał uciec z kraju. Czy to w tych górach się wychował? Czy to je wspominał w głosnej książce „Tylko góry będą ci przyjaciółmi” – relacji z australijskiego Terenowego Ośrodka Przesiedleńczego na wyspie Manus, gdzie spędził w zamknięciu kilka lat. Pisał: „Skąd przybyłem? Z krainy rzek, krainy wodospadów, krainy pradawnych rytmicznych pieśni, krainy gór. Lepiej powiedzieć, że zstąpiłem ze szczytów. Tam, na wysokościach, oddychałem kosmicznym eterem. Tam się śmiałem. Tam rozpuszczałem włosy na wietrze. To była mała wioska, pośród gaju starych dębów kasztanolistnych. (...) Moja matka zawsze wzdychała i mówiła: »Synku, przyszedłeś na ten świat w czasach, które nazywaliśmy latami ucieczki i odlotu«. To był czas, kiedy w obawie przed nalotami ludzie kryli się w górach. Co tylko posiadali, a dali radę unieść, zabierali ze sobą. Czy Kurdowie mają jakichś przyjaciół oprócz gór?»

Czego nie widzę, patrząc na to zdjęcie? Co jest tak naprawdę po tej, a nie po tamtej stronie okna?

O tym wszystkim myślę, przeglądając zdjęcia na facebookowej grupie „View from my window” (VFMW), czyli „Widok z mojego okna”.

„CZEŚĆ” Z TAMTEJ STRONY ŚWIATA

Grupę na początku pandemii założyła Barbara Duriau, belgijska graficzka. Mieszkała wtedy w Amsterdamie i pierwsze zdjęcie, która wstawiła, przedstawiało widok na przeciwległą kamienicę. „Chciałam podarować ludziom zamkniętym w domach odrobinę świeżego powietrza. Poczucie, że mogą podróżować po świecie, pomimo izolacji – mówi. – Po jakimś czasie okazało się, że grupa, jak wiele innych internetowych społeczności, daje im również poczucie przynależności. Ostatecznie »Hej! Jak się masz?« wysłane przez kogoś mieszkającego 30 tys. kilometrów dalej jest tak samo mile niezależnie od tego, czy mamy pandemię, czy nie”. Dziś grupa ma ponad 3 miliony członków i codziennie przyjmuje nowych. „Ludzie są dumni ze swoich miejsc i chcą je pokazać. A to z kolei pozwala innym odkrywać miejsca, o których nie mieli pojęcia, że istnieją. VFMW otwiera oczy na świat. Inny niż ten znany z pocztówek. I bardzo ludzki. Przy okazji to superfajna lekcja geografii” – rozpromienia się Duriau.

I to jak! Zanim przeczytam podpis, staram się zgadnąć, z jakiego zakątka świata pochodzi zdjęcie. Blokowisko w Tbilisi po-

myliłam z Grochowem. Myślałam, że zimowy parking w Sarajewie to warszawskie Jelonki. Pole z traktorem jak żywcem wyjęte z mazowieckiej wsi okazało się farmą w południowej Australii. Budapeszt wzięłam za Hawanę, a uliczkę w Wilnie za Paryż.

Rozczuła mnie, że każdy, pozornie najbardziej zwyczajny, najnudniejszy, brzydki widok z okna znajduje tu swoich amatorów. Nawet zdjęcie szarego, obokurnego warszawskiego bloku zatytułowane „Fifty shades of grey” dostaje 10 tys. lajków i serduszek. Ktoś pisze: „Szary to bardzo kojący kolor”. 14 grudnia 2022 r. autorka przedstawiającą się jako Zoloo Bold zamieszcza widok ze swojej kuchni na blokowisko w Ulan Bator. Świta, w tle majaczą góry. Jest zwyczajnie i jednocześnie nadzwyczajnie pięknie. Podpis: „Dziś są minus 22 stopnie. Najzimniejsza stolica Azji”. Widok ten sprawia, że Kari Edwards z Lancashire w Anglii wspomina swoją podróż Koleją Transsyberyjską do Pekinu w latach 90. Francuz Bruno Mahauz pisze: „Wspaniały kraj, wspaniali ludzie. Miałem okazję odwiedzić to miasto 20 lat temu. Pozostało żywe w mojej pamięci”. Evamaria Jansen z Belgii: „Zimne kraje mnie fascynują. Jak również piękno pokrytego mrozem krajobrazu. Oczywiście nie wiem, jak to jest żyć w takich temperaturach, ale oświście znacznie lepiej noszę mroźne zimy niż upalne lata”.

JUTRO WPADAM!

VFMW jest jednym z najsympatyczniejszych miejsce w mediach społecznościowych. Nie ma tu agresji, gównoburz, demonstrowania swojej wyższości. Ludzie nie szczędzą sobie miłych słów, dopytują o szczegóły: co to za szopa? Co się znajduje w barakach w tle? Od kiedy macie ten ogród? Jakie to zwierzę? Czy na tej ulicy w nocy zawsze jest taki korek?

Jeśli ktoś ujawni się z bardziej intymnym opisem, dostaje wsparcie i nadzieję. Norweżka Mette Villesen pod zdjęciem ośnieżonego pola pisze: „To widok z mojego salonu. Cztery miesiące temu się rozwiodłam i musiałam opuścić ukochaną farmę. Teraz próbuję dojść do siebie w tym małym domku z niezwykłym widokiem”. Joan Roberts komentuje: „Mette, ja też po rozwodzie musiałam opuścić moje gospodarstwo, które myślałam, że Kocham. (...) Ale kiedy przeniosłam się do miasta, jestem szczęśliwa jak nigdy. Mam piękny ogródek, wstąpiłam do klubu ogrodników. Tu mogę być sobą. Czasami musimy się z czymś pożegnać, żeby coś zyskać”. Toni Ballentine: „Dobrze jest mieć własną małą przestrzeń, gdzie można rozpaczć i leczyć rany”. Mark Gorman-Mendoza: „Też byłem w tym miejscu. Moja filozofia jest taka: życie jest krótkie, oplakuj to, co musisz, ale nie za długo. Powodzenia!”.

Bywa też śmiesznie. Gemma Conn z Great Waltham w Essex w Wielkiej Brytanii ma widok na stary cmentarz. Na tle czerwonego zachodzącego słońca odpoczywają wystające z ziemi, poprzekrzywiane nagrobki. Ktoś komentuje: „Przynajmniej twoi sąsiedzi nie są imprezowiczami!”. Inny: „Wygląda na to, jakby jeden z nich chciał się wydostać na zewnątrz...”.

„Najbardziej cieszę mnie historie, które rodzą się w tej społeczności i mają swój ciąg dalszy w realu – ludzie, którzy się odnajdują przypadkowo po latach, nowe przyjaźnie, a nawet miłości” – mówi Duriau.

Ale w tej wielkiej beczce miodu musi być też oczywiście łyżka dziegciu.

WOJNA ZMIENIA ZASADY

Po 24 lutego 2022 r. zdjęcia z Rosji zaczynają generować nieprzychylnie, a czasem napastliwe, agresywne komentarze. Duriau i piętnastu innych administratorów nie nadążają z moderowaniem forum. Zamieszczają post:

„Pilna informacja w sprawie postów z Ukrainy, Rosji i innych miejsc związanych z regionem.

Drodzy Członkowie,
»Widok z mojego okna« powstał, żeby łączyć ludzi w trudnych czasach. Życiowość, solidarność i jedność – to wartości, które staramy się pielęgnować. W świecie obecnych wydarzeń i dlatego, że VFMW jest apolityczne, będziemy blokować komentarze członków, którzy występują przeciwko naszej filozofii.

Z góry dziękujemy za waszą wyrozumiałość”

Barbara Duriau i Zespół
Żeby było jasne, Duriau jest przeciwko rosyjskiej agresji w Ukrainie, czemu nieraz dała wyraz, ale nie toleruje osobistych ataków ani na Rosjan, ani na Ukraińców zamieszczających zdjęcia na grupie. Swoją drogą, to ciekawe doświadczenie obserwować, jakie emocje się we mnie budzą, kiedy patrzę na zdjęcia z Petersburga, Moskwy czy Niżnego Nowogrodu. A jakie, kiedy oglądam widoki z okien z Truskawca, Lwowa czy Tarnopola. Pod zdjęciami z Ukrainy komentarze: „Slava Ukrainie”, „Modlimy się za was”, „Modlimy się za pokój”, „Dziękujemy za waszą odwagę”.

10 TYS. POSTÓW CZEKA

Pytam Duriau, jak zmieniło się jej życie od czasu, kiedy założyła VFMW. „Całkowicie! – odpowiada. – Grupa uosabia wszystko, co Kocham: obrazy, grafikę, moje zamiłowanie do podróżowania i do poznawania nowych ludzi. Ale na początku wszystko było na mojej głowie – wszystkie decyzje, emocje. Zdarzało się, że poświęcałam grupie 15 godzin dziennie. Ciągłe o niej myślałam, a nawet śniłam. Dziś grupa ma piętnastu dodatkowych administratorów z całego świata, ale to stanowczo za mało. Potrzebujemy ich ze stul!”.

Administratorzy nie tylko moderują komentarze, pilnują, żeby nie pojawiały się w nich treści agresywne czy ideologiczne, ale przede wszystkim przeglądają zgłoszone zdjęcia. Zanim dopuszczają je do publikacji, muszą sprawdzić, czy ich autorzy, autorki nie łamią regulaminu. Czy zdjęcie jest aktualne, czy na pewno jest widokiem z ich własnego okna, a nie na przykład ściągnięte z internetu. Aktualnie w kolejce na akceptację czeka 10 tys. postów.

Administratorzy pracują za darmo. Grupa nie przynosi żadnych dochodów, dlatego Duriau nie jest pewna, jak długo uda się ją jeszcze utrzymać. Na razie własnym sumptem wydała dwa albumy ze zdjęciami z „View from my window” oraz zorganizowała wystawę w brukselskim Atomium, na której można obejrzeć 400 wybranych widoków z okien – od Nowego Jorku przez São Paulo po Darjeeling.

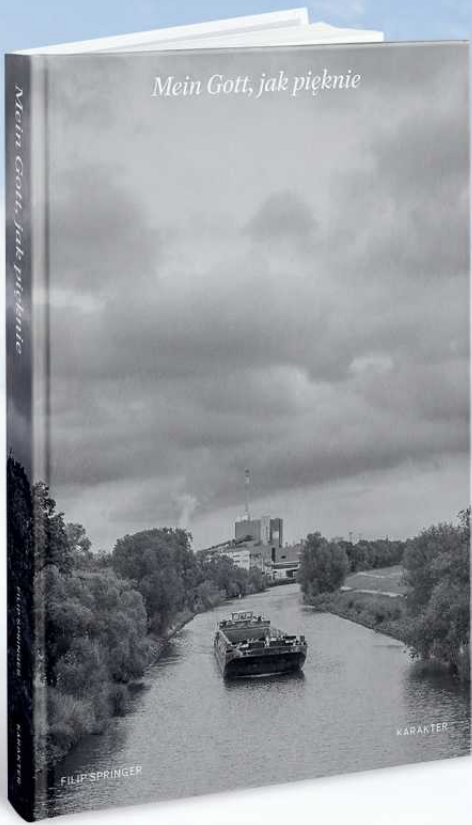
Duriau wróciła do Brukseli. Teraz mieszka na poddaszu. Z jednej strony ma widok na belgijskie niebo, często zachmurzone, z drugiej na typowe brukselskie domy z ogródkami. „Lubię patrzeć, jak w oknach sąsiadów zapalają się światła – mówi. – Ale chętnie zamieniłabym ten widok na inny. Na przykład ten, który ma członkini naszej grupy- Björg Elin Hákegárd Jakobsen z Svolvær w Norwegii. Za jej oknem rozpościera się widok na zatokę, łódzie, domy, a w tle widać góry, które dają poczucie oparcia i spokoju. Albo jakikolwiek inny widok na niczym nieznanym horyzont”.

Więcej na: viewfrommywindow.world

Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1. Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę*

2. Fragmentu książki Filipa Springera „Mein Gott, jak pięknie”



Przemierzając rowerem tereny wschodnich prowincji Prus, autor podąża śladami ludzi, którzy – ogarnięci wizją postępu – włączyli się w rewolucję przemysłową, stopniowo przekształcając otaczający ich świat. Springer przygląda się pejzażowi tak, jak patrzyli na niego dziewiętnastowieczni litografowie ze Schmiedebergu, budowniczy pruskiej kolei czy ojciec polskiej fotografii Jan Bulhak.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki Filipa Springera „Mein Gott, jak pięknie” oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

FSMG22

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 18.02.2023 r. do 19.02.2023 r.

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.



Odkąd pamiętam, marzyłem, żeby mieć Saabę 900 Turbo. Piękna linia auta, przepyszne logo z dumnym gryfem – klasa! Nigdy nie dane mi było poprowadzić szwedzkiej legendy, ale gigantyczny sentyment mam do dziś.

Moim pierwszym samochodem, który po zrobieniu prawa jazdy przekazał mi tata, było FSO 1500, pięciobiegowe, z silnikiem poloneza, ale kultowym, pionowym prędkościomierzem. Prawilny samochód z gaźnikiem, ssaniem i nieopływową sylwetką. Koloru białego, więc ochrzciłem go mianem „białej strzały” i kiedy rozbijałem na trasie, szedł jak torpeda. „Strzała” wyniosła mnie z wielu opresji, kiedyś rejterowaliśmy wspólnie – byłem jeszcze z kumplem – przed chmarą kilkunastu żądnych mocniejszych wrażeń „chwatów”, z których jeden dopadł „strzały” i z całej siły walnął ręką w dach. FSO tylko wzruszyło ramionami, a mam nadzieję, że lapsko tamtego drania bolało choć przez dni kilka.

Potem jeździłem „białą mewą”, czyli fiatem seicento, z którym również przeżyłem różne przygody do dnia, w którym jakiś zawistnik uznał, że też chce, i mi go ukradł (Never forget!).

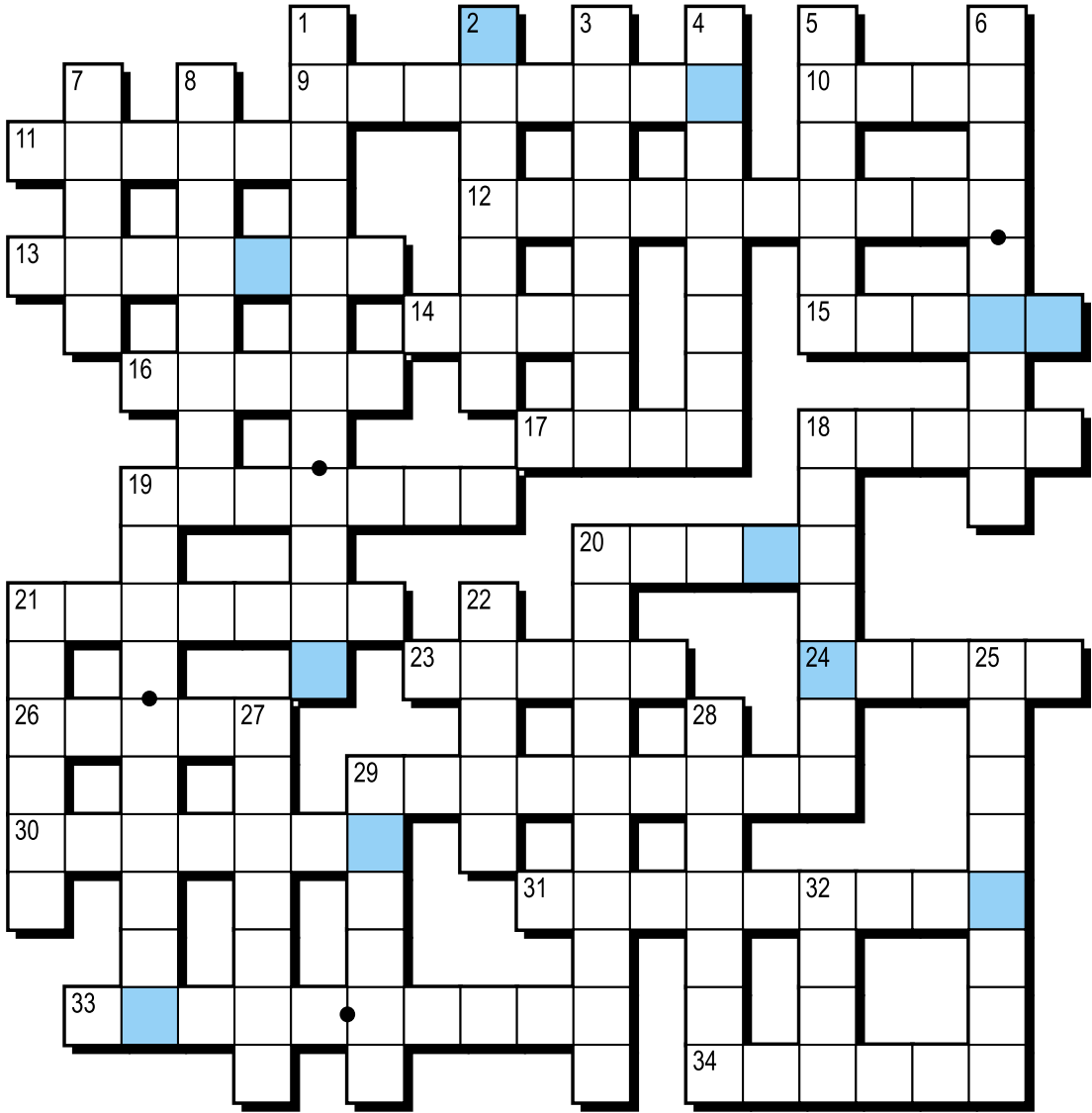
Następnie była czerwona siena, zwana „malinką”, z której najżywiej zapamiętałem wielki bagażnik i hymn samochodu od najczęściej grane-go w nim utworu – „Uptown Top Ranking” Althei i Donny, potem laguna, z luksusnym schowkiem na przeciwsłoneczne okulary, oczywiście nazywana „lalką”. Wreszcie wyładowałem przy obecnym mym aucie, seacie leonie, rzecz jasna czarnym, który jest ze mną od... od nie pamiętam kiedy.

Skąd te samochodowe wynurzenia i przelot po markach aut, które miałem? Otóż raptem wczoraj była rocznica (zdarzyło się to w 1972 roku) – Volkswagen Typ 1, okreśłany w Niemczech jako Käfer (tj. chrząszcz), w Stanach Zjednoczonych jako Beetle (chrząszcz, żuk), a w Polsce garbus, wyprzedził Forda T pod względem liczby wyprodukowanych egzemplarzy, stając się tym samym najliczniej produkowanym autem w historii.

Wynik rzecz jasna został wywindowany do niebotycznych rozmiarów, bowiem garbusa produkowano do 2003 roku (rozpoczęto jeszcze w 1938, za czasów panowania w Niemczech Adolfa Hitlera), a łącznie w świat wyjechało 21 529 464 modeli tego samochodu (z czego blisko 15,5 mln w Niemczech, zaś ok. 3 mln 350 tys. w Brazylii).

Dlatego dzisiejszą „Weekendówkę” poświęciliśmy motoryzacji i kultowym modelom samochodów. A o pomoc w ułożeniu hasel poprosiliśmy Karolinę Chojnącką, dziennikarkę działu gospodarczego „Gazety Wyborczej”, wielką miłośniczkę motoryzacji i fankę Formuły 1. W drogę! ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 39 z 11.02:

Poziomo:

- 2) Sandwich 7) Wright 9) Nobel
10) koło 12) Newton 13) reaktor
16) pianista 17) tost 18) Amerykanie
20) Ikar 21) radio 22) Ignacy
28) Daguerre 29) patent 31) telewizor
33) Łukasiewicz 34) tabletki
35) Zeppelin

Pionowo:

- 1) Drzewiecki 2) Stanisław 3) Nikola
Tesla 4) Igor 5) Volta 6) Henry Ford
8) Gutenberg 11) Marconi 14) Mon-
tgolfier 15) pomysły 19) Ernő Rubik
23) Colt 24) termometr 25) Water-
man 26) Tadeusz 27) James 30) Benz
32) Bell

HASŁO: BOMBA ATOMOWA

KULTOWE MODELE AUT

Hasła Karoliny Chojnąckiej oznaczono inicjałami (K.C.). Litera w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 9) flagowy model Cadillaca
10) z błyskawicą na masce (K.C.)
11) auto z rodziny kotowatych
12) białe ferrari, którym jeździł Sonny Crockett z se-
riala „Policjanci z Miami”
13) tym autem jeździ Ro-
bert Lewandowski (K.C.)
14) ... Samara, popularna w PRL-u

- 15) ... Martin, wystąpił w wielu filmach o agencie 007
16) policyjna grupa ..., ściga piratów drogowych
17) żółty symbol Nowego Jorku (K.C.)
18) ... Fonda, zagrał w filmie drogi „Bрудna Mary, świrus Larry”
19) rzecz by można: Quasi-
modowie motoryzacji
20) kultowy Dodge spor-
towy
21) mydelniczka z Ener-
dówka
23) elektryk od Muska
24) Bonnie i ..., zginęli w Fordzie V8
26) np. Harley-Davidson (potocznie)

- 29) morderczy Plymouth z powieści Stephena Kinga
30) nazywana prześmiewczo „królową polskich poboczy” (K.C.)
31) Burt, zagrał w filmie „Mistrz kierownicy ucieka”
33) luksusowe auto z Duchem Ekstazy na przodzie maski
34) Barry, aktor z filmu „Znikający punkt” (auto: Dodge Challenger)

Pionowo:

- 1) bohater piosenki Janis Joplin
2) marka amerykańskich aut (od imienia wodza Ottawów)

- 3) „stoleczna” osobówka z czasów Peerelu
4) statystyczny ... na zakup nowego auta musi dziś przeznaczyć 33 miesięczne pensje (K.C.)
5) pionier na rynku sa-
mochodów hybrydowych (K.C.)
6) włoskie auto z krzyżem i węzłem w logo
7) imię agenta z określenia 15 poziomo
8) Fiat..., uważany za naj-
brzydszy samochód świata (K.C.)
18) niemiecki producent, mający w ofercie kultową 911 (K.C.)
19) ford w tytule filmu Clint Eastwooda
20) ... Beatle

- 21) imię Pana Samochodzika, posiadacza wehikułu z silnikiem Ferrari
22) imię kojarzące się m.in. z Fordem T
25) samochód z filmu „Powrót do przeszłości”
27) francuska marka, założona przez trzech braci (K.C.)
28) amerykańska limuzyna „prezydencka”
29) sportowy model Chevroleta
32) Auto Moto ..., targi motoryzacyjne

Leszek Rydz

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play